ŚMIECI, PALĄCY PROBLEM

DOŚĆ DEBAT, IDĄ INBY

ŁUCJA, NAJWIĘKSZY KŁOPOT PAPIEŻY

CZAS SINÉAD O'CONNOR

Kraków 6 sierpnia 2023 nr 32 (3865) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne TygodnikPowszechny.pl

Komu służy policja

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

TYGODNIK POWSZECHNY

Najnowsza książka księdza Adama Bonieckiego

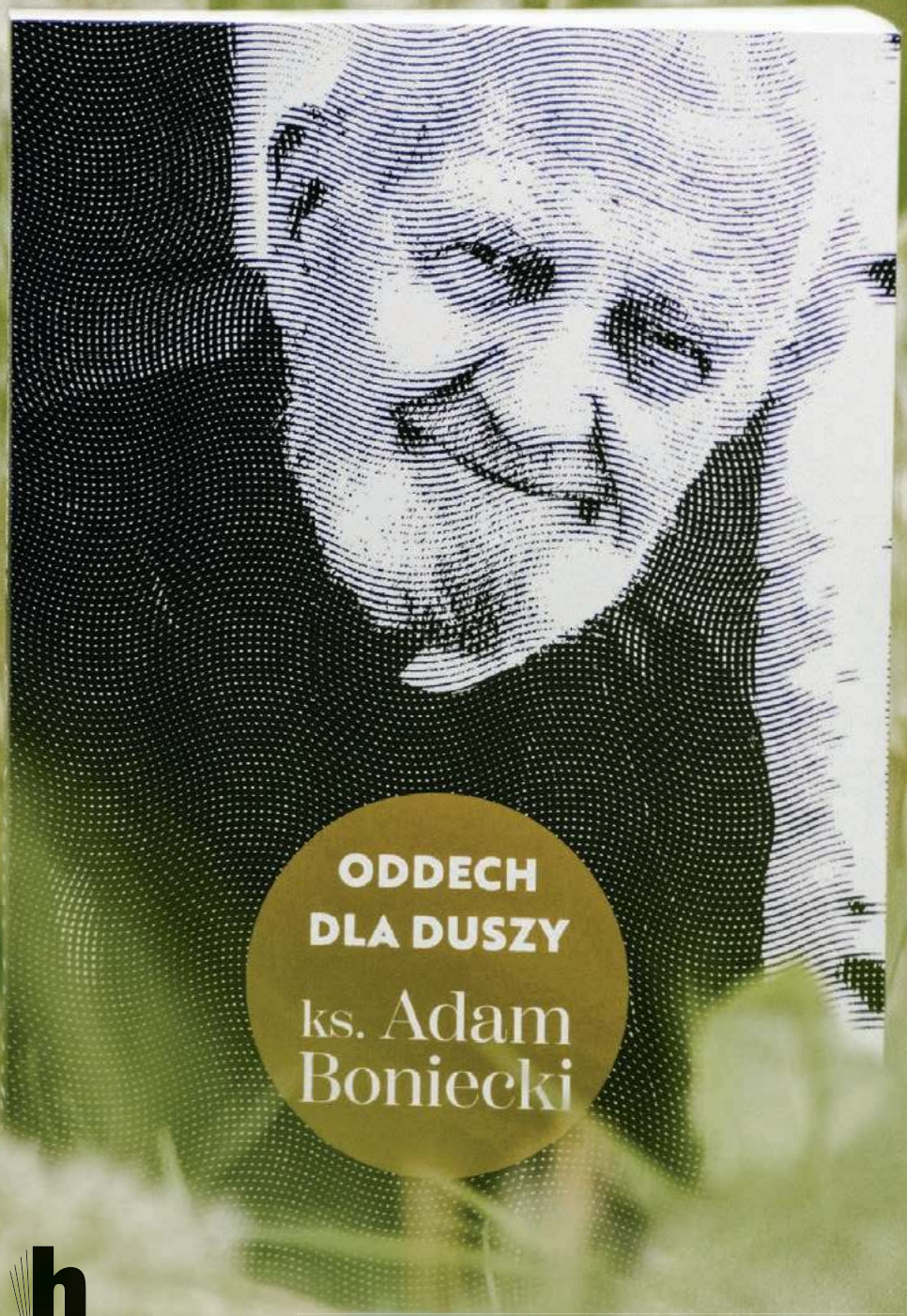

HARDE
WYDAWNICTWO

Już w księgarniach i na vivelo.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN

KS. ADAM

Boniecki: *Moje noce i dnie*

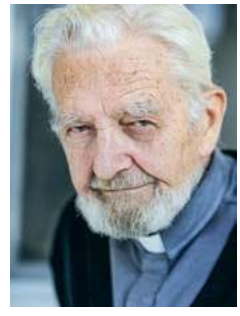

Wyznaję, że zdjęcie na ubiegłotygodniowej okładce, wywiad, fragmenty dawnych tekstów, strony poświęcone życzeniom – to była niespodzianka, która mnie wzrusza i zawstydza.

Trudno nie podziękować. Annie Goc za rozmowę i Katarzynie Kubisiowskiej za podkast, redakcji za miejsce poświęcone tydzień temu mojej osobie. Nigdy nie dziękowałem, ale teraz, kiedy jest to być może ostatnia okazja, dziękuję za wszystkie teksty i zdjęcia. Dziękuję autorom życzeń wydrukowanych w „Tygodniku": prezydentowi Sopotu Jackowi Karnowskiemu, prezesowi ZAiKS-u Miłoszowi Bembinowowi, zespołowi Santander TFI, zarządowi i pracownikom Herbewo, prezydentowi Krakowa Jackowi Majchrowskiemu, Polskiej Radzie Biznesu, Wyższej Szkole Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie, Znakowi, Stowarzyszeniu Metropolia Poznań. Dziękuję też za wszystkie dobre myśli i słowa w tych życzeniach, a także w tych, które przyszły do mnie wprost, nie przez redakcję. Dziękuję Jackowi Ślusarczykowi za opiekę nade mną jako chorym. Dziękuję też wszystkim, którzy przyszli do kościoła św. Floriana na mszę św., i oczywiście tym, którzy chcieli przyjść, ale nie mogli.

Wiele listów zwraca uwagę na to, co robi i jaka rolę odgrywa „Tygodnik Powszechny". Gdyby nie „Tygodnik", nigdzie indziej nie miałbym możliwości pisania, uczestniczenia w debatach, zabierania głosu. Wdzięczność za ciekawe życie winien jestem oczywiście Zgromadzeniu Księży Marianów. Gdyby nie imponująca cierpliwość moich przełożonych, którzy aprobowali to, co robiłem przez te wszystkie lata, mój życiorys byłby całkiem inny.

Zacząłem dziewięćdziesiąty rok życia. Sporo, takie mam przynajmniej poczucie, choć właśnie przeczytałem, że normalnie można spokojnie dożyć do lat 120. Nie sądzę, by to był mój przypadek. Starość różnie się przeżywa i nie należy sądzić tylko po liczbie przeżytych lat. Ważny jest czas, w którym się żyło i co się wtedy działo. Mam w świadomości mój czas, wyraźne okresy, kompletnie od siebie różne. Tak je przeżywałem. Przed wojną, wojnę i po wojnie. Ten ostatni czas dzieli się na dwie fazy, powiem upraszczając: komunizmu i po komunizmie. To są wyraźne granice. Nie będę opowiadał o tych wszystkich etapach, jednego jestem pewien, ten ostatni czas (po komunizmie) różni się od poprzedniego jak dzień od nocy. Oczywiście, w każdym z wymienionych okresów jakoś można było żyć i działać.

Księdzem zostałem w 1960 r. Problemy, przed jakimi stoi ksiądz, są niby te, co zawsze, ale są też nowe, które wynikły z odkrywania starych grzechów. Nikną rzesze wiernych. Można mieć poczucie, że po trochu znika Kościół. Bo rzeczywiście taki, jaki znaliśmy z czasów komunizmu, znika. Wierzę – właściwie wiem, bo widzę – że rodzi się nowy. I nie jest tak, że zaczynamy od początku. To będzie tak, że stary, chory będzie znikał (dość spektakularnie), a będzie się rodził (często trudny do zauważenia) nowy. Nie tylko nowi księża, ale cały system organizacyjny ulegnie zmianie. Będzie potrzeba mniej księży, świeccy w mnóstwie spraw nas (księży) zastąpią. Co będzie z zakonami, urzędami kościelnymi, kościelnymi godnościami, co będzie z dobrami kościelnymi u nas i gdzie indziej – tego nie wiem. Przez stulecia nowe formy niby wypierały stare, jednak nie całkowicie, nie wszystkie. To oczywiste i poniekąd dobre. Ale tylko poniekąd. Mam wrażenie, że czekają nas (niekoniecznie za pontyfikatu Franciszka) wielkie zmiany.

Na tradycjonalistów bym zbytnio nie liczył. Choć może to brzmieć dziwnie, ja liczę na świętych. Święci księża, święci świeccy chrześcijanie, oni zmienią (zmieniają) obraz Kościoła. Ze świętymi zawsze były jakieś kłopoty. Nawet w naszych czasach. Zwykle się okazywało, że zostawali świętymi po śmierci. Zwykle nie cieszyli się uznaniem mających władzę. Ci zresztą też będą musieli być świętymi. Przynajmniej niektórzy.

Rozmowa Piotra Sikory z Chantal Delsol w poprzednim „Tygodniku" jest materiałem szczególnie ważnym. Delsol wskazuje na niebezpieczeństwo „kultury ewangelicznej bez transcendencji". Ten wątek wydaje mi się najważniejszy. Świetnie, że jak zwykle „Tygodnik Powszechny" zajmuje się takimi sprawami. I dobrze, że nie wyłącznie. „Wawel od kuchni" to też świetna lektura. ©℗

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

20 Lipcowe sondaże, lipne prognozy
JAROSŁAW FLIS *śledzi nastroje społeczne i analizuje sondaże poparcia dla partii u progu kampanii wyborczej.*

28 Wielki zderzacz opinii
MACIEJ JAKUBOWIAK
Przekonanie o naszej jednostkowej wyjątkowości ulega nieustannej erozji – dlatego to samo dzieje się z debatą publiczną.

48 Dodawanie Yolandy
PAULINA MAŚLONA
przybliża postać Yolandy Díaz, nowej liderki hiszpańskiej lewicy.

60 Pływamy w zupie genów
WOJCIECH BRZEZIŃSKI
Badania cząstek DNA zalegających w środowisku pomagają się rozwijać nauce, ale stanowią też poważne zagrożenie dla naszej prywatności.

64 Dusza obnażona
BEATA CHOMĄTOWSKA *o życiu i muzyce zmarłej właśnie Sinéad O'Connor.*

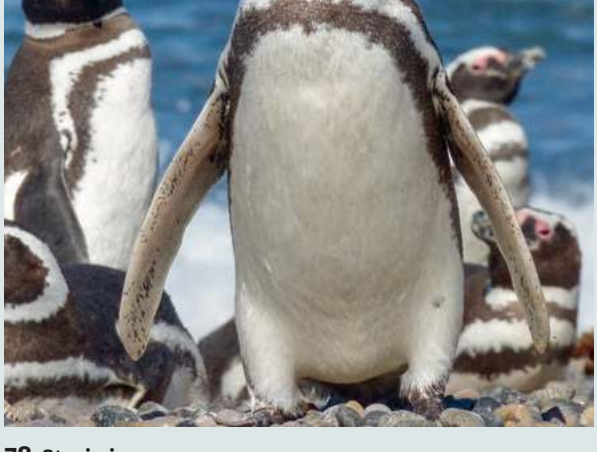

78 Strażnicy oceanu
Pingwinów nie da się nie lubić. Ale warto też słuchać, co do nas mówią – radzi biolożka morska DEE BOERSMA.

BEATA ZAWRZEL / REPORTER // ANDRZEJ DUDZIŃSKI // GUNTER LENZ / BE&W // CENTER FOR ECOSYSTEM SENTINELS / MATERIAŁY PRASOWE // MARY EVANS PICTURE LIBRARY / EAST NEWS // OSCAR DEL POZO / AFP / EAST NEWS

6 Nowy etap kampanii
WOJCIECH PIĘCIAK

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

KRAJ

20 Lipcowe sondaże, lipne prognozy
JAROSŁAW FLIS

23 Ziemia ognia
MACIEJ KUCIEL: *W wielu polskich miastach utylizacja odpadów odbywa się metodą włoskiej mafii*

26 Już nie ma dzikich plaż
ROZMOWA Z JANEM MARCINEM WĘSŁAWSKIM, BIOLOGIEM: *Linia brzegowa jest granicą. Walczymy z Bałtykiem o każdy skrawek plaży*

OPINIE

28 Wielki zderzacz opinii
MACIEJ JAKUBOWIAK

WIARA

34 Siostra Łucja od kłopotów
ARTUR SPORNIAK: *Żadna zakonnica nie przysporzyła Watykanowi tylu kłopotów co siostra Łucja z Fatimy*

38 Wypoczynek ducha
PIOTR SIKORA *poleca na wakacje lekturę refleksji starożytnych mnichów*

40 Papież, młodzież i strajki
DOMA MATEJKO: *Pierwsze po pandemii Światowe Dni Młodzieży odbędą się w cieniu globalnego kryzysu ekonomicznego*

ŚWIAT

44 Zwycięzcy bez zwycięstwa
AGNIESZKA ZIELIŃSKA: *Wciąż nie wiadomo, kto będzie rządzić Hiszpanią. Równie realne są trzy scenariusze*

TEMAT TYGODNIKA

MONTAŻ TP-ONLINE // JACEK TARAN // ZDJĘCIA EAST NEWS I FORUM

12 Na służbie
DAWID SERAFIN
Źle wyszkolona, niedofinansowana, do tego upolityczniona. Polska policja przeżywa największy kryzys zaufania obywateli.

14 Aniołki władzy

16 Sprawiedliwość po latach

FELIETONY

33 TOMASZ STAWISZYŃSKI
43 WOJCIECH BONOWICZ
63 JACEK PODSIADŁO
76 OLGA DRENDA **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

ZDJĘCIE NA OKŁADCE:
MIKOŁAJ KIEMBŁOWSKI/REPORTER

Redaktor prowadzący: MAREK RABIJ

48 Dodawanie Yolandy
PAULINA MAŚLONA

51 Zatopione, spalone, zrabowane
PIOTR KOSIEWSKI: *Ukraina krwawi nie tylko na froncie. Wojna pożera także jej zabytki*

52 Kto trzęsie dzielnicą
SZYMON ŁUCYK: *Na francuskie przedmieścia wrócił spokój. Na jak długo?*

55 Przedmieścia bez mitów
ROZMOWA Z FABIENEM TRUONGIEM, BADACZEM MŁODZIEŻY

HISTORIA

56 Nikt w Warszawie tak nie śpiewał
STANISŁAW CALIK: *Tajemnice życia gwiazdy przedwojennego kina, Zuli Pogorzelskiej*

NAUKA

60 Pływamy w zupie genów
WOJCIECH BRZEZIŃSKI

KULTURA

64 Dusza obnażona
BEATA CHOMĄTOWSKA

68 Demonologia stosowana
ROZMOWA Z RELIGIOZNAWCĄ I TWÓRCĄ GIER MIKOŁAJEM KOŁYSZKĄ: *Jak powstają opowieści, którymi się straszymy?*

72 Wszystkie drogi do Werony
DOROTA KOZIŃSKA *z festiwalu operowego w werońskiej Arenie*

74 Widmo czasu wolnego
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Świat po pracy" Erika Gandiniego*

75 Nieśmiałe uwielbienie
LEKTOR *o książce Eliasa Canettiego „O zwierzętach"*

ZMYSŁY

78 Strażnicy oceanu
ROZMOWA Z PROF. DEE BOERSMĄ

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Niger: zamach stanu [Strona świata]
Wojsko dokonało przewrotu w Nigrze, kolejnym kraju Sahelu zawłaszczanym przez dżihadystów i wagnerowców – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** | tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

Niedźwiedzie nie istnieją [Co obejrzeć w weekend]
W świecie, którym rządzi ukryte Ministerstwo Prawdy, tym bardziej trzeba zadawać pytania, czym ona jest naprawdę – pisze **ANITA PIOTROWSKA** | tygodnikpowszechny.pl/weekend

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

NOWY ETAP KAMPANII

Przedwyborcza walka może toczyć się w atmosferze obaw o nasze bezpieczeństwo – o to zatroszczą się Putin i Łukaszenka. Warto zachować spokój.

WOJCIECH PIĘCIAK

POWYŻEJ:
Wizyta wicepremiera Jarosława Kaczyńskiego w Kodniu, przy granicy z Białorusią, 27 lipca 2023 r.

Gdybym był analitykiem rosyjskiego wywiadu – odpowiedzialnym za podpowiadanie Kremlowi, jakich narzędzi użyć, by namieszać w Polsce – sugerowałbym, by w najbliższym czasie członkowie Grupy Wagnera pojawili się ostentacyjnie przy polskiej granicy. Aby dali się sfilmować telewizjom. Nie od rzeczy byłoby, gdyby sam Jewgienij Prigożyn tam się pojawił i np. obsikał polską zaporę graniczną. Albo zrobił coś równie fotogenicznego. Mógłby też, stojąc przy słupku granicznym, nagrać swoje tradycyjne przesłanie wideo, w którym np. wyraziłby chęć odwiedzenia Rzeszowa.

Skąd taki pomysł? Bo efekty działań, które podejmują ostatnio Władimir Putin i Alaksandr Łukaszenka, są obiecujące. Mowa o kolejnych werbalnych atakach na Polskę. Są one wprawdzie prymitywne – np. zarzut Putina, iż Polska chce zająć zachodnią Ukrainę i Białoruś, czy groźby Łukaszenki, że goszczący u niego wagnerowcy chcą udać się na „wycieczkę” do Rzeszowa (bo kojarzy im się jako miejsce, przez które na Ukrainę dociera zachodnia broń) – i w innych okolicznościach można by wzruszyć nad nimi ramionami.

Dziś jednak okoliczności są takie, że kampania (dez)informacyjna z Moskwy i Mińska – wsparta obecnością

wagnerowców na poligonie koło Brześcia, wizją ich granicznych prowokacji, a także agresywnymi działaniami Mińska wobec polskiej mniejszości – pada na grunt rozkręcającej się kampanii przed jesiennymi wyborami w Polsce. Jakby jej temperatura nie była już dostatecznie wysoka.

Wprawdzie prawdopodobieństwo, że członkowie formacji, za którą Putin i Łukaszenka ponoszą wprost odpowiedzialność, przekroczą NATO-wską „czerwoną linię" – i zaatakują Polskę lub „tylko" wspomogą imigrantów w przekraczaniu granicy, strzelając nad głowami polskich pograniczników – jest minimalne (choć byłoby nierozsądne, gdyby polskie instytucje nie były gotowe i na taki scenariusz). Z kolei, jeśli wierzyć Jarosławowi Kaczyńskiemu, rząd nie wykorzysta sytuacji do przesunięcia wyborów, aż sondaże będą dlań łaskawsze (byłoby to konieczne, gdyby na Podlasiu ogłoszono stan nadzwyczajny). „Na Białorusi pojawili się wagnerowcy. Tego zagrożenia nie lekceważymy, ale to nie oznacza, że zamierzamy zatrzymać nasze demokratyczne procesy. Wybory odbędą się w terminie" – mówił wicepremier 30 lipca.

Widać jednak, że wagnerowski straszak może zaistnieć w kampanii. Widać choćby po gorliwości, z jaką Mateusz Morawiecki podchwycił piłkę, podrzuconą przez stronę ukraińską. „Mamy informację, że ponad stu najemników Grupy Wagnera przesunęło się w kierunku przesmyku suwalskiego" – pospieszył się powiadomić nas premier 29 lipca, przy okazji wizyty w zakładzie zbrojeniowym. Bo – odnotujmy i to – także strona ukraińska jest tu aktywna: 27 lipca tamtejsze rządowe Centrum Narodowego Oporu podało, jakoby Grupa Wagnera miała werbować Białorusinów, a warunkiem kontraktu ma być „gotowość do udziału w działaniach wojennych na terytorium krajów sąsiadujących z Białorusią, zwłaszcza Polski i Litwy". Przekaz, jakoby stu wagnerowców zmierzało w stronę Suwałk, wyszedł dwa dni później z tego samego źródła. Centrum Narodowego Oporu to nie niezależna agencja prasowa, lecz narzędzie ukraińskiej polityki. Tyle że interes Kijowa – jakim byłoby silniejsze włączenie krajów zachodnich w konflikt, gdyby wagnerowcy przekroczyli „czerwoną linię" – nie jest tożsamy z interesem Polski czy Litwy. Premier mógłby być bardziej powściągliwy w powtarzaniu ukraińskiego przekazu.

Zostawmy jednak aspekt ukraiński – on jest tu poboczny. Istotne, co zrobi teraz rząd.

Jego niedawne posunięcia – demonstracyjne wizyty premiera, wicepremiera oraz ministrów spraw wewnętrznych i obrony na pograniczu z Białorusią sugerują, że politycy PiS wzięli sobie do serca rady, których udzielił im na początku czerwca, przy okazji wywiadu w radiu RMF, Marcin Mastalerek (były sztabowiec, współtwórca sukcesu Andrzeja Dudy w 2015 r.). Uznając, że PiS jest już w defensywie – było to po marszu 4 czerwca – Mastalerek ocenił, że PiS może wygrać wybory „wyłącznie tematem bezpieczeństwa": prezentując się jako ten, kto najlepiej dba o bezpieczeństwo Polski, gdy tuż obok trwa wojna (i eksponując, „jak kwestie bezpieczeństwa traktowano w czasie rządów PO").

Wówczas taka rada mogła wydać się strategom PiS mało przekonująca – mimo wszystko wojna Polakom (i nie tylko nam) spowszedniała. Nie znaczy to, że stała się nam obojętna – natomiast nie ma dziś w społeczeństwie takich obaw, jakie mieliśmy w lutym-marcu 2022 r., że może ogarnąć i nas. Sama wojna jako straszak – to mogło być teraz za mało. Ale wybuchł pucz Prigożyna i, jako tego skutek, dyslokacja kilku tysięcy jego najemników na Białoruś. A potem – znane już podbijanie bębenka przez satrapów z Mińska i Moskwy.

Czy mając świadomość słabych sondaży i kiepskich perspektyw na kampanię (gdy inicjatywa jest po stronie opozycji), politycy PiS będą teraz straszyć społeczeństwo wagnerowcami, z nadzieją, że jakaś jego część uzna na koniec, przy wyborczej urnie, iż wobec zagrożenia lepiej jest nie zmieniać władzy?

Choć prawdopodobieństwo, iż Putin i Łukaszenka spuszczą ze smyczy wagnerowców, jest małe, miałoby sens, żeby USA i NATO wysłały silniejsze niż dotąd sygnały, iż „czerwona linia" obowiązuje. A wszyscy powinni zachować mocne nerwy. I spokój. Nawet gdyby Jewgienij Prigożyn nasikał nam na graniczny słupek. ©℗

MAŁGORZATA GENCA / POLSKA PRESS / EAST NEWS

Żniwa Putina

MAREK RABIJ

ZBOŻE BĘDZIE WAŻNYM TEMATEM NADCHODZĄCEJ kampanii wyborczej, także długo po zakończeniu prac polowych. Wypowiedzenie przez Kreml umowy, która umożliwiała transport ukraińskich produktów roślinnych przez Morze Czarne, miało zdestabilizować światowe rynki zbożowe – i choć częściowo się to udało (pod koniec lipca ceny pszenicy na krótko przebiły tegoroczne maksima), Rosja nie zdołała zaskoczyć rynków swoją decyzją. Polscy rolnicy boją się jednak powtórki z ubiegłego roku, kiedy w niekontrolowany sposób przez naszą wschodnią granicę przewieziono ok. 4 milionów ton ukraińskiego zboża. Rząd obiecał, że do tegorocznych żniw wyczyści z niego polskie spichlerze, ale do początku czerwca udało mu się wywieźć z kraju jedynie 800 tys. ton.

Minister rolnictwa Robert Telus chwali się sukcesami w obronie rodzimego rynku rolnego, zarzuca Brukseli, że nie wspiera w tym Polski w dostateczny sposób, ale od miesięcy nie chce też ujawnić listy podmiotów, które w minionych miesiącach importowały z Ukrainy zboża i inne płody rolne. Przewodniczący Agrounii Michał Kołodziejczak twierdzi, że roi się na niej od podmiotów powiązanych z politykami obozu rządzącego – dlatego jej nie ujawni, bo boi się o swoje życie. To oczywiście język politycznego harcownictwa, ale Kołodziejczak trafnie odczytuje nastroje na wsi, która podejrzewa, że polska pomoc w imporcie zbóż z objętej wojną Ukrainy przeistoczyła się w grubą przemytniczą aferę.

Pszenica i kukurydza – jak widać – mogą stanowić pełnowartościowe uzupełnienie dla wagnerowców: destabilizują sytuację polityczną w Polsce samą swoją obecnością.

A może być gorzej. Tegoroczne żniwa będą udane. Według szacunków Izby Zbożowo-Paszowej zebrano już 80 proc. zasianego jęczmienia, a plony są bardzo wysokie, często sięgają powyżej 7 ton z hektara. Nieźle zapowiadają się także zbiory rzepaku; hektar upraw daje średnio 3-4 tony ziarna o zawartości tłuszczu powyżej 43 proc. Na pola obsiane pszenicą kombajny dopiero wjeżdżają, ale pierwsze szacunki mówią o zbiorach na przyzwoitym poziomie ok. 6 ton z hektara. Powodów do zadowolenia nie będą mieć tylko plantatorzy żyta. ©℗

Koniec zimnej wojny

EDWARD AUGUSTYN

Watykan rozpoczyna negocjacje z biskupami niemieckimi w sprawie postulatów Drogi Synodalnej. Ubiegłotygodniowe spotkanie sześciu najważniejszych kardynałów kurii z siedmioma reprezentantami episkopatu Niemiec (pierwsze z serii, jak informuje krótki komunikat) to znak, że po okresie prężenia muskułów zdecydowano się pójść po rozum do głowy.

VATICAN NEWS

Watykańsko-niemiecki „okrągły stół" jest wydarzeniem wyjątkowym. Stolica Apostolska nie ma zwyczaju pertraktowania z episkopatami, z którymi zresztą spotyka się tylko raz na kilka lat, podczas tzw. wizyt *ad limina*. Biskupi niemieccy byli na niej w listopadzie ub. roku, przedstawiając propozycje reform przyjęte podczas obrad Drogi: diakonat kobiet, zmiany w etyce seksualnej, zniesienie obowiązkowego celibatu i ograniczenie władzy biskupiej na rzecz rady, w której skład wchodziliby też świeccy.

Watykan odpowiedział listem do bp. Georga Bätzinga, przewodniczącego Konferencji Episkopatu Niemiec (na zdjęciu), przestrzegającym przed podejmowaniem decyzji, które są w wyłącznej kompetencji papieża. Jego ostrą formę uznano za odcięcie się od Drogi Synodalnej.

Ubiegłotygodniowe spotkanie można uznać za koniec „zimnej wojny", której eskalacja (bo ustąpić nie zamierzają ani środowiska konserwatywne, wywierające presję na Rzym, ani niemieccy świeccy, domagający się od biskupów realizacji reform) mogłaby zakłócić nadchodzący synod, a nawet doprowadzić do rozłamu, czego boi się papież. Uznano, że pora na kompromis: Watykan powstrzyma się od krytyki Drogi Synodalnej, Niemcy – od powoływania rady. Przynajmniej na jakiś czas. ©℗

NA PUNKTY

PRZEKONANIE
„Wiele osób było i jest dziś przekonanych, że doszło do zamachu, ale wersja ta nabiera ostatnio znaczenia oficjalnego" – czytamy o katastrofie smoleńskiej w drugiej części podręcznika do HiT Wojciecha Roszkowskiego.

PARTNERSTWO
„Znaczenia oficjalnego" nabiera również współpraca apolitycznej teoretycznie NIK z Konfederacją: Sławomir Mentzen wystąpił na konferencji z prezesem Izby, którego syn, Jakub Banaś, będzie kandydował z list ugrupowania.

POMOC
Znany z kontrowersyjnych wypowiedzi Radek Sikorski zadeklarował, że nie będzie startował w wyborach. „Nie kandydując, tym razem mogę pomóc koleżankom i kolegom w całej Polsce" – zapowiedział polityk PO. Ciekawe, czy koleżankom i kolegom pomoże również wspierany skądinąd przez Sikorskiego Roman Giertych.

PASJA
W razie czego mogą liczyć na Janusza Kowalskiego: na nagraniu awantury, w jaką wdał się na korytarzach resortu rolnictwa z protestującymi działaczami Agrounii słychać, jak w niemal każdym zdaniu wykrzykuje na całe gardło nazwisko Donalda Tuska. ©℗

Izrael: dwa państwa zamiast jednego

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL AWIWU

Mija 30. tydzień protestów przeciw reformie sądownictwa, prowadzonej przez rząd Netanjahu: Izrael dotarł do najbardziej krytycznego momentu w 75-letniej historii. To już nie kryzys polityczny, lecz egzystencjalny: czy Izrael pozostanie bliskowschodnią demokracją, czy wkroczy na drogę reżimów antydemokratycznych?

Najbardziej prawicowy i ultraortodoksyjny rząd, jaki miało to państwo, podjął wiele kroków, by zmienić jego kształt. Największy sprzeciw budzi reforma sądów, która weszła w kluczowy etap: Kneset uchwalił prawo, które utrudnia, a nawet uniemożliwia krytyczne odniesienie się Sądu Najwyższego do decyzji rządu i parlamentu. Teraz możliwe będzie np. nominowanie na ważne funkcje osób prawomocnie skazanych – jest to w interesie wielu polityków prawicy i samego premiera. Równolegle rząd przesuwa setki milionów szekli na wspieranie ultraortodoksów i rozbudowę osiedli na Zachodnim Brzegu.

To wszystko budzi ogromny sprzeciw. W proteście przeciw reformie sądów tysiące rezerwistów zadeklarowały rezygnację ze służby; armia alarmuje, że w razie wojny może się znaleźć w stanie krytycznym. Wiele osób myśli o wyjeździe z kraju – to ci, którzy nie widzą tu już przyszłości dla liberalnych zsekularyzowanych Żydów. Pogłębia się też kryzys w relacji z USA. Jest obawa, że Stany ograniczą pomoc finansową i militarną, dla Izraela kluczową.

A wywiad ostrzega przed kolejną wojną. Dla wrogów słabość Izraela to idealny moment – choć bardziej prawdopodobne, że wrogowie czekają, aż Izrael sam pęknie od środka. To nie jest perspektywa utopijna: powstał już ruch na rzecz stworzenia dwóch krajów żydowskich, jednego z siedzibą w Jerozolimie, drugiego (liberalnego) w Tel Awiwie. Miałaby to być konsekwencja istniejących zawsze podziałów: na Aszkenazyjczyków i Mizrachijczyków, religijnych i zsekularyzowanych, lewicę i prawicę.

Kneset zaczyna wakacje, podczas których ma dojść do negocjacji rząd–opozycja. Wątpliwe jednak, by próby łączenia tego, co zostało już przerwane, odniosły sukces. ©

PETROS GIANNAKOURIS / AP / EAST NEWS

Płonie nie tylko Rodos

KRZYSZTOF STORY

Zdjęcia z południa Europy budzą strach i respekt wobec siły żywiołu. Tylko na greckim Rodos ewakuowano ponad 20 tys. osób. 25 lipca zamknięto lotnisko w sycylijskim Palermo, bo strażacy walczyli z ponad 50 pożarami lasów (na zdjęciu: płonący las w wiosce Vati, Rodos, 25 lipca 2023 r.). Dzień wcześniej temperatura w samym mieście sięgnęła 47 st. C. Tragiczne żniwo ogień zebrał po drugiej stronie Morza Śródziemnego – w Algierii zmarło 25 osób. Premier Grecji Kyriakos Mitsotakis powiedział: „Prawda jest taka, że jesteśmy na wojnie. Kryzys klimatyczny już tu jest i będzie powodował coraz większe katastrofy".

Wiele komentarzy automatycznie łączy każdy pożar z kryzysem klimatycznym. Oczywiście: wywołane przez nas zmiany są faktem, a fale upałów i susze zdarzają się częściej. Ale naprawdę mamy na to tyle solidnych dowodów, że nie potrzebujemy zdjęcia każdej płonącej sosny opatrywać krzykiem: „świat płonie!".
Po pierwsze, ten okrzyk budzi raczej strach i paraliżuje, niż zachęca do jakiegokolwiek proklimatycznego działania. Po drugie: pożary lasów nie są niczym nowym ani nienaturalnym. W pięciu krajach południa UE (Portugalia, Hiszpania, Francja, Włochy, Grecja) ogień wybucha w 47984 miejscach rocznie – to średnia z ostatnich 40 lat. Po trzecie: pożary są coraz... rzadsze. Według danych Europejskiego Systemu Informacji o Pożarach Lasów z tych 40 lat, najmniej „płomienna" była właśnie ostatnia dekada. Potwierdza to badanie opublikowane w 2017 r. w „Science": na całym świecie od 1998 do 2015 r. powierzchnia, którą obejmują pożary, spadła o 24 procent.

Niels Andela, współautor wspomnianego badania, podkreśla jednak: „wyniki nie są dobrym znakiem dla planety, a raczej dowodem tego, jak mocno ingerujemy w ekosystemy". Płonie mniej hektarów, bo coraz więcej jest pod silną presją i kontrolą człowieka. Decydującą rolę odgrywa tu wielkoskalowe rolnictwo i gospodarka leśna. Dużo częściej też staramy się (z różnym sensem i skutkiem) gasić ogień, zamiast pozwolić lasom się wypalić. Inne niż kiedyś są też konsekwencje, zwłaszcza na południu Europy, gdzie miejsca takie jak Rodos stały się gospodarczo całkowicie uzależnione od turystyki (prawie jedna piąta PKB Grecji pochodzi z tej branży). Sprowadzając dyskusję o pożarach lasów wyłącznie do naklejenia etykietki z napisem „katastrofa klimatyczna", odbieramy sobie wiele możliwości reagowania na coraz bardziej złożony problem. ©℗

ARCHIWUM PRYWATNE

PATRYCJA ORŁOWSKA, PSYCHOLOŻKA

Psycholog nie może pojawiać się w szkole na kilka godzin tygodniowo

ANNA GOC: W 450 gminach nie ma ani jednego psychologa szkolnego – wynika z raportu Fundacji GrowSpace. Zaskoczyły Panią te dane?
PATRYCJA ORŁOWSKA: O problemie wiedzieliśmy od dawna, dane pokazują jednak skalę zjawiska. Do Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Psychologów napływają także informacje o warunkach pracy psychologów szkolnych. Wciąż się zdarza, że dzielą gabinety z pedagogami albo logopedami, a nawet – przyjmują uczniów na korytarzu.

Obecnie każdy dyrektor szkoły ma obowiązek zatrudnić specjalistów takich jak pedagog szkolny i specjalny, psycholog czy logopeda. W 2022 r. MEiN wprowadziło jednak przelicznik etatów, który zamiast poprawić dostępność specjalistów w szkołach, sprawił, że coraz częściej jesteśmy zatrudniani na jedną czwartą etatu i pracujemy w kilku placówkach jednocześnie.
Na jednego psychologa przypada średnio 785 uczniów i uczennic – wynika z raportu. Jeśli psycholog pracuje w trzech szkołach, liczba ta może być jeszcze wyższa. Jaki to ma sens?
Powstał nawet termin „psycholog objazdowy". Taka organizacja pracy nie może dawać pozytywnych skutków. Jeśli psycholog pojawia się w szkole na kilka godzin tygodniowo, to uczeń, który będzie szukał pomocy i go nie zastanie, prawdopodobnie nie podejmie tej próby ponownie. Także nauczyciele, którzy jako pierwsi udzielają pomocy dziecku w sytuacji kryzysowej, nie mogą liczyć na wsparcie psychologa, który w szkole tylko bywa.
Psychologia jest jednym z najczęściej wybieranych kierunków studiów, dlaczego brakuje psychologów w szkołach?
Do szkół często trafiają absolwenci psychologii tuż po studiach, bez doświadczenia. Po pierwsze dlatego, że w szkołach są zwykle wakaty. Po drugie – inne opcje, czyli praca w szpitalu albo otworzenie własnego gabinetu, wymagają większych nakładów finansowych, przejścia ścieżki specjalizacyjnej czy zrobienia dodatkowych szkoleń. Jednak po kilku latach w szkole część psychologów rezygnuje i otwiera swoje gabinety. Własny gabinet daje lepsze możliwości finansowe, a zapotrzebowanie nie maleje. ©℗

PATRYCJA ORŁOWSKA – *psycholożka, koordynatorka Sekcji Oświaty przy OZZP.*

AFP / EAST NEWS

Dlaczego Saudyjczycy skupują piłkarzy

SPORTSWASHING ▪ Historia futbolu zna przypadki krajów, w których ktoś postanowił wykreować modę na ten sport i sprowadzał do miejscowych lig starzejące się gwiazdy – już w latach 70. XX w. na stadionach USA grali Pelé, Beckenbauer i Cruyff. Jednak to, co obserwujemy w ostatnich miesiącach w Saudi Pro League, różni się zasadniczo od tamtych projektów. Chodzi nie tylko o skalę inwestycji Saudyjczyków, którzy nie muszą liczyć się z ograniczeniami, jakie narzucają władze europejskiego futbolu (usiłując np. powiązać wydatki na piłkarzy z klubowymi przychodami).

Choć ta skala jest gigantyczna. Kontrolujący czołowe drużyny saudyjskiej ligi państwowy Fundusz Inwestycji Publicznych w ciągu ostatnich dwóch lat zainwestował w sport 6 mld dolarów. Grający w klubie Al-Nassr Ronaldo (na zdjęciu) zarabia 200 mln dolarów za sezon, a drugie tyle dostaje za promowanie kandydatury Arabii Saudyjskiej jako gospodarza mundialu w 2030 r. Z kolei Mbappé otrzymał od klubu Al-Hilal ofertę 700 mln euro. Odrzucił ją – wciąż woli przenosiny z Paryża do Madrytu... – ale w konfrontacji z takimi sumami wielu traci obiekcje.

Znaczący jest zwłaszcza przypadek transferu Jordana Hendersona, znanego dotąd ze wsparcia dla ruchów praw człowieka, w tym LGBT+. Prezentując zdjęcia Anglika, nowy pracodawca przerobił cyfrowo jego tęczową kapitańską opaskę z Liverpoolu na czarno-białą. Bo mówimy o państwie oskarżanym o łamanie wolności słowa, nieprzestrzeganie praw kobiet i mniejszości oraz karanie śmiercią więźniów politycznych. Państwie, które choć na razie trzyma świat w kieszeni dzięki ropie, to wie, że jej zasoby kiedyś się skończą.

W 2016 r. książę Bin Salman przedstawił „Saudi Vision 2030", plan dywersyfikacji gospodarki i podniesienia rangi jego kraju w świecie: inwestycje w sport i imponująca oferta turystyczna mają być sposobem na ocieplenie wizerunku. Pensja Ronaldo nigdy się księciu nie zwróci, ale nie o to chodzi. Chodzi o to, byśmy na słowa „Arabia Saudyjska" myśleli o wielkiej piłce, a nie o poćwiartowanych zwłokach Dżamala Chaszodżdżiego – niepokornego dziennikarza, zamordowanego w Turcji przez saudyjski wywiad. ©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

Niger: między Zachodem a Rosją

PRZEWRÓT ▪ Wojsko przejęło władzę w Nigrze, kolejnym kraju Sahelu – regionu zawłaszczanego przez dżihadystów i rosyjskich najemników.

Przewrotowi przewodził dowódca gwardii prezydenckiej, gen. Abdurahmane Omar Tchiani, którego urzędujący od dwóch lat prezydent Mohammed Bazoum zamierzał ponoć zwolnić. To już dziewiąty zbrojny przewrót, do jakiego doszło ostatnio w Sahelu. Wcześniej miały one miejsce w Sudanie, Czadzie, Mali, Burkina Faso i Gwinei (w Sudanie, Mali i Burkina Faso dwukrotnie).

Wszędzie powodem przewrotów były bieda, wojny i fatalni rządzący. W Mali i Burkina Faso, a teraz także w Nigrze rządzącym zarzucano też, że nie radzili sobie z trwającym tam powstaniem dżihadystów (jedynie w 2022 r. zginęło ponad 10 tys. ludzi, ale niemal wyłącznie w Mali i Burkina Faso). Niger, należący wraz z sąsiadami z Sahelu do najbiedniejszych i najbardziej zacofanych państw świata, toczy z dżihadystami aż dwie wojny, z dwiema różnymi, choć sprzymierzonymi partyzantkami – jedną na zachodzie, na pograniczu z Mali i Burkina Faso, a drugą na wschodzie, na brzegach jeziora Czad.

Przed kilkunastoma laty, gdy w tej części Afryki wybuchło powstanie dżihadystów, ciężar walki z nimi wzięła na siebie Francja, dawna metropolia kolonialna prawie całego Sahelu. Nie udało jej się pokonać partyzantów – mało komu się to udaje – i w efekcie to ją mieszkańcy Sahelu obarczyli winą za wojenną zawieruchę, a także za fatalnych rządzących, których Paryż wspierał. Gdy w Mali i Burkina Faso doszło do przewrotów, nowi władcy w mundurach kazali się Francuzom wynosić, a na ich miejsce zaprosili rosyjską Grupę Wagnera.

Dotąd Niger pozostawał najważniejszym sojusznikiem Zachodu w afrykańskiej wojnie z dżihadystami. Francuzi i Amerykanie mają tu bazy z kilkoma tysiącami żołnierzy, a UE płaci, by tutejsze wojsko zatrzymywało afrykańskich imigrantów wędrujących do Europy.

AFP / EAST NEWS

Demonstracja przed Zgromadzeniem Narodowym w Niamey. Niger, 27 lipca 2023 r.

Puczyści z Niamey zapewniają, że dotrzymają zaciągniętych przez Niger umów. Mogą jednak zmienić zdanie, gdy Zachód wstrzyma – już to zapowiedział – pomoc i zażąda zwrócenia władzy cywilom.

Jewgienij Prigożyn już obiecuje, że podeśle swoich ludzi do Nigru, jeśli wyniosą się stamtąd Francuzi i Amerykanie. Gdyby Kremlowi udało się skłócić Niger z Zachodem, Rosja stałaby się gospodynią całego Sahelu (wagnerowcy działają też w Republice Środkowoafrykańskiej, sudańskim Darfurze i na wschodzie Libii). Pokusą dla Moskwy mogą być kopalnie uranu w Nigrze, jedne z najbogatszych na świecie.

©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

Kto podpisuje jaja, ten nie musi wychowywać obcych dzieci

EWOLUCJA ▪ Kukułki są na wojnie z wieloma gatunkami ptaków, do których gniazd podrzucają swoje jaja. Wychowanie podrzutka jest poważnym kosztem dla rodziców i nie chodzi tylko o karmienie wygłodniałego pisklaka noszącego obce geny – kukułki wyrzucają jajo gospodarza i zastępują je swoim, a ich pisklęta, które wykluwają się wcześniej niż przybrane rodzeństwo, również mają nieelegancki zwyczaj pozbywania się pozostałych jaj lub piskląt. Tworzy to silną presję selekcyjną napędzającą tzw. ewolucyjny wyścig zbrojeń: kukułki w kolejnych pokoleniach coraz bardziej upodabniają swoje jaja do jaj gatunków, na których pasożytują, a ich ofiary coraz lepiej uczą się rozpoznawania intruzów.

Niekiedy sytuacja wręcz wymyka się spod kontroli. Kukułki sawannowe, zamieszkujące wiele krajów Afryki subsaharyjskiej, doprowadziły sztukę naśladowniczą niemal do perfekcji. Gdyby umieścić ich jaja wśród jaj dziwogona żałobnego, tak jak na zdjęciach powyżej, to dla ludzkiego oka byłyby nieodróżnialne, mimo że samice dziwogonów składają jaja o różnych odcieniach (od białego do czerwono-brązowego) i różniące się pokrywającymi je wzorami (jaja mogą być upstrzone różną liczbą ciemnych kropek lub plamek). Jak kukułkom jednego gatunku udaje się produkować tak szeroki zestaw jaj – tego do końca nie wiemy. Wiemy tylko, że umiejętność ta zależy od genów przekazywanych wyłącznie w linii żeńskiej, z matek na córki (na chromosomie płciowym W, którego nie dziedziczą samce). Wiemy też, że dziwogony również osiągnęły perfekcję – w identyfikacji podrzutków. Zgodnie z komputerowym modelem opracowanym przez zespół Jess Lund z Uniwersytetu w Cambridge, aż 94 proc. jaj kukułek jest przez dziwogony rozpoznawanych i usuwanych z gniazd. To wynik niespotykany u innych gatunków.

UNIVERSITY OF CAMBRIDGE

W każdym zestawie jajo po prawej pochodzi od kukułki, pozostałe należą do dziwogonów.

Co stoi za tym sukcesem? Z badań przeprowadzonych przez Lund i współpracowników, opisanych w „Proceedings of the Royal Society", wynika, że dziwogony wynalazły indywidualne „podpisy". Każda samica składa jaja o charakterystycznym dla siebie wyglądzie. I choć w populacji kukułek znajdą się takie samice, które potrafią złożyć identyczne jaja jak konkretne samice dziwogonów, to rzadko udaje im się trafić do odpowiedniego dla nich gniazda. Znacznie częściej będą wybierać gniazda z jajami podobnymi, ale różniącymi się w szczegółach – co ułatwia dziwogonom zadanie.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

Czy podczas mszy będzie można zatańczyć

LITURGIA ▪ Konferencja episkopatu Meksyku złożyła w Watykanie projekt zmian w liturgii Eucharystii, włączających do celebracji w rycie rzymskim elementy pochodzące z kultur rdzennych ludów żyjących na meksykańskim terytorium. Zmiany polegają na wprowadzeniu rytualnego tańca w momencie dziękczynienia po komunii, a także na uwzględnieniu plemiennej struktury społecznej, w której ważne role odgrywają określone osoby świeckie. Osoby te w trakcie mszy miałyby w pewnych momentach prowadzić modlitwę wspólnoty, a także okadzać ołtarz i krzyż (ta ostatnia czynność do tej pory należy do księdza).

Liturgia z wprowadzonymi zmianami miałaby być odprawiana we wspólnotach, których członkami są rdzenni mieszkańcy kraju. Warto zaznaczyć, że właśnie katolicy pochodzący z Pierwszych Narodów byli inicjatorami zmian. Propozycje były dyskutowane przez teologów i biskupów, najpierw diecezji San Cristóbal de Las Casas (w której rdzenni stanowią niemal jedną trzecią populacji), a następnie na plenarnym zgromadzeniu całej krajowej konferencji episkopatu.

Meksykańska inicjatywa jest warta odnotowania z dwóch względów. To ciekawy projekt integracji rytu rzymskiego (wspólnego dla całego Kościoła) i lokalnych elementów kulturowych. Próbuje zatem zachować równowagę pomiędzy powszechnością Kościoła a jego zawsze konkretną, lokalną realizacją. Niezwykle ważne jest też to, że ten konkretny proces inkulturacji ma kierunek oddolny: osoby pochodzące z rdzennych wspólnot sformułowały pomysły zmian, które odpowiadają ich wrażliwości i kulturze. Następnie te pomysły zostały skonsultowane w grupach złożonych zarówno z pomysłodawców, jak i z osób odpowiedzialnych za jedność katolików w całej diecezji.

Teraz losy projektu zależą od watykańskiej dykasterii. Ciekawe, czy jej urzędnicy porozmawiają z autorami projektu.

©℗ PIOTR SIKORA

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TP"
co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w Radiu Tok FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce
www.tokfm.pl

TEMAT TYGODNIKA

NA SŁUŻBIE

Źle wyszkolona, niedofinansowana, zestresowana. I upolityczniona. Policja, mająca dbać o nasze bezpieczeństwo i reprezentować powagę państwa, przeżywa największy wizerunkowy kryzys od lat.

DAWID SERAFIN

Joanna z Krakowa zażyła tabletkę poronną, ponieważ była przekonana, że ciąża może zagrażać jej zdrowiu, a płód może być uszkodzony. Kiedy poczuła się źle, poinformowała swoją lekarkę. Została zabrana do szpitala, a z jej opowieści wynika, że tam czekali już na nią policjanci. Odebrali kobiecie telefon i laptop. Sąd uzna później, że smartfon zabezpieczono niezgodnie z prawem i nakaże jego zwrot.

– Kazano mi się rozebrać, robić przysiady i kaszleć. Rozebrałam się, ale majtek nie zdjęłam. Wtedy coś we mnie pękło. Wykrzyczałam policjantom w twarz: czego wy ode mnie chcecie?! Zaczęłam się poważnie zastanawiać, czy kolejnym krokiem nie będzie aresztowanie mnie – opowiada mi krakowianka o wydarzeniach z 27 kwietnia. Od policjantów nie usłyszała słowa „przepraszam".

Komendant główny Jarosław Szymczyk na specjalnie zwołanej konferencji prasowej powiedział „jasno i wyraźnie", że sytuacja nie była winą policji. Podkreślił, że „zdecydowanie nie zgadza się na publiczny lincz" funkcjonariuszy.

Po wydarzeniach z Krakowa nastał czas, by zapytać o kondycję formacji, w której służy ponad 94 tys. funkcjonariuszy.

Trwały związek z władzą

Generał Szymczyk to jedyny wysoki rangą funkcjonariusz, który przetrwał czystki z 2015 r. Po przejęciu władzy przez PiS wiceministrem odpowiedzialnym za policję został Jarosław Zieliński, który szybko przystąpił do wprowadzania „dobrej zmiany". Bez jego zgody nikt nie mógł awansować, a nominacje konsultowano z lokalnymi strukturami partii. Wprawdzie do zmian na najważniejszych stanowiskach dochodziło w policji po każdych wyborach, ale nigdy rewolucja kadrowa nie była tak głęboka.

MONTAŻ TP-ONLINE
ZDJĘCIA:
EAST NEWS I FORUM

Funkcjonariusze szybko zrozumieli, że aby przetrwać i piąć się po szczeblach kariery, muszą nauczyć się poruszać w politycznych labiryntach. Natychmiast pojął to Maciej Zakrzewski, były już naczelnik białostockiej prewencji. To on kilka miesięcy po objęciu ministerialnej teki przez związanego od lat z Podlasiem Zielińskiego kazał sypać z helikoptera konfetti na głowę wiceministra (patrz ramka). Później z rąk polityka otrzymał awans na podinspektora. O Zakrzewskim znów zrobiło się głośno w marcu 2023 r., kiedy w Dzień Kobiet klepnął jedną z pracownic komendy w pośladki, a wcześniej miał jej składać niemoralne propozycje. Decyzją przełożonych został przeniesiony z komendy wojewódzkiej do miejskiej.

Jarosław Szymczyk, którego od degradacji ocalił Zieliński, pochodzi z Katowic, a do służby wstąpił w 1990 r. Jego kariera nabrała tempa za pierwszych rządów PiS. W 2006 r. został szefem wszystkich gliwickich policjantów, by rok później objąć stanowisko komendanta wojewódzkiego w Rzeszowie. Za PO też piął się po szczeblach kariery: najpierw dowodził policjantami świętokrzyskimi, potem śląskimi. W 2014 r. ówczesny prezydent Bronisław Komorowski mianował go nadinspektorem – to w policji pierwszy stopień generalski. Po kolejnej zmianie władzy został w kwietniu 2016 r. komendantem głównym i trwa na tym stanowisku do dziś. Długo jak nikt dotąd.

Wybór Szymczyka na najważniejszego policjanta w kraju był logiczny: miał doświadczenie w zarządzaniu ludźmi, dobrą opinię u podwładnych, oprócz szkoły policyjnej skończył socjologię. Doktorat ma z lingwistyki (tytuł pracy: „Modalność deontyczna w policyjnych aktach prawnych").

Kilka tygodni po objęciu stanowiska Szymczyk stanął przed pierwszym testem. W Gdańsku podczas Marszu Równości policja interweniowała przeciwko osobom próbującym zablokować przemarsz. Wśród zatrzymanych i obezwładnionych znalazła się córka gdańskiej radnej PiS. Mariusz Błaszczak domagał się wyciągnięcia wobec policjantów konsekwencji, ale Szymczyk nie zawahał się stanąć po stronie podwładnych, chociaż zdawał sobie sprawę, że ryzykuje stanowiskiem.

Szymczyk w kryzysowych sytuacjach zawsze broni policjantów. Tak było m.in. w 2015 r., kiedy w Jastrzębiu-Zdroju podczas górniczych protestów policja użyła broni gładkolufowej i rannych zostało 20 demonstrantów. Podobnie postąpił w sprawie pani Joanny.

Polityczno-policyjny związek generała z partią władzy trwa od lat i obie strony wiele sobie zawdzięczają. O tym, jak silna jest to relacja, mogliśmy się przekonać w grudniu 2022 r., gdy w pomieszczeniu sąsiadującym z gabinetem komendanta doszło do wybuchu. Szymczykowi podczas przenoszenia wypalił w dłoni granatnik – prezent przywieziony z Ukrainy. Jednak szybko stało się jasne, że komendant może być spokojny o stanowisko – prokuratura uznała go za pokrzywdzonego. Publicznie bronił go też minister Mariusz Kamiński, któremu obecnie podlega policja, a który sam w przeszłości został nieprawomocnie skazany na trzy lata więzienia za przekroczenie uprawnień służbowych – i ułaskawiony w kontrowersyjnych okolicznościach przez Andrzeja Dudę.

– Proszę posłuchać, jak to brzmi: najważniejszy policjant w Polsce przewozi przez granicę granatnik, w jakiś sposób dostaje się on na teren strzeżonej jednostki i dochodzi do wybuchu. My nie możemy przyjść z prywatną pałką teleskopową, a tutaj wniesiono granatnik – podkreśla funkcjonariusz KGP, zastrzegając anonimowość. – Każda inna osoba zostałaby zatrzymana i usłyszała zarzuty narażenia innych na utratę życia i zdrowia. Jeśli mi pan nie wierzy, proszę zrobić w redakcji to samo, co generał w komendzie. Reakcja będzie inna, bo nie ma pan tyle zasług dla partii, co Szymczyk. Może jest dobrym policjantem, ale to upolitycznienie służby stało się już koszmarne – dodaje.

Funkcja funkcjonariuszy

To upolitycznienie było najwyraźniej widać pod koniec 2020 r., po wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji, który wywołał protesty w wielu polskich miastach. Siedemnastoletnia wówczas Małgorzata postanowiła zorganizować demonstrację w Limanowej. Na protest przyszło ok. 400 osób. Policjanci spisali nastolatkę i skierowali sprawę do sądu.

Z kolei policjanci z Olsztyna chcieli ukarania czternastoletniej uczestniczki protestu, bo uznali, że brała udział w nielegalnym zgromadzeniu. Zgłosili sprawę do sądu rodzinnego, który uznał wniosek za kuriozalny i odmówił wszczęcia postępowania.

Na nagraniach z warszawskiej demonstracji Strajku Kobiet widać, jak funkcjonariusze ubrani po cywilnemu biją pałkami teleskopowymi pokojowo protestujące osoby. Zarejestrowano również, jak policjant pryska gazem łzawiącym w twarz posłanki Barbary Nowackiej, kiedy ta pokazuje poselską legitymację (policja argumentowała, że ↦

↦ funkcjonariusz w dynamicznej sytuacji nie mógł legitymacji zobaczyć).

Przykłady można mnożyć. W styczniu 2021 r. rzecznik praw obywatelskich interweniował w sprawie nastolatka z Opola, działacza Młodzieżowego Strajku Klimatycznego, który podczas demonstracji użył megafonu. Upomniany przez policjantów odłożył go na bok, ale funkcjonariusze i tak powiadomili sąd rodzinny, że chłopak jest zdemoralizowany. W Poznaniu policjanci uznali, że kobieta, która zabrała głos na początku i na końcu zgromadzenia, jest nielegalną organizatorką, i postawiła jej zarzuty. Natomiast we Wrocławiu policja chciała ukarać siedemnastoletnią uczestniczkę protestu ekologicznego, gdyż ich zdaniem naruszyła ład i porządek publiczny. Siedziała na chodniku.

– Funkcjonariuszy obowiązuje zasada legalizmu, nie ma więc możliwości odstąpienia od podejmowania czynności – mówi o tych decyzjach policjantów rzecznik prasowy komendy głównej insp. Mariusz Ciarka. – Nie ma takiej możliwości, że czegoś nie zrobimy ze względu na kwestie wizerunkowe. System jest tak skonstruowany, że policjant działa w ramach obowiązującego prawa, nawet jeśli może się to spotkać z nieprzychylnym odbiorem części opinii publicznej. Zwyczajnie jesteśmy związani przepisami. Jednak to nie my je ustalamy – tłumaczy.

O tym, jak się kończy odmowa wykonania polecenia o zabarwieniu politycznym, przekonał się we wrześniu 2022 r. nadkomisarz Paweł Jastrząb, ówczesny zastępca komendanta miejskiego policji w Krakowie, odpowiedzialny za pion prewencji. Odmówił odebrania megafonu protestującym przed siedzibą PiS, choć o uciszenie demonstrantów miał poprosić jeden z polityków prawicy. O postawie nadkomisarza do Komendy Głównej Policji donieśli wpływowi przedstawiciele partii władzy. Oficer stracił stanowisko, oficjalnie z powodu rzekomych błędów przy zabezpieczeniu miesięcznicy na Wawelu.

Na miesięcznice narzekają nie tylko policjanci z Krakowa. Zaczęło się już w 2018 r. w Szczecinie, gdy aktywiści Komitetu Obrony Demokracji ubrali pomnik prezydenta Lecha Kaczyńskiego w koszulkę z napisem „KonsTYtucJA". Później akcja rozlała się na cały kraj. Choć wzbudzała przeważnie uśmiech na twarzy, to Ryszardowi Filipiukowi z Białej Podlaskiej do śmiechu nie było.

Aniołki władzy

KONFETTI DLA MINISTRA
Podczas obchodów Święta Niepodległości w Augustowie w 2016 r., w których brał udział wiceszef MSW Jarosław Zieliński, policja sypała z helikoptera konfetti, wcześniej osobiście wycinane przez funkcjonariuszy prewencji z Białegostoku.

ANDRZEJ SZKOCKI / POLSKA PRESS

SZEF DODA CI SKRZYDEŁ
Szczeciński Orszak Trzech Króli w 2017 r. zabezpieczali funkcjonariusze policji konnej (na zdjęciu), na polecenie przełożonych przebrani za anioły ze skrzydłami.

BAŁWANEK TERRORYSTYCZNY
Czterech policjantów interweniowało 12 stycznia 2021 r. pod pomnikiem smoleńskim w Warszawie z powodu ulepionego przez aktywistki bałwanka w kształcie kaczki. Na ich nagraniu funkcjonariusz informuje, że bałwanek stanowi zagrożenie terrorystyczne.

ZABRAĆ DZIECKU KREDĘ
Policyjni technicy 7 października 2021 r. zabezpieczyli dziecięce rysunki wspierające uchodźców, namalowane na chodniku przed siedzibą PiS w Krakowie. Policja zarekwirowała też dzieciom kredę.

O SPOKÓJ PREZESA
Każdej doby okolice domu Jarosława Kaczyńskiego ochraniało w 2021 r. nawet 40 policjantów – ustalili reporterzy TVN24, którzy dotarli do rozpiski zadań funkcjonariuszy. Wynikało z niej, że podczas ośmiogodzinnej zmiany o spokój ówczesnego wicepremiera dbało 26 policjantów w trzech furgonach i jednym mniejszym radiowozie, a także w dwóch autach nieoznakowanych. ©

W sierpniu 2018 r. policja o 6.00 przeszukała jego dom. Stanisława Dembowskiego, który wraz z nim zakładał koszulkę na pomnik prezydenta, zatrzymano na 48 godzin (później sąd uznał to za bezzasadne). W efekcie wydarzeń pomnik smoleński na placu Piłsudskiego w Warszawie jest pilnowany przez całą dobę. W dniu miesięcznicy zabezpiecza go nawet kilkunastu policjantów.

O spokój prezesa PiS i jego współpracowników dba zresztą wielu mundurowych. Na początku stycznia członkowie tzw. Lotnej Brygady Opozycji wynajęli mieszkanie w okolicach placu. Policjanci sprowadzili wóz strażacki i za pomocą wysięgnika obserwowali, co się dzieje w środku. Przekonywali, że to dla dobra przebywających w pokoju osób. – Nie wierzę, że mogło się to odbyć bez zgody najważniejszego z nas. Jedna taka akcja niweczy tysiące innych, które każdego dnia podejmujemy – irytuje się jeden z policjantów pracujących w komendzie wojewódzkiej na południu kraju.

Dylematy i rozkazy

Policjanci w całym kraju podejmują 15 tys. interwencji dziennie. W skali miesiąca możemy je liczyć w setkach tysięcy. Według statystyk każdego dnia na gorącym uczynku łapanych jest ok. 600 sprawców przestępstw i ponad 200 nietrzeźwych kierowców.

– To ogromna liczba, z czego przeciętny obywatel nie zdaje sobie sprawy. Promil z nich jest niefortunny, ale powoduje, że zaufanie do policjantów spada – przyznaje Andrzej Szary, wiceprzewodniczący Zarządu Głównego NSZZ Policjantów.

Piotr (imię zmienione) w oddziale prewencji pracuje od blisko pięciu lat. Miesięcznie zarabia trochę ponad 4 tys. zł netto. Do policji wstąpił zaraz po liceum. Mówi, że w dzieciństwie czytał kryminały i chciał rozwiązywać trudne sprawy. Rzeczywistość jest na razie inna.

– Kiedy mam służbę weekendową, sporo jest interwencji w związku z pijanymi, jakieś bójki, pobicia, czasem interwencje domowe – opowiada. – Najgorsze są awantury rodzinne, gdzie w domu zastaję małe dzieci. Jest sporo emocji, ale nie wolno sobie pozwolić na chwilę dekoncentracji, bo straci się kontrolę nad sytuacją.

Na zabezpieczeniu protestów w Warszawie Piotr był dwa razy. – Podczas

JACEK TARAN

„Dziękujemy za gaz łzawiący, bicie, ciągnięcie po asfalcie, szarpanie, grzywny" – mówiły do policjantów działaczki Ogólnopolskiego Strajku Kobiet podczas demonstracji „Solidarnie z Joanną". Demonstracje odbyły się w kilku miastach w Polsce. Kraków, 25 lipca 2023 r.

takich działań nie ma miejsca na dyskusję, jest rozkaz, trzeba go wykonać – mówi. – Jak sobie z tym radzę? Raczej nie myślę, traktuję polecenia jak zadania do wykonania. Tak, rozmawialiśmy z chłopakami. Jedni popierali protesty, inni nie mieli zdania. Wiem, że niektóre oddziały z północy buntowały się przeciwko wyjazdom, ale chyba nic nie wskórały.

Opowiada o adrenalinie i stresie podczas takich akcji. – Nie jest miłe, kiedy ktoś stoi przed tobą i krzyczy, że masz zdjąć mundur i przeprosić matkę. To wkurza, bo przecież nie po to wstąpiłeś do policji, aby szarpać się z kobietami. Jeszcze bardziej wkurza, jak w środku rozumiesz, dlaczego są te protesty. Wiadomo, dylematy są. Jednego dnia zabezpieczasz protest Strajku Kobiet, a za tydzień jest mecz i pilnujesz grupy agresywnych kiboli.

Zdaniem Andrzeja Szarego interwencje, o których potem głośno jest w mediach, mogą wynikać z podstawowego problemu: – Poziom szkolenia jest niewystarczający, o czym od lat mówi NSZZ Policjantów – zaznacza Szary. – Każdy, kto chce zostać policjantem i przejdzie wstępne testy, trafia na sześciomiesięczne szkolenie do jednej ze szkół policyjnych. W tym czasie uczy się kursanta strzelania, użycia technik przymusu bezpośredniego czy podstaw prawa. Potem są dwa miesiące adaptacji pod okiem doświadczonych policjantów.

Czy w osiem miesięcy można stać się policjantem? – Młodzi, podobnie jak w każdym zawodzie, na początku popełniają błędy. Tylko że w przypadku policji mogą mieć one tragiczny skutek. Brakuje niestety kursów specjalistycznych, na których funkcjonariusze szkoliliby swoje umiejętności – uważa Szary.

Potwierdza to ubiegłoroczny raport NIK. Jedynym obowiązkowym kursem jest ten podstawowy (1123 godziny, w pandemii – 455), na specjalistyczne kursy trafia mniej niż połowa policjantów, a wyższa kadra nie szkoli się prawie w ogóle.

Oddajcie czajniki, nie śpijcie

Kolejny problem polskiej policji: z dylematami i emocjami, o których mówi Piotr, funkcjonariusze zostają sami. Andrzej Szary opowiada, jak wygląda wsparcie psychologiczne na przykładzie komendy wojewódzkiej w Poznaniu: – Na osiem tysięcy osób jest kilku psychologów. Udzielenie pomocy każdemu czy nawet porozmawianie z wszystkimi policjantami jest niemożliwe – przyznaje. – Każdy policjant po kilku latach służby odczuwa stres i powinien wiedzieć, jak sobie z nim radzić. Niestety, dziś policyjni psychologowie zajmują się głównie sprawdzaniem testów psychologicznych kandydatów do służby, a pomoc funkcjonariuszom i ich rodzinom jest marginalna. Na ten cel powinny być przeznaczone dodatkowe pieniądze, a ich nie ma – podkreśla.

Finanse w polskiej policji to drażliwy temat. Na koniec 2022 r., jak ustalili dziennikarze Wirtualnej Polski, zadłużenie komend wojewódzkich wynosiło 33 mln zł. Pieniędzy brakowało na wszystko. Komenda Wojewódzka w Krakowie zalegała z rachunkami na ponad 9 mln zł za prąd, usługi telekomunikacyjne, opłaty administracyjne oraz czynsze. Brakowało też na biegłych i ekspertów; niektórzy na wypłatę musieli czekać nawet pół roku. Dopiero po otrzymaniu pieniędzy z tegorocznego budżetu udało się komendzie spłacić zaległości.

Krakowski przypadek nie jest odosobniony. Dlatego nikogo w policji nie dziwią zalecenia, jak te wydane przez szefostwo komendy miejskiej w Bydgoszczy, gdzie wezwano policjantów do oddania czajników elektrycznych.

W mniejszych komendach i komisariatach najpoważniejszym problemem jest... brak radiowozów. W samej Małopolsce do niedawna uziemionych było 320 pojazdów. To 20 proc. całej policyjnej floty w regionie. Przez zepsute sprzęgła, spalone żarówki czy inne drobiazgi uniemożliwiające zaliczenie przeglądu technicznego. Powód: brak pieniędzy. Efekt: jeden z małopolskich powiatów liczący prawie 100 tys. mieszkańców nocą ↦

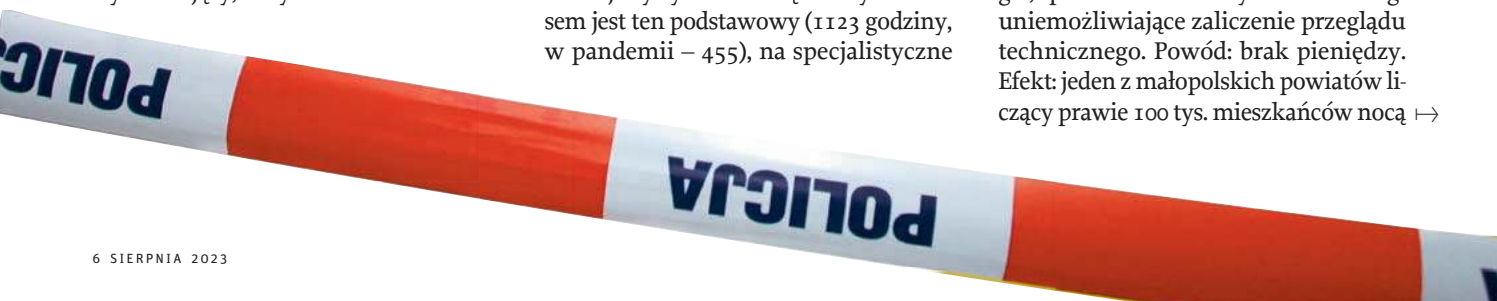

patrolują tylko dwa radiowozy. W tym samym czasie komenda wojewódzka w Krakowie zakupiła mercedesa wartego 405 tys. zł. Korzysta z niego m.in. szef małopolskich policjantów.

Na ekskluzywne auta fundusze są, ale nie na godne pensje. – Mimo waloryzacji płac inflacja zrobiła swoje. Początkujący policjant może liczyć na ok. 4 tys. zł na rękę – mówi wiceszef NSZZ Policjantów.

A w jego ocenie sytuacja z naborem do policji stała się krytyczna. W służbie jest ponad 94 tys. funkcjonariuszy, ale wciąż nieobsadzonych pozostaje 13 tys. stanowisk. Według planów do 2025 r. w formacji ma być ponad 110 tys. osób. Pytanie tylko, czy znajdą się chętni. – Jeszcze 10 lat temu na jedno miejsce chętnych było nawet 12 osób. Teraz to 1,5 kandydata – mówi Andrzej Szary. – Ale nawet gdy ktoś złoży dokumenty, to nie znaczy, że się do służby nadaje. Nie można przecież obniżać standardów, które i tak w ostatnich latach zostały poluzowane.

Sytuację kadrową pogorszyły też masowe odejścia funkcjonariuszy z długoletnim doświadczeniem. Tylko od stycznia do czerwca ze służbą pożegnało się 8352 policjantów. To dwukrotnie więcej niż w całym 2022 r., kiedy z pracy zrezygnowały 4762 osoby.

Mundur porzucają także osoby będące w służbie jedynie kilka lat. Powody są różne: stres, przepracowanie, notoryczne zmęczenie, długie dojazdy do miejsca pełnienia służby. W marcu rzecznik praw obywatelskich Marcin Wiącek w piśmie do komendanta Szymczyka zwrócił uwagę, że funkcjonariuszom należy pomóc w zadbaniu o balans między pracą a życiem prywatnym. Z powodu wakatów część mundurowych pełni służbę z dala od miejsca zamieszkania, a ich prośby o przeniesienie do jednostek bliżej domu są odrzucane.

Takie sygnały płyną z całej Polski. Przykład: policjantka, aby dotrzeć na poranną zmianę, którą zaczynała o 6.00, musiała wstać o 3.30. Najpierw zawoziła dziecko do swoich rodziców, potem jechała do komendy powiatowej pobrać broń, a następnie do miejsca pełnienia służby, oddalonego 40 km od jej domu. Nieraz kończyła służbę o 22.00, a kolejną zaczynała następnego dnia o 6.00. Po odliczeniu czasu na dojazd zostawały jej cztery godziny na odpoczynek.

Zgodnie z przepisami funkcjonariusz pomiędzy dyżurami powinien mieć 11 godzin odpoczynku. W przypadku policjantki problem rozwiązano tak, że w grafiku jako godzinę rozpoczęcia służby wpisano 9.00. Trwało to przez pół roku. Kobieta już w policji nie pracuje.

Przepisowo policjant powinien pracować 40 godzin w tygodniu. W wyjątkowych przypadkach można wydłużyć ten czas do 48 godzin. To jednak często fikcja. – Nadgodziny to norma w naszej komendzie, nie znam policjanta, który by ich nie robił. Potem zdarza się, że na

JACEK BEDNARCZYK / PAP

Sprawiedliwość po latach

NA POZYTYWNY WIZERUNEK policji pracują m.in. Archiwa X, które zajmują się sprawami nierozwiązanych zbrodni sprzed lat. Funkcjonują w ramach wydziałów kryminalnych każdej komendy wojewódzkiej w kraju i mają ogromne sukcesy.

W LISTOPADZIE 2005 r. w Zabrzu znaleziono nadpalone ciało mężczyzny. Sekcja zwłok wykazała, że został uduszony, a do jego podpalenia miało dojść już po śmierci. W 2022 r. policjanci ze śląskiego Archiwum X zatrzymali trzech mężczyzn podejrzanych o tę zbrodnię. Sprawa jest w toku, a oskarżonym grozi dożywocie. Z kolei krakowskie Archiwum X zatrzymało rok temu człowieka, który może stać za morderstwem Teresy Kosman, sklepikarki z Niedomic. By zidentyfikować podejrzanego, śledczy pobrali blisko 700 próbek DNA.

UMORZONĄ SPRAWĘ 65-letniej mieszkanki Bytomia, której ciało znaleziono w jej mieszkaniu w 2000 r., również rozwiązali (w 2019 r.) policjanci ze śląskiego Archiwum X. Zatrzymali Piotra W., który został skazany na 25 lat więzienia. Z kolei kryminalni z Białegostoku pod koniec 2023 r. zatrzymali 50-letniego mężczyznę, który 30 lat wcześniej miał zabić przechodnia przy ul. Żelaznej. ©

wypłacenie za nie pieniędzy czekamy po kilka tygodni – mówi anonimowo policjant.

Dobrzy funkcjonariusze

A jednak policja wciąż cieszy się ogromnym zaufaniem społecznym, choć zarazem badania pokazują, że ostatnio poważnie ono spadło: w marcu 2020 r. działania policji dobrze oceniało aż 80 proc. społeczeństwa i był to najlepszy wynik od ponad 30 lat. Obecnie policji ufa 63 proc. Polaków.

Rzecznik Ciarka za ten spadek wini działania mundurowych w pandemii: – Wizerunkowo na pewno nam się oberwało, ale dzięki skutecznym działaniom policji wspierającej inspekcję sanitarną nie mieliśmy takich obrazków, jak w innych państwach, gdzie brakowało miejsc w szpitalach, a w prosektoriach i korytarzach zalegały ciała – przekonuje. – U nas transmisja wirusa była skutecznie hamowana w dużej mierze dzięki policjantom.

Na powyższe nie ma twardych dowodów, a spadku zaufania do policji trudno nie kojarzyć również z jej upolitycznieniem: czas między 2020 a 2023 rokiem to przecież demonstracje Strajku Kobiet i w obronie praworządności, pilnowanie domu Jarosława Kaczyńskiego i pomnika smoleńskiego.

– Oczywiście pandemia miała jakiś wpływ, bo policja podejmowała interwencje pod pretekstem łamania obowiązujących wówczas przepisów. My jednak zaobserwowaliśmy załamanie zaufania do niej w okresie, kiedy doszło do protestów związanych z ograniczeniem prawa do aborcji. Nastąpił on z powodu sposobu, w jaki policja odpowiedziała na te protesty – mówi Marcin Duma, prezes pracowni sondażowej IBRiS.

Równocześnie jednak aż 9 na 10 Polaków czuje się bezpiecznych w miejscu swojego zamieszkania.

– Na policję nie należy patrzeć przez pryzmat Warszawy. W terenie pracuje wielu bardzo dobrych funkcjonariuszy, którzy znają mieszkańców, często od lat. A i problemy w mniejszych miejscowościach są inne niż w dużych miastach – mówi szef komisariatu na południu Polski. – Policjant nie jest tu anonimowy, nawet jak zdejmie mundur i idzie do sklepu, to ludzie wiedzą, kim jest. A jeśli zrobi coś głupiego, będą mu to pamiętać.

Zdaniem funkcjonariusza to właśnie lokalni policjanci najmocniej pracują na pozytywną opinię całej formacji. Ale punkty zbierają też np. funkcjonariusze Centralnego Biura Śledczego Policji, którzy mogą się pochwalić sporymi sukcesami w walce z zorganizowanymi grupami przestępczymi. Tylko w ostatnich kilku dniach rozbili duży gang narkotykowy i zlikwidowali nielegalną fabrykę papierosów.

Poprawiło się też bezpieczeństwo na drogach: w ciągu dziesięciu lat dwukrotnie spadła liczba śmiertelnych wypadków, a w ubiegłym roku po raz pierwszy od wielu lat zginęło w nich mniej niż dwa tysiące osób. Za sukces należy uznać również powołanie Centralnego Biura Zwalczania Cyberprzestępczości.

Andrzej Szary konkluduje: – W całej historii o policji za największy sukces uważam to, że udaje się osiągać tak dobre wyniki w zwalczaniu przestępczości i zapewnianiu bezpieczeństwa. I dzieje się to przy wszystkich problemach, które trapią formację na co dzień.

© DAWID SERAFIN

Autor jest dziennikarzem Interii.

Sytuacja z naborem stała się krytyczna. W służbie jest ponad 94 tys. funkcjonariuszy, ale wciąż pozostaje 13 tys. nieobsadzonych stanowisk.

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Anna Dziurdzikowska, Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:

Co do joty

Wielu pejsatych pięciolatków potrafi wyrecytować przynajmniej otwierające zdanie traktatu mądrościowego: „Mojżesz otrzymał Torę na Synaju i przekazał Ją Jozuemu, Jozue starszyźnie, starszyzna prorokom, a prorocy przekazali Ją mężom Wielkiego Zgromadzenia". Dalej w traktacie łańcuch tradycji jest poprzetykany sentencjami, ale – nie podając imion – można z grubsza kontynuować tak: ci przekazali Torę protorabinom, a protorabini (jeszcze nie tytularni) – rabinom właściwym. Ta preambuła jest w ortodoksyjnym judaizmie jedną z postaci tezy, iż Tora, którą dysponujemy dzisiaj, jest co do joty (co do najmniejszej z hebrajskich liter – „jud"?) tożsama z tą, którą otrzymał Mojżesz na Synaju. Mało tego – wedle tradycji pustynny przywódca dostał na tej górze również Torę Ustną. Komentując wers „Oto ustawy i prawa i nauki [hebr. ha-Torot, l. mn. od ha-Tora] które ustanowił Wiekuisty między Sobą a synami Israela u góry Synai przez Mojżesza" (Kpł 26, 46; Cylkow), midrasz interpretuje ha-Torot tak: oznacza to, że Izraelici otrzymali dwie Tory – Pisaną i Ustną.

Z warsztatu hebraisty: warto nadmienić, że w Pięcioksięgu słowo „Tora" nie jest używane z myślą o tymże Pięcioksięgu. Frapujące jest też to, że w preambule mamy słowo „Tora", a nie „ha-Tora" – owo „ha-„ to nic innego jak rodzajnik określony, a jego brak odpowiada w innych językach posiadających rodzajniki temu nieokreślonemu. „Tora" oznacza Pięć Ksiąg Mojżesza dopiero na tym etapie rozwoju języka hebrajskiego, gdy do gry wchodzą rabini.

Wróćmy do uświęconych tradycją interpretacji. W Księdze Wyjścia czytamy: „(...) a dam ci tablice kamienne z nauką [ha-Tora] i przykazaniami [w oryginale jest l. poj.], które napisałem, aby nauczać ich" (Wj 24, 12). Na jednej z pierwszych kart pierwszego traktatu Talmudu Babilońskiego rabin Lewi, syn Chamy, relacjonuje egzegezę rabina Szymona, syna Lakisza: „tablice kamienne" to Dekalog, „nauka" to Pismo, „przykazanie" to pierwsza część Talmudu, „które napisałem" – to Księgi Prorockie i Pisma (czyli – obok Pięcioksięgu – druga i trzecia część Biblii hebrajskiej), „aby nauczać ich" – (ewentualnie tu może to znaczyć) druga część Talmudu (czyli i same słowa rabina syna Lakisza!). Oznacza to, że one wszystkie zostały dane Mojżeszowi na Synaju. W podobnym duchu wypowiada się rabin Jehoszua, syn Lewiego, w Talmudzie Jerozolimskim, dodając: „nawet to, co wytrawny uczeń wyłoży przed swym rabinem, już zostało powiedziane Mojżeszowi na Synaju". Oczywiście rabini nie mówią tu o Bożym objawieniu na Synaju jako o wydarzeniu historycznym, tylko podkreślają totalność tego doświadczenia jako pan-praźródła. Zaiste to wyjątkowe wśród religii: nie jeden człowiek – np. Mahomet – sam doznał objawienia, lecz cały naród. ©

O. WACŁAW

Oszajca:

Kryzys to za mało

Prorok w Biblii jest widzącym, który innym otwiera oczy i pomaga zobaczyć „niewidzialne w widzialnym", a nie przepowiadaczem przyszłość. Jego rola polega na pokazywaniu, gdzie i jak w danym miejscu i czasie jest obecny i działa Ten Który Jest. Ignacy z Loyoli radzi studiującym teologię, żeby się ćwiczyli w „szukaniu obecności" Boga „we wszystkich rzeczach, jak np. w rozmowie, chodzeniu, patrzeniu, smakowaniu, słuchaniu, myśleniu oraz we wszystkich czynnościach", a to dlatego, że Bóg ze swej istoty „znajduje się w każdej rzeczy".

Właściwie to nic nowego, Piotr Apostoł przecież pisał: „Mamy także całkiem pewną wypowiedź proroków, i dobrze uczynicie, idąc za nią jak za pochodnią świecącą w ciemnym miejscu, aż zabłyśnie dzień i jutrzenka wzejdzie w waszych sercach! Przede wszystkim pamiętajcie, że nie można dowolnie wyjaśniać żadnej wypowiedzi proroka w Piśmie. Bo nie z woli człowieka głoszone były niegdyś proroctwa, lecz natchnieni Duchem Świętym przemawiali święci ludzie Boży". Pięknie, tylko po czym poznać, czy jakieś „głoszenie" jest z Bożego natchnienia?

Jan Apostoł podpowiada: „Strach nie jest w miłości, ale doskonała miłość na zewnątrz wyrzuca strach, bo strach udrękę ma, zaś bojący się nie stał się pełny w miłości. My miłujemy, bo on pierwszy umiłował nas. Jeśli ktoś rzekłby: »Miłuję – Boga«, a brata jego by nienawidził, kłamcą jest. Bowiem niemiłujący brata jego, którego ujrzał, Boga, którego nie ujrzał, nie może miłować". Skąd u apostoła taka karkołomna wiara w miłość? Z wiary, że zanim zaistnieliśmy w łonach naszych matek, już żyliśmy w „łonie Boga" jako Jego umiłowane dzieci, w których On się rozkochał. Z wiary, że Bóg jest i działa przez człowieka, z człowiekiem i w człowieku bez względu na jego „jakość". Z przekonania, że „miłość zasadza się bardziej na czynach niż na słowach", jak mówi Ignacy z Loyoli.

Dzisiaj s. Carmen Elisa Bandeo, odpowiedzialna za kwestie migrantów w Unii Przełożonych Generalnych, mówi, że, „celem naszych projektów [związanych z pomocą migrantom – WO] jest to, by w centrum wszelkiej polityki znalazła się osoba", jako że człowiek stanowi „centrum wszystkiego. Dlatego chcemy przypomnieć społeczeństwom, że ci wszyscy, którzy do nas docierają [czyli migranci – WO], szukają lepszego świata. Dlatego wraz z nimi możemy budować ten lepszy świat". Zakonnice chcą też zachęcić współsiostry i „wszystkich do rozwijania duchowości, która sprawi, że zostaniemy nawróceni, że nasze życie się zmieni przez zjawisko migracji", i tym samym damy „odpowiedź na kryzys. Choć ja uważam, że to nie jest kryzys, lecz nowe wyzwanie dla naszego społeczeństwa". ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Bóg w wielkim mieście

Sześćsetlecie Łodzi. Przeżyliśmy je 29 lipca. W gronie chrześcijan ze wszystkich Kościołów, które współtworzą to miasto, słuchaliśmy Słów Bożych. Także takiego, które nie tylko pozwala nam przeczytać przeszłość, ale i otworzyć się na przyszłość – na Obietnicę. Ta przyszła przede wszystkim ze słowem Apokalipsy św. Jana: „I zobaczyłem miasto święte..., które zstępuje z nieba od Boga, przygotowane jak panna młoda przystrojona dla swojego męża. I usłyszałem donośny głos od tronu, jak mówił: Oto miejsce przebywania Boga z ludźmi, i będzie mieszkał z nimi...” (Ap 21, 1-21).

Tu trzeba koniecznie przytoczyć tekst papieża Franciszka z „Evangelii gaudium”: „Miasto Święte (Ap 21) stanowi cel, do którego zmierza cała ludzkość. Interesujące jest, co mówi nam Objawienie, że pełnia ludzkości i dziejów urzeczywistnia się w mieście” (71).

„Jak to – zapyta ktoś – miasto punktem dojścia historii zbawienia? Miasto punktem dojścia zażyłości Boga z ludźmi?”. Czy nasze doświadczenie nie mówi nam czegoś dokładnie odwrotnego? Czy miasto nie jest jedną z najbardziej zsekularyzowanych ludzkich rzeczywistości? Gdzie (czy w ogóle) można Boga spotkać w mieście? Czy nie łatwiej spotkać Go w małym wiejskim, drewnianym, pachnącym pobożnością wszystkich poprzednich pokoleń kościółku? Pośród ludowej kultury przesiąkniętej na wylot chrześcijańskim orędziem? Między ludźmi, którzy ciągle jeszcze szczerze praktykują życie sakramentalne – od niedzielnej Eucharystii począwszy?

A może warto – w poszukiwaniu Boga – wycofać się z miasta jeszcze dalej? Na pustelnię. W samotność, dzieloną tylko z Nim. Bez możliwości zewnętrznych rozproszeń. W rytmicznej modlitwie, organizującej dzień i noc.

Ale miasto?!

Franciszek pisze: tak. Więcej: mówi, że Bóg nie tylko ostatecznie zamieszka w mieście. Mówi, że On już w nim żyje. I że – aby to odkryć – potrzebujemy wzroku odkrywającego, a nie wyczekującego Boga. „Obecność Boga towarzyszy szczeremu poszukiwaniu, jakie podejmują osoby i grupy, aby znaleźć oparcie i sens dla swego życia. On żyje pośród obywateli, krzewiąc solidarność, braterstwo, pragnienie dobra, prawdy i sprawiedliwości. Tej obecności nie powinno się tworzyć, lecz odkrywać ją, odsłaniać”.

Gdzie jest Bóg w mieście? Odpowiedź brzmi: w relacjach między ludźmi, we wspólnocie, w braterskim wzajemnym odniesieniu, które daje poczucie sensu i pokoju. We wspólnym poszukiwaniu prawdy. Kiedy jest między ludźmi w taki sposób – jako miłość, więź, pokój – to nie potrzebuje nawet osobnej świątyni, gdyż wypełnia sobą całą ludzką rzeczywistość. Miarą tego, jak dalece to nowe Miasto jest święte i Boże, nie jest liczba konsekrowanych w nim kościołów, lecz Boska jakość i intensywność międzyludzkich relacji! Także ich wielość, powszechność i różnorodność. W 600. rocznicę lokacji wiemy, że Łódź ma za sobą chrześcijańską przeszłość (powstała w końcu jako „miasto Kościoła włocławskiego”); mamy ufność, że ma przed sobą również Bożą przyszłość. Nasz wzrok wszakże pozwala nam się zachwycić tym wszystkim, co się d z i ś składa na jej Bożą teraźniejszość. ©

Zaczynaj od małego
i wstępuj ku wyższemu,
a gdy już zaczniesz,
nie zatrzymuj się.

TEOFAN REKLUZYNI

Nic tylko ziemskiego,
ani świętego. (...)
Czy to chodząc, stojąc,
siedząc lub leżąc,
odpowiadając
na wszystkie sytuacje
i spotykając się z każdym,
kto przychodzi:
wszystko jest Drogą.

MISTRZ ZEN MA TSU

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (6 – 13 VIII)

18. niedziela zwykła: Dn 7, 9-10. 13-14; Ps 97; 2 P 1, 16-19; Mt 17, 1-9;
Poniedziałek: Lb 11, 4b-15; Ps 81; Mt 14, 13-21;
Wtorek: Lb 12, 1-13; Ps 51; Mt 14, 22-36;
Środa: Oz 2, 16b. 17b. 21-22; Ps 45; Mt 25, 1-13;
Czwartek: Mdr 3, 1-9; Ps 112; J 12, 24-26;
Piątek: Pwt 4, 32-40; Ps 77; Mt 16, 24-28;
Sobota: Pwt 6, 4-13; Ps 18; Mt 17, 14-20;
19. niedziela zwykła: 1 Krl 19, 9a. 11-13a; Ps 85; Rz 9, 1-5; Mt 14, 22-33.

LIPCOWE SONDAŻE, LIPNE PROGNOZY

Wbrew atmosferze tworzonej przez media i polityków, polaryzacja w Polsce wcale się nie zwiększa. Wręcz przeciwnie: przybywa ludzi zmęczonych duopolem, który rządzi nami od niemal dwóch dekad.

JAROSŁAW FLIS

Polska polityka bierze właśnie ostatni głęboki oddech przed rzuceniem się w wir kampanii. Widzimy, co prawda, relacje z awantur w Sejmie i na konferencjach prasowych, podczas których dochodzi do emocjonalnych starć politycznych przeciwników, ale zasadnicza kampania ruszy dopiero we wrześniu. Analizując uważnie to, co działo się latem przed kilkoma poprzednimi wyborami, można jednak pokusić się o pewne wnioski oraz spróbować przewidzieć przyszłość.

Mityczny podział

Medialni kibice obu głównych partii są zadziwiająco zgodni w otwartym wyrażaniu tego, co Jarosław Kaczyński i Donald Tusk tylko sugerują – że liczą się wyłącznie oni. W tak skonstruowanej narracji wybór jest prosty i trzeba zdecydować się albo na jednego, albo drugiego – postawienie na kogoś innego ma być straconym głosem, oznaką naiwności, wręcz głupoty. Kłopot w tym, że opis ten rozmija się z rzeczywistością, i to od dość dawna.

Widać to wyraźnie, jeśli przeanalizujemy tegoroczne lipcowe sondaże, wyciągając z nich średnią i porównując ją z taką samą średnią z lipca poprzedzającego cztery poprzednie wybory parlamentarne od 2007 r. Tak skonstruowany obraz uwidacznia specyfikę polskiej sceny politycznej, na której są całkiem harmonijne proporcje stałości i zmiany, a także układ sił między starymi i nowymi partiami.

Przez 16 ostatnich lat każdy z członków starej „bandy czworga" – PiS, PO, SLD i PSL – obklejony został pozostałościami po uzurpatorach, którzy chcieli zająć ich miejsce. Do takiej roli aspirowała Solidarna Polska, Nowoczesna, Wiosna, Razem i Polska 2050 – nikomu nie udało się zmienić trwale naszej sceny politycznej. Różny jest też dziś poziom autonomii i realnej siły w ramach szerszych projektów, do jakich te partie przystąpiły. Jednak po staremu zdecydowana większość Polaków – nawet jeśli nie wszyscy z takim samym entuzjazmem – skłania się ku znanemu od lat czworościanowi.

Bezdyskusyjnym faktem pozostaje, iż w okresie letnim, poprzedzającym każde z czterech ostatnich wyborów parlamentarnych, polaryzacja na polskiej scenie politycznej była większa niż w tym roku. Jest więc inaczej, niż chcieliby to widzieć liderzy i najwierniejsi kibice dwóch największych partii. Polacy są coraz częściej zmęczeni duopolem. Zarówno PiS (36 proc. poparcia w sondażach z lipca 2023 r.), jak i PO (30,7 proc.) mają dziś poparcie mniejsze niż ich własna średnia lipcowa sprzed poprzednich czterech elekcji. Obydwu partiom zdarzało się już notować gorsze wyniki, lecz zarazem każdej brakuje dziś kilkunastu procent do swoich najlepszych osiągnięć. Wystarczy podać, że w lipcu 2019 r. sondaże dla PiS osiągały pułap 47,6 proc.

Jeśliby zaś policzyć wspólnie poparcie deklarowane dla obu hegemonów, to okaże się, że dziś głosowanie na PO lub PiS deklaruje 66,8 proc. Polaków, choć jeszcze cztery lata temu duopol ten zgarniał ponad trzy czwarte poparcia (76,3 proc.), a w 2011 r. wręcz 77,9 proc. Również w 2007 i 2015 r. „PO-PiS" miał się lepiej niż dziś. Oddanie głosu na jedną z tych dwóch sił deklarowało wówczas odpowiednio 69,2 oraz 69,6 proc. ankietowanych.

Lewica w ostatnich sondażach (średnio 8,7 proc.) też jest słabsza od własnej średniej z lipcowych badań opinii przed wcześniejszymi wyborami. Cztery lata temu notowała 11,8 proc., ale bywało też gorzej – latem 2015 r. jej poparcie wynosiło ledwie 4,4 proc. Z kolei rezultat koalicji PSL i Polski 2050 jest (wbrew poglądom części mediów stawiających na Tuska) wyraźnie lepszy od tego, na co kiedykolwiek w ostatnich 16 latach mogli liczyć ludowcy. W sumie para mniejszych udziałowców „bandy czworga", wzmocniona Hołownią oraz Zandbergiem/Biedroniem, ma się dziś ciut lepiej niż zazwyczaj w przeszłości. Także sondażowe poparcie dla Konfederacji jest znaczące, bo o połowę lepsze od tego, co średnio zbierali na tym etapie kampanii główni przeciwnicy starego układu.

Kubeł zimnej wody

Po marszu 4 czerwca wielu rozgorączkowanych komentatorów ogłaszało już polityczne tsunami, które zmiecie nie tylko partię rządzącą, ale i próbujących zachować swoją tożsamość mniejszych udziałowców „bloku senackiego". Rzeczywiście, miesiąc temu notowania Koalicji Obywatelskiej były wyższe niż przed marszem – zmiana o 2,5 punktu procentowego wydawała się początkiem „równi pochyłej" dla PiS i przebiciem się PO przez „szklany sufit". Stało się to jednak kosztem nie partii władzy, lecz potencjalnych koalicjantów Tuska. Kolejny miesiąc nie przyniósł KO pogłębienia przewagi, lecz spadek o pół punktu. Za to notowania Lewicy i „Trzeciej Drogi" ustabilizowały się na całkiem przyzwoitym poziomie 18,8 proc., dając im na spółkę niemal dwie trzecie tego, na co może liczyć KO.

Największym beneficjentem ostatnich miesięcy jest oczywiście Konfederacja. Duet Mentzen-Bosak podniósł od maja swoje notowania o 3 pkt. proc. Czy jednak gorączka facebookowych baniek, twitterowych awantur i tiktokowych zasięgów jest dobrym źródłem prognoz wyborczych? Nie sposób ich zupełnie zignorować, lecz może warto najpierw sprawdzić, jak ostateczne wyniki poprzednich jesiennych wyborów miały się do lipcowych sondaży.

Analizować to można na dwa sposoby. Pierwszym jest śledzenie losów konkretnych partii, które z niewielkimi zmianami zachowały swoją tożsamość przez minione 16 lat. Z tej strony patrząc, PiS jeszcze w żadnych wyborach nie zdobył wyższego poparcia, niż wskazywała średnia lipcowych badań opinii. Nie znaczy to oczywiście, że to nie może się zmienić, jednak analiza czterech kolejnych elekcji pozwala zauważyć, że w ciągu kilkudziesięciu ostatnich dni kadencji parlamentu liczba przeciwników PiS rośnie zawsze szybciej niż zwolenników. W 2007 r. ten spadek wynosił 0,5 pkt. proc., w 2019 – 4 pkt. proc.

W przypadku PO obraz jest mniej jednoznaczny, lecz to nie znaczy, że bardziej zachęcający. Owszem, w 2007 r. poparcie dla Platformy wzrosło na koniec o 4 pkt. proc., lecz już w kolejnych wyborach tak dobrze to nie wyglądało (-7,9). Partia słabła w kampanii zwłaszcza wtedy, gdy rządziła, ale przed czterema laty, już jako opozycja, także w październiku zanotowała wynik gorszy niż w lipcowych sondażach (-1,3).

Jeszcze mniej jednoznaczny obraz widzimy w przypadku Lewicy. Największy wzrost (o 3,1 pkt. proc.) względem lipcowych sondaży miał miejsce w 2015 r. i wynikał ze stworzenia listy Zjednoczonej Lewicy z niedobitkami kolejnych inicjatyw Janusza Palikota. Wszystko jednak skończyło się klęską z racji rozbicia się o wysoki próg wyborczy dla koalicji. ↦

Marsz Wolności zorganizowany przez partie opozycyjne w rocznicę wyborów z 1989 r., Warszawa, 4 czerwca 2023 r.

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Warto przy tym pamiętać, że u progu tamtej kampanii Lewica notowała fatalne wyniki, ale na jej koniec niewiele brakowało, by przekroczyła 8 proc.

Stały kierunek zmiany na plus, jeśli chodzi o porównanie lipcowych sondaży i ostateczny wynik wyborczy, widzimy natomiast w przypadku PSL. Tyle że obrazek ten traci na jednoznaczności, jeśli sobie uświadomić, że dwa największe wzrosty – w 2007 i 2019 r. – nie były do końca samodzielnym osiągnięciem ludowców. Przed czterema laty wynik poprawiło rzucenie koła ratunkowego Kukizowi; dwanaście lat wcześniej skok poparcia przyniosło przyciągnięcie zawiedzionych „sierot po PO-PiS-ie", które liczyły na wspólne rządy tych partii po wyborach 2005 r. i nie umiały rozstrzygnąć, kto zawinił, że do tego nie doszło.

Wszystkie analizowane wyniki partii można też pogrupować inaczej, np. spoglądając na ich miejsce w strukturach władzy. Partia rządząca we wszystkich czterech omawianych wyborach traciła w trakcie kampanii. Główna partia opozycji urosła tylko raz, podobnie jak trzecia siła w lipcowych rankingach. Dlatego entuzjazm liderów Konfederacji, którzy już widzą siebie jako tych, którzy przewracają stolik, ma słabe podstawy. Łatwiej może się wywrócić ich własny stołek – trzecie miejsce na podium nie należy bowiem do najstabilniejszych. Największe łączne wzrosty bywały za to udziałem tych, którzy w lipcu byli już poza podium – lecz to także tylko dwa przypadki z czterech.

Całkiem wyraźnie więc widać, że dużym w kampanii łatwiej stracić niż zyskać. Mali zyskują bardziej, ale jest ich zarazem więcej i nie każdy może liczyć na wzrost. Dlatego trudno się dziwić nerwowości liderów małych ugrupowań – w końcu zanim gruby schudnie, chudy umrze z głodu.

Ostatnia szarża prezesa

W połowie wakacji największy popłoch panuje jednak w partii rządzącej. PiS znajduje się teraz na bardzo podobnym etapie, na jakim była PO w 2015 r. W obu przypadkach poczucie własnej przewagi tworzyło latami przekonanie, że wybory da się wygrać z rozpędu (tak też sądził w 2015 r. prezydent Bronisław Komorowski). Twarda rzeczywistość uświadamiała w końcu konieczność zmiany strategii, tyle że nie sposób wymyślić się na nowo na pół roku przed wyborami. Łatwiej o ruchy, które *de facto* są paniczne.

PiS w lipcu 2019 r. osiągał w sondażach średnie poparcie rzędu 47,6 proc. **Dziś spadło ono do 36 proc.**

Obecny pomysł z referendum dotyczącym imigracji przypomina sytuację sprzed ośmiu lat. Choć jednomandatowe okręgi wyborcze były jednym z głównych haseł Pawła Kukiza, który w wyborach prezydenckich zdobył 20 proc. poparcia, to jednak sprawy tej nie udało się wykorzystać ani na potrzeby II tury (na co liczył ogłaszający referendum Komorowski), ani w jesiennych wyborach sejmowych. Zresztą, historia referendów, które obróciły się przeciw ich inicjatorom, jest całkiem długa.

Najbardziej jaskrawym przykładem jest oczywiście brexitowy trik brytyjskiego premiera Davida Camerona, który zakończył jego polityczną karierę, podobnie jak nieudane konstytucyjne referendum premiera Włoch Matteo Renziego. Na naszym podwórku można przypomnieć absurdalne uwłaszczeniowe referendum Wałęsy, które nie uratowało jego prezydentury. Czy Kaczyńskiemu uda się rozegrać sprawę sprytniej? Na razie nic na to nie wskazuje, biorąc pod uwagę nagłośnienie przez opozycję danych świadczących o tym, że to obecna władza sprowadziła najwięcej imigrantów do Polski. Referendum może się więc skończyć tak, jak „wybory kopertowe", Polski Ład, KPO i „lex Tusk" – odbijające się ciągle czkawką niepowodzenia. Rządzący chcą oczywiście skoncentrować uwagę społeczeństwa na swoich ideowych atutach i niegdysiejszych przewagach, ale wybory są w pierwszej kolejności wyrazem bieżących ocen rządu. Te zaś są najgorsze od prawie ćwierćwiecza.

Nie bardzo też można sobie wyobrazić jakiś nagły reset, nową ideę czy też świeżą postać, mogącą pociągnąć sondaże. Takim posunięciem było wystawienie jako kandydatki na premiera Beaty Szydło w 2015 r. oraz powołanie jako jej następcy Mateusza Morawieckiego. Dziś wydaje się to niemożliwe do powtórzenia. Obecny premier, nieustająco naciskany przez Ziobrę i rdzeń PiS z dawnego „zakonu PC", stał się już tylko rezonatorem prezesa. To Kaczyński jest głównym bohaterem partyjnych spotów i medialnych wydarzeń, a jego powrót do rządu w charakterze „oberpremiera" stanowi tego ukoronowanie. A przecież wystarczy sprawdzić w danych rządowego CBOS, jakie to może być obciążenie. Jarosław Kaczyński jest najgorzej ocenianym premierem trzydziestolecia, czyli odkąd prowadzi się takie badania. Nawet Tusk w drugiej kadencji, po katastrofalnej politycznie decyzji o podniesieniu wieku emerytalnego, miał średnio lepszy bilans od swojego głównego adwersarza.

Zamiast nowego pomysłu mamy w partii rządzącej eskalację ataków na lidera opozycji. Sięgnięciu po „ryży" argument nie wróżę jednak sukcesu, powinien on raczej zapalić sztabowcom PiS czerwone światełko alarmu. Tyle że nie zapali, a jest to m.in. efektem wszechwładzy prezesa w partii. W czasie, gdy rozstrzygane są miejsca na listach wyborczych, co znajduje się całkowicie w jego rękach, działacze są nastawieni na mówienie tego, co chce usłyszeć ich wszechwładny szef, a nie wyborcy. Raczej będą go utwierdzać w przekonaniu, że powinien mówić to, co mu leży na sercu. Całe ugrupowanie, najpewniej najsilniejsze i najlepiej zorganizowane w kraju, wpakowało się więc samo w pułapkę. Zupełnie jak w 2017 r. – w apogeum swojej siły i entuzjazmu w szeregach – gdy nie potrafiło uniknąć absurdalnej szarży przeciw przedłużeniu kadencji Tuska jako przewodniczącego Rady Europejskiej. Szarży zakończonej pamiętnym głosowaniem 27:1 i sondażowym dołkiem. Tamta sprawa była od początku przegrana i musiała PiS zaboleć, ale niekoniecznie musiało to boleć aż tak mocno.

Nawet bez schodzenia w kampanii na tak niski poziom, nie byłoby lekko ani rządzącym, ani głównej sile opozycji, która również liczy, że na ostrym sporze Kaczyński-Tusk skorzysta. Owszem, w 2007 r. obaj byli w stanie spolaryzować mocno scenę polityczną. Dziś są już o 16 lat starsi, ale i wyborcy są bogatsi o lata doświadczeń z nimi. Czy da się jeszcze ożywić ówczesne nadzieje? Czy można zastąpić je samymi negatywnymi emocjami? Wielu pewnie to wystarcza. Lecz doświadczenia wszystkich tych lat pokazują, że o ostatecznym wyniku decydują głównie ci, dla których ten prosty wybór to za mało.

© JAROSŁAW FLIS

Ziemia ognia

MACIEJ KUCIEL

To prosty przepis: zwieźć na wysypisko, przetrzymać ile się da, na koniec sfingować pożar. Utylizacja odpadów w wielu polskich miejscowościach odbywa się metodami, które wymyśliła włoska mafia.

NEWSLUBUSKI / EAST NEWS

Pożar hali z odpadami niebezpiecznymi w Zielonej Górze-Przylepie, 22 lipca 2023 r.

Pożar w Przylepie wybuchł w hali, w której zmagazynowano silnie toksyczne i łatwopalne substancje ropopochodne, niszczące układ krwionośny i serce człowieka. W sprawie tej już dwa lata temu prokuratura oskarżyła sześć osób reprezentujących spółkę wynajmującą halę oraz dwóch urzędników starostwa, którzy wydali zezwolenie na składowanie odpadów. Ostatecznie je cofnięto, ale problem pozostał. W zeszłym tygodniu wszystko poszło z dymem, zanieczyszczając powietrze, a wody gaśnicze zmieszane z chemikaliami skaziły pobliski potok.

Z racji jesiennych wyborów wokół Przylepu wybuchła od razu polityczna kłótnia, ale nie było to wcale wyjątkowe zdarzenie. Podobny pożar strawił składowisko w Jakubowie w 2018 r. i był największym w historii Dolnego Śląska. Na terenie całkowicie nielegalnego magazynu środków chemicznych doszło wtedy do podpalenia, którego sprawców nie wykryto. W pobliskim Głogowie tysiące mauzerów z kwasami stoją do dzisiaj, a część chemikaliów dostała się do pobliskiej Odry, powodując skażenie rzeki i śnięcie ryb.

Źródłem katastrofy była rodzinna spółka, która zarabiała na pozornej utylizacji. Firmom spożywczym czyszczącym swoje urządzenia kwasami wystawiała dokumenty potwierdzające ich utylizację. W rzeczywistości instalacja nie była w stanie przetworzyć nadmiaru chemikaliów i lądowały one w różnych miejscach na terenie Polski, gdzie w niewyjaśnionych okolicznościach płonęły.

Scenariusz ten powielano wielokrotnie. Zadowoleni byli wytwórcy odpadów, bo tanio pozbywali się chemikaliów, w zamian otrzymując odpowiedni glejt o wypełnieniu obowiązku ich utylizacji. Przestępcy zarabiali gigantyczne pieniądze, płacąc tylko za kilkumiesięczne wynajęcie magazynu i transport odpadów. Następnie powtarzał się podobny schemat: dochodziło do podpalenia lub samozapłonu i problem odpadów sam się „rozwiązywał", kosztem zdrowia okolicznej ludności. Zdarzało się też, że spółka bankrutowała, a utylizacja spadała na właściciela gruntu lub na samorząd. Stawka za usunięcie takiej tykającej bomby może dochodzić do kilkudziesięciu milionów złotych.

Z ziemi włoskiej do Polski

Historia tego procederu jest długa jak nasze członkostwo w Unii. W 2004 r. Federalny Urząd Kryminalny Niemiec oraz dziennikarz Michael Billig ostrzegali o nowych kierunkach rozwoju tzw. ekoprzestępczości. Odbiorcami nieprzetworzonych śmieci miały stać się kraje środkowej i wschodniej Europy, dołączające wówczas do UE.

Nie był to nowy problem w Europie. Już w latach 90. XX w. we Włoszech płonęły magazyny z niemieckim plastikiem wysyłanym do tego kraju w celu przetworzenia. Brzmi znajomo? Nicola Morra, były szef antymafijnej komisji włoskiego Senatu, w 2019 r. w wywiadzie dla „Superwizjera" TVN mówił tak: „Postanowiono, że końcowy etap recyklingu przeprowadzony zostanie w Europie Wschodniej". Powód był prosty: we Włoszech brakowało miejsc na składowiska, władza zaczęła walczyć z tym zjawiskiem, a poza tym – u nas było taniej. W tym samym czasie doszło też do zamknięcia chińskiego rynku na eksport plastiku i makulatury marnej jakości, nienadających się do przetworzenia. Ta decyzja uderzyła w największych eksporterów odpadów na świecie: USA, Kanadę i Unię Europejską.

Dla rynku niemieckiego, wysyłającego rocznie za granicę milion ton plastikowych odpadów, była to katastrofa. Ostatecznie transporty skierowano do innych krajów azjatyckich (Malezja i Wietnam), a także Turcji, Polski, Czech i Bułgarii. Podobnie zrobili Brytyjczycy, których śmieci płonęły potem w Kłopotowie na Dolnym Śląsku oraz w Zgierzu, gdzie pięć lat temu doszło do największego jak dotychczas pożaru nielegalnego składowiska plastikowych odpadów. Trafiały tam nie tylko z Wielkiej Brytanii, ale również z Niemiec, Szwecji i Włoch.

– Śmieci to złoto, a polityka to śmieci. Są one dużo lepszym interesem niż narkotyki. Większe pieniądze, mniejsze ryzyko – opowiadał mi Nunzio Perrella, emerytowany boss neapolitańskiej ↦

↦ camorry, który po aresztowaniu poszedł na współpracę z włoskim wymiarem sprawiedliwości. Przez lata na „Ziemi Ognia", jak nazywane były okolice Neapolu z powodu nieustannych pożarów składowisk, organizował system nielegalnego pozbywania się odpadów. Według niego działalność mafii była na rękę wielkim koncernom i politykom nieradzącym sobie z narastającym problemem.

Używając ukrytej kamery Perrella nagrywał swoje spotkania z właścicielami instalacji przetwarzania odpadów i lokalnymi politykami. Podawał się za przestępcę, który po wyjściu z więzienia chce wrócić do dawnych interesów. W polskim wątku tej sprawy pojawiła się firma, którą na podstawie protokołów inspekcji ochrony środowiska zidentyfikowałem jako dostawcę odpadów do Zgierza. Co więcej, nagrany ukrytą kamerą przez Perrellę przedsiębiorca twierdził, że do odpadów komunalnych podrzuca się niebezpieczne chemikalia i wysyła je do Polski.

TOMASZ JASTRZĘBOWSKI / REPORTER

Konferencja prasowa polityków PO nt. nielegalnych składowisk odpadów niebezpiecznych, w której przeszkadza min. Jacek Ozdoba. Warszawa, 25 lipca 2023 r.

Szeroka nieodpowiedzialność

W rozkręceniu nielegalnego interesu pomogły również proekologiczne dopłaty i europejskie prawo zezwalające na uznanie wyeksportowanych odpadów za poddane recyklingowi. Na ten trop pierwsi wpadli brytyjscy dziennikarze ze Sky News, analizujący system dopłat w ramach tzw. rozszerzonej odpowiedzialności producenta.

Ta godna pochwały zasada przewiduje, że wytwórca i sprzedawca plastikowego opakowania nie tylko zarabia na jego zawartości, ale również płaci za jego recykling. Stawki są zróżnicowane. Dla najbardziej kłopotliwego plastiku, według danych udostępnionych przez stowarzyszenie Zero Waste, różnice w stawkach są wręcz gigantyczne – od 5 do 1263 euro za tonę. Najniższa kwota to Polska, najwyższa Niemcy. Brytyjscy dziennikarze podali, że w ich kraju w 2018 r., w szczycie eksportu do Polski plastikowych odpadów, recyklingowi można było poddać w praktyce najwyżej połowę tych śmieci i tylko za nie można było uzyskać dopłaty – reszta nie nadawała się do przerobienia. Tymczasem transporty wyeksportowane do Wietnamu, Malezji czy Polski uznawano za poddane recyklingowi w stu procentach i wypłacano całość dotacji. W rezultacie zgodny z prawem, drogi recykling przestał się opłacać. Lepiej było załadować odpady na statki lub ciężarówki i wysłać za granicę. Tam trafiały na wysypiska, do rzek albo lądowały w morzu.

W Zgierzu doszło do powtórzenia scenariusza znanego z włoskiej „Ziemi Ognia", czyli utylizacji przez podpalenie. Sprawców nie wykryto, tak jak w większości podobnych afer. W innych śmieci nie płonęły, ale po prostu je porzucano. Tak było np. w Sarbii w Wielkopolsce, gdzie nadal zalega 7 tys. ton przywiezionych z Niemiec odpadów. Prezesem odpowiadającej za to firmy jest bezdomny, którego zwerbowano pod marketem, ubrano w garnitur i otworzono na jego dokumenty kilka firm. Odpowiadający za to prawdziwy boss nadal jest poszukiwany przez prokuraturę.

Udokumentowałem przypadki dwóch niemieckich eksporterów, którzy wysłali do Polski 10 tys. ton odpadów, a nasi przedsiębiorcy porzucili je na terenie Wielkopolski, Lubuskiego oraz w Zgierzu. Daje to po odliczeniu kosztów szacunkowy wpływ dla strony niemieckiej rzędu 10 mln euro. Polscy wspólnicy otrzymali dziesięciokrotnie mniej, ale nie był to jedyny zysk, na jaki mogli liczyć w naszym kraju. Przestępcy zarabiali też krocie na wyłudzaniu milionowych europejskich dotacji przeznaczonych na tworzenie nowych technologii przetwarzania plastiku. Wynalazek taki miał stać za twórcami składowiska w Zgierzu, które jednak spłonęło, zanim technologia została wdrożona. Łódzka prokuratura podejrzewa wyłudzenie 20 mln zł dotacji.

Polski trotyl, lakiery i śmieci

Nie znam dowodów wskazujących na to, by chemikalia, które spłonęły pod Zieloną Górą, pochodziły z zagranicy. Bo też uproszczeniem byłoby twierdzić, że płoną u nas tylko śmieci z Zachodu. W znanych mi przypadkach ze Śląska i Małopolski nasi ekogangsterzy pomagali w pozbywaniu się rodzimych odpadów przemysłowych. Tak było w ujawnionej ostatnio przez TVN24 sprawie porzuconych niebezpiecznych odpadów z Nitro-Chemu, jedynej w kraju firmy produkującej trotyl. Z oświadczenia spółki wynika, że nie poczuwa się do odpowiedzialności, zrzucając ją w całości na firmę, do której słała transporty. I może tak robić, bo przez lata – aż do 2021 r. – wytwórca niebezpiecznych odpadów nie odpowiadał za to, co przekazywał uprawnionemu odbiorcy. Odpowiedzialność przejmował transportujący, a po wyładowaniu niebezpiecznej zawartości – właściciel terenu. Proceder ułatwiał fakt, że przewoźnicy posługiwali się papierowymi dokumentami. Brak było elektronicznej, ogólnopolskiej bazy danych o przemieszczających się po Polsce transportach. Elektroniczną bazę

danych o gospodarce odpadami wprowadzono dopiero w 2020 r.

W jednej z najbardziej bulwersujących spraw, spółki Clif ze Skawiny, utylizacja farb i lakierów polegała na mieszaniu ich w dole ze szmatami i zakopywaniu w lesie, na odkrytych terenach albo na legalnie działających składowiskach. Kierowcy nie bali się kontroli, ponieważ posługiwali się dokumentami potwierdzającymi przewożenie odpadów budowlanych.

W 2017 r. pokazałem drogę tych odpadów z siedziby firmy w podkrakowskiej Skawinie do nielegalnego wysypiska w Bytomiu. Niczego to nie zmieniło. Proceder trwał nadal. Dopiero protesty ludzi, którzy wyszli na ulice, oraz nacisk śląskich posłów na prokuraturę zmieniły to lekceważące podejście. W 2019 r. aresztowano Andrzeja N. i oskarżono go o kierowanie grupą przestępczą złożoną z 34 osób, które porzucały odpady chemiczne nie tylko w Polsce, ale również w Czechach. W ciągu niespełna dwóch lat grupa zarobiła 23 mln zł, „utylizując" 55 tys. ton odpadów. Do certyfikowanych spalarni trafiło ledwie 720 ton niebezpiecznych substancji.

Podobnie działo się z odpadami komunalnymi. Na polskich wysypiskach płonęły nie tylko śmieci z zagranicy. Większość z nich stanowiła zawartość naszych koszy, a włodarze miast byli zadowoleni, bo płacili mało. W efekcie część z zaawansowanych technologicznie zakładów przetwarzania, prowadząca uczciwą działalność, nie miała zleceń, bo otrzymywały je tańsze firmy. Te zaś zakopywały odpady lub „były ofiarami" tajemniczych pożarów, które wybuchały akurat z końcem trzyletniego okresu tymczasowego magazynowania, na jaki pozwalały obowiązujące do 2018 r. przepisy. Nie istniał system ewidencjonowania odpadów, a przepisy karne pozwalały na masowe umarzanie spraw przez prokuratury.

Branża kontratakuje

Prawo w końcu zmieniono. Skrócono z trzech lat do roku możliwość magazynowania odpadów, wygaszono wydane już pozwolenia, wprowadzono konieczność monitoringu instalacji oraz obowiązkowe kaucje, gwarantujące dochodzenie roszczeń w razie braku utylizacji odpadów. Zwiększono nadzór nad miejscami gromadzenia śmieci, zwiększono liczbę kontroli ze strony inspekcji środowiskowej na drogach. Jednak zaostrzenie przepisów przy równoczesnym niedostatku instalacji do profesjonalnego przetwarzania odpadów wywołało galopadę cen, która trwa do dziś. Ucywilizowało to jednak rynek, choć nie zlikwidowało zastanej patologii. Według danych GUS pod koniec 2021 r. w Polsce wciąż istniało 2246 nielegalnych śmietnisk.

W Zgierzu powtórzono scenariusz znany z włoskiej „Ziemi Ognia", czyli utylizację przez podpalenie. **Sprawców oczywiście nie wykryto.**

Najwyższa Izba Kontroli w raporcie z marca 2023 r. krytycznie oceniła działania instytucji zajmujących się ochroną środowiska. Skrytykowano brak wymiany informacji pomiędzy poszczególnymi wojewódzkimi inspektoratami, koordynację działań różnych urzędów, a straży pożarnej zarzucono, iż gasi pożary, ale nie potrafi im zapobiegać poprzez prewencyjne kontrole miejsc składowania odpadów.

Równocześnie sprofesjonalizowała się branża śmieciowa, otaczając się prawnikami. Ci sami adwokaci potrafią reprezentować interesy firm odpadowych oraz wydających im pozwolenia urzędów. Inne wyspecjalizowane kancelarie planują całe strategie uzyskiwania pozwoleń na poziomie starostw, urzędów marszałkowskich, a nawet ministerstwa. Istnieją też kancelarie prawne pozywające przeciwników tego procederu.

Tak było w sprawie spółki Chemeko-System z Dolnego Śląska, prowadzącej legalne składowisko. Wynajęta kancelaria pozwała nie tylko członków Stowarzyszenia Piękny Wąsosz wypowiadającego się w reportażu TVN; do sądu trafił również biegły negatywnie oceniający działania urzędników wydających pozwolenia spółce, a nawet radni samorządowi. Tymczasem zarząd województwa do tej pory nie wykonał uchwały sejmiku wzywającej do kompleksowej kontroli tego, co ukryto pod zwałami legalnych śmieci, choć kontrolerzy już w 2018 r. wykopali tam odpady medyczne pochodzące z Niemiec.

Spółki odpadowe mają na swoich usługach szereg wyspecjalizowanych firm detektywistycznych, prowadzonych przez byłych funkcjonariuszy policji i służb specjalnych. Profesjonalna obserwacja, zbieranie haków na konkurentów to codzienność tego rynku. Do działań na zlecenie spółki śmieciowej przyznał się np. były naczelnik wrocławskiego CBA. Materiały z obserwacji Chemeko pokazały z kolei związki tej firmy z mężczyzną zarządzającym nielegalnym śmietniskiem we Wrocławiu; w kontakty z tym środowiskiem zamieszany był również radca prawny Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu.

Interesy na śmieciach zahaczają również o świat polityki. Żona Krzysztofa Kubowa, szefa gabinetu politycznego premiera, działa właśnie w branży odpadowej. Według skazanego już prawomocnym wyrokiem przestępcy uczestniczyła ona w zdobywaniu pozwoleń na działalność śmietniska w Kłopotowie, które spłonęło. Wcześniej zwieziono tam kilkadziesiąt tysięcy ton odpadów komunalnych z Polski i Niemiec. Prezes dawnej spółki Barbary Kubów zasiada w firmach powiązanych z właścicielem giganta śmieciowego Chemeko. Aresztowany niedawno członek zarządu tej firmy to z kolei syn byłego szefa Wojewódzkiego Inspektoratu Ochrony Środowiska we Wrocławiu. Wraz z prezesem Chemeko wyszli niedawno z aresztu za kaucją 1 mln i 200 tys. zł. Zarzuty związane są z odnalezionymi na terenie składowiska w Rudnej Wielkiej, nielegalnie zrzuconymi tam zakaźnymi odpadami medycznymi oraz śmieciami przywiezionymi z Niemiec.

Śmieci łączą polityków ponad wszelkimi podziałami. W marcu do aresztu w związku z podejrzeniem wielomilionowej korupcji przy przetargach na wywóz stołecznych odpadów trafili byli ministrowie w rządach PO i PSL Rafał Baniak i Włodzimierz Karpiński. Jeśli zarzuty się potwierdzą, będziemy mieli obraz niemal mafijnej struktury łączącej w Polsce biznes, świat przestępczy, ludzi z policji i służb oraz politykę. Pieniądze nie śmierdzą, te z odpadów również.

© MACIEJ KUCIEL

Autor jest reporterem „Superwizjera" TVN.

Już nie ma dzikich plaż

JAN MARCIN WĘSŁAWSKI, BIOLOG:

W ustawie wysokiego szczebla zapisano, że linia brzegowa jest granicą państwa. A my przecież nie oddamy nawet metra, nie ma więc szans, by morze zabrało trochę plaży.

JOANNA WIŚNIOWSKA: Byłam ostatnio w Łebie i od wszystkich słyszałam, że mają ładną i dużą plażę, tymczasem piasek został tam przecież przywieziony.

JAN MARCIN WĘSŁAWSKI: Takie procesy dzieją się na całym świecie. Jedna z najsłynniejszych plaż, Waikiki na Hawajach, jest całkowicie stworzona ze zwiezionego piasku. Ludzie po prostu chcą, żeby plaże były duże i sterylnie czyste. Niektórzy reagują wręcz paniką, gdy dowiadują się, ile na piasku żyje różnych stworzeń.

Jakie grupy interesów walczą o polskie plaże?

W grze są trzy różne siły. Pierwsza to naukowcy, którzy od dawna powtarzają, że procesy brzegowe, erozyjne, należy zostawić naturalnemu biegowi. Oczywiście z wyjątkiem przypadków, gdy chronimy jakiś obszar szczególnie cenny kulturowo. Nie oddamy morzu Gdańska, a Holendrzy Hagi czy Rotterdamu. Ale są miejsca, które powinniśmy sobie odpuścić i pozwolić działać przyrodzie. W Polsce mamy długie wybrzeże, niemal w linii prostej eksponowane na falę. Morze w jednym miejscu piasek zabiera, w drugim oddaje; to wieloletni cykl. Dlatego nie zawsze w Łebie będzie więcej piasku niż w Międzyzdrojach. Powinniśmy pozostawić sprawy ich naturalnemu biegowi, ale tu pojawiają się oczekiwania turysty, który przyjeżdża na wakacje i chce mieć dużą i czystą plażę. Bez robaków czy gnijących roślin.

Najlepiej z parkingiem pod nosem?

Tak, do tego z restauracją i barem. Z badań, które prowadzono w wielu krajach, wynika, że mężczyźni czują się bezpieczni, gdy są niedaleko własnego samochodu. Im bardziej się oddalają, tym mocniej wzrasta poczucie dyskomfortu. Trudno z tym polemizować, bo gdy ludzie przyjeżdżają na krótki wypad, to nie mają czasu na rozkoszowanie się wielokilometrowymi spacerami. Stąd takie tłumy np. we Władysławowie, gdzie turystom nie przeszkadza tłok i hałas. Oni chcą udogodnień. To druga strona sporu.

Jaka jest trzecia?

Administracja państwowa, związana przepisem uchwalonym na przełomie wieków, że linia brzegowa jest granicą państwa. W ustawie wysokiego szczebla zapisano, że nie oddamy ani metra granicy, nie ma więc miejsca na to, by morze zabrało trochę plaży.

Najbardziej zadowolone są przedsiębiorstwa, które zajmują się dosypywaniem piasku. Zwłaszcza że gdy najbliższej zimy piasek zostanie wypłukany, w następnym roku zabawa zacznie się od nowa. I to za grube pieniądze. Zadowolone są również firmy, które pogłębiają wejścia do portów, tzw. tory podejściowe. Z urobkiem trzeba coś zrobić, można więc go dorzucić do plaży. To się podoba urzędom morskim, bo nie muszą się martwić, skąd brać piasek. Do tego osoby zajmujące się administracją chcą mieć poczucie sprawczości. Za coś w końcu im się płaci, więc robią rzeczy, które widać i które turyści doceniają.

To nie jest jedyny sposób urzędniczej „ochrony" naszych brzegów.

Próbuje się różnych metod, łącznie z drucianymi siatkami czy kamiennymi narzutami. W okolicach Słowińskiego Parku Narodowego zrobiono eksperyment, stosując coraz twardsze materiały, ale w efekcie fala odbija się mocniej i szybciej zabiera piasek. Im bardziej betonowa ścianka, im więcej kamieni, tym szybciej pozbywamy się plaży. Naukowcy, którzy o tym mówią i którzy chcą zachować naturalne procesy w ich biegu, są najbardziej znienawidzeni.

Na tym się nie da zarobić.

O właśnie, a chce tego wiele osób, nie tylko nad morzem. Weźmy lasy. Niejeden leśnik czuje się chory, gdy widzi nieurządzony las, w którym leżą martwe drzewa porośnięte innymi roślinami.

To jak z rzekami, które najlepiej, gdyby były rynnami z wodą.

Zdecydowanie tak: zdrowy rozsądek i unijne deklaracje oparte na opiniach naukowców mówią o tym, żeby zostawić rzeki naturalnemu biegowi i nie betonować brzegów. W ten sposób woda najlepiej się oczyszcza, zachowuje się retencję, naturalne nawadnianie. Ale to długofalowe korzyści. Krótkofalowe są takie, że lepiej mieć betonowy murek, na którym postawi się bar i przystań. To sprawia wrażenie zagospodarowania. Nie chcę przez to powiedzieć, że z całej Polski mamy zrobić park narodowy, ale zachowajmy naturalne obszary: 30-50 procent. Ingerujmy w naturę, jeśli musimy chronić cywilizacyjnie cenne obszary i tam, gdzie to jest konieczne dla przetrwania ludzi.

Plaża nie należy do tej kategorii.

Tak, ale wtedy pojawiają się ci, którzy mają interes w dosypywaniu piasku i krzyczą, że jeśli nie będziemy tego robić, to morze zabierze nam wszystkie plaże; takie wołania słychać m.in. w Gdyni-Orłowie. To kompletna bzdura, bo stawianie kolejnych kamiennych raf, jak chcą obrońcy klifu, sprawia, że on szybciej się rozmyje. No i przez ochronę tego klifu, który jest przecież źródłem piasku dla miejscowej plaży, trzeba co roku dosypywać go z innych miejsc. Ponadto betonowe rafy działają w miejscu, w którym się znajdują, ale gdy się kończą, następuje gwałtowne rozmywanie piasku; tak zachowują się prądy morskie. Żeby chronić skutecznie plaże, trzeba by ciągnąć te rafy dalej, aż do końca polskiej granicy.

To oznacza betonową opaskę wzdłuż naszego wybrzeża?

Mowa tu o podwodnych rafach, to nie jest widoczna opaska. Te rafy są i tak lepsze od betonowej opaski, jaką stanowi choćby bulwar nadmorski w Gdyni, który tak ludzi zachwyca, bo można iść tam na spacer lub przejechać się hulajnogą. Z dzieciństwa pamiętam jednak

MICHAŁ ŁEPECKI DLA NARODOWEGO CENTRUM NAUKI

PROF. JAN MARCIN WĘSŁAWSKI jest biologiem morza i dyrektorem Instytutu Oceanologii PAN w Sopocie.

stary, rozbity przez fale i działania wojenne bulwar. Było tam mnóstwo kieszonkowych plaż, to było fajne – z tym że naturalna plaża jest jeszcze fajniejsza. No dobra, bulwar już jest, ale zostawmy w spokoju resztę plaż, także tę w Orłowie, która wciąż jest kawałkiem naturalnej plaży w dużej aglomeracji miejskiej, co się w Europie nie zdarza.

„Klif walczy o życie z morskim żywiołem" – to opinia tych, którzy chcą chronić orłowski klif. Brzmi to dramatycznie, aż chce się ruszyć z pomocą.

Przecież klif nie osuwa się z powodu działań morza, ale z powodu erozji od strony lądu, która jest spowodowana np. deszczem. Morze zabiera to, co zsunęło się do wody. Jeśli będziemy chronić klif plastikową siatką i podwodnymi rafami, to on się rozsypie, stanie się pagórkiem. Jego ochrona oznacza *de facto* stworzenie osypiska, powstaną wydmy, a w związku z tym morze nie będzie zabierało urobku, nie będzie tworzyło plaż. Na naszym wybrzeżu mamy niewiele klifów, a zatrzymując morze, w końcu się ich pozbędziemy. Tymczasem dzięki temu, że jest orłowski klif, Sopot nie miał nigdy problemu z plażą, bo cały tamtejszy piasek morze w naturalny sposób przynosiło z Orłowa. Jeśli klif stanie się pagórkiem, to w Sopocie trzeba będzie dosypywać piasek z Brzeźna. Możemy się tak bawić w nieskończoność.

Ochronie klifu towarzyszy również inna dyskusja: użytkownicy chcieliby, żeby nic im się nie zwaliło na głowę. Są jak ci ludzie, którzy wchodzą do lasu i się oburzają, że gałąź spadła.

A na terenie zabudowanym wylała rzeka.

Otóż to. Podobnie jest z miejscami zalanymi przez morze. Mamy świetne mapy, które pokazują, gdzie za pół wieku będzie sięgała woda, więc nie ma sensu kupowanie w tych miejscach ziemi czy stawianie na „ochronę wybrzeża". Nie da się mieć wszystkiego naraz. Przyroda, którą deklaratywnie chcemy chronić, jest często nieprzyjazna i niebezpieczna, może zmoczyć nogi, spaść na głowę, czasem śmierdzi. Tak jest na całym świecie, a my naprawdę mamy szczęście, jeśli chodzi o warunki przyrodnicze, w których żyjemy. Doceńmy je i nie psujmy.

Czy da się w ogóle kontrolować morze?

W żadnym wypadku, to marzenie przypomina historie ze starożytności, kiedy król Kserkses kazał chłostać morze łańcuchami, bo uniemożliwiało przepłynięcie jego floty przez cieśninę w czasie wojny peloponeskiej. Nawet Bałtyku, który jest płytkim akwenem, nie da się opanować. To, że gdzieś ustawimy zaporę, sprawi tylko, że przesuniemy problem. Prądów morskich nie da się ujarzmić. Poza naszą kontrolą jest cała morska przyroda, bo ona nie składa się tylko z wody, dorsza i foki. Jest takie znane powiedzenie pastora Reinholda Niebuhra, zajmującego się alkoholikami: trzeba mieć odwagę, żeby zmienić to, co można zmienić, a pokorę, żeby pogodzić się z tym, czego zmienić nie można, oraz rozum, żeby odróżnić jedno od drugiego.

Ludzi, którzy majstrują przy brzegu, nazywa Pan zwolennikami opcji inżynierskich.

Mam długie zęby na inżynierów brzegowych. W przeciwieństwie do urzędników, którzy wykonują swoją pracę, bo im kazano, inżynierzy to wyrachowani technokraci. Chcą budować tamy i hamować bieg rzek. Chcą wszystko kontrolować, wierzą w swoją moc sprawczą. To nie są osoby, które chcą żyć w zgodnie z naturą.

Zmiana klimatu i podnoszący się stan mórz spotęgują problemy, o których rozmawiamy?

Tak. Wiele krajów już opracowuje scenariusze, dyskutuje ze społeczeństwem. U nas zaś nikt nie rozmawia o skazanych na zalanie Żuławach Wiślanych i o tym, jaki będzie koszt przesiedlenia stamtąd ludzi. Słyszę, że będziemy się martwić za pół wieku. My już musimy się przygotowywać, a nie szukać rozwiązań w panice, gdy coś się zadzieje.

Z czego wynika takie podejście?

Jest u nas silne polityczno-światopoglądowe lobby, które mówi o tym, żeby czynić sobie ziemię poddaną.

Wierzy Pan, że jednak coś się zmieni i pozostawimy w końcu naturę w spokoju?

Wierzę, że kiedyś ludzie spróbują wyjść z zatłoczonej plaży we Władysławowie, przejść się kilometr w bok, by w spokoju obserwować przyrodę. Tam pod patykami kryją się zmieraczki piaskowe, a w sierpniu zaczną wracać z Syberii biegusy.

Optymista z Pana.

W XIX wieku w USA, w szczycie ekspansji cywilizacyjnej, znalazł się John Muir, który stwierdził, że trzeba zostawić pewne obszary Ameryki zamknięte na ekspansję człowieka. To on był propagatorem stworzenia Parku Narodowego Yellowstone. Nie padały argumenty, że będzie można tam polować czy pozyskiwać drewno na deski. Chodziło o z pozoru abstrakcyjną potrzebę ukojenia duszy ludzkiej. Człowiek naprawdę potrzebuje miejsca, w którym mógłby popatrzeć na niezaburzoną przyrodę. ©

Błogosławieństwo poety

OPINIE

WIELKI ZDERZACZ OPINII

Wyobrażenie o naszej jednostkowej wyjątkowości jest nieustannie podmywane. A jeśli wcale nie jesteśmy wyjątkowi? Co w tym złego?

TEKST MACIEJ JAKUBOWIAK
GRAFIKI ANDRZEJ DUDZIŃSKI

Trudno być wyjątkowym. Przynajmniej od jakiegoś czasu. Nikt już nie chce rozmawiać, nikt nie słucha, a nawet jak słucha, to słyszy tylko to, co chce, i tak gubią się niuanse, a ich miejsce zajmują etykietki i stereotypy. A potem są już tylko hejt, wojna wszystkich ze wszystkimi, koniec.

Podobne narzekania słychać zewsząd. Pisał o nich Tomasz Stawiszyński w „Regułach na czas chaosu", pisała Olga Tokarczuk w „Czułym narratorze", przewijają się w co drugim felietonie w „New York Timesie", formułował je Jan Klata w rozmowie z Dorotą Wodecką (w „Gazecie Wyborczej"), kiedy mówił: „Nie sprawdzamy już mocy swoich poglądów w konfrontacji z poglądami innych, nie poddajemy ich próbie, bo to wymagałoby wyjścia poza naszą strefę komfortu".

Zwykle za tego rodzaju narzekaniami stoi przekonanie, że każdy pogląd jest wyjątkowy i niepowtarzalny, a uczciwość intelektualna wymaga, aby za każdym razem, kiedy przychodzi nam się zmierzyć z jakimś stanowiskiem, poświęcić mu tyle uwagi i energii, żeby w pełni uchwycić jego unikalność. W gruncie rzeczy brzmi to całkiem nieźle. Wyobrażam sobie, że gdybyśmy zechcieli zastosować się do tego przepisu, świat zmieniłby się w jeden wielki klub dyskusyjny. Byłoby może trochę nudno, ale na pewno bezpiecznie.

Tylko że pogląd, jakoby każdy pogląd był wyjątkowy, nie jest w gruncie rzeczy wcale taki wyjątkowy. Przypomina raczej wizję, która zrodziła się jakoś w połowie XVIII wieku i zakładała, że zamiast wojen powinno toczyć się oświecone dyskusje, przy herbacie albo podczas obiadów w czwartki. Miało to wtedy sens, sprawdzało się przecież w salonach i klubach dżentelmenów, do których – pisała o tym Agata Sikora w książce „Wolność, równość, przemoc" – co prawda nie każdego wpuszczano: kobiet, dzieci, chłopów, czarnych, ale przecież tylko dlatego, że nie opanowali oni (jeszcze!) zasad cywilizowanej debaty. W każdym razie zrodzone w tamtym czasie przekonanie o tym, jak powinna wyglądać uczciwa dyskusja, okazało się na tyle silne, że wpłynęło na kształt wielkich instytucji politycznych XX wieku, w tym Organizacji Narodów Zjednoczonych czy Unii Europejskiej, a w XXI wieku wciąż potrafi żywo oddziaływać na wyobraźnię.

To właśnie ten obraz: oświeceniowej, czy po prostu oświeconej, sfery publicznej, w której każdy pogląd domaga się uczciwej dyskusji, wyciąga się jak magiczną broń za każdym razem, kiedy ktoś w wymianie słów (bo przecież nie da się tego nazwać dialogiem) rzuca te dziwaczne słowa: „dziaders", „boomers" czy „terf". „Jaki dziaders?! – słychać w odpowiedzi. – Ja tylko wygłaszam swoje wyjątkowe i unikalne opinie. Ale najwyraźniej nikt już nie chce słuchać".

Targetowanie

To nie przypadek, że niektóre z tych terminów wyglądają jak internetowe skrótowce, te wszystkie ROTFL, IMHO albo LOL. To internet wniósł najwięcej zamieszania do eleganckiego obrazu sfery publicznej odziedziczonego po czasach, kiedy obejmowała ona kilkudziesięciu światłych ludzi w każdym większym mieście.

Oczywiście nie chodzi tylko o internet, wcześniej były przecież rewolucja francuska, rewolucja październikowa, dwie wojny światowe, Powszechna Deklaracja Praw Człowieka, dekolonizacja i postępująca emancypacja, zjawiska, które w sumie sprawiły, że wyobrażenie o ekskluzywnym oświeceniowym klubie stawało się coraz trudniejsze do utrzymania. Ale najlepiej to globalne zmieszanie głosów reprezentuje jednak internet, w którym komunikacja stała się nie tylko powszechnie dostępna, ale też ekstremalnie rozpędzona.

Nigdy dotąd w historii tyle osób nie mówiło tak wiele tak szybko. Nigdy dotąd ich opinie nie były tak ważne. I nigdy nie były tak pospolite. W internecie poglądy zaczęły krążyć jak cząsteczki w Wielkim Zderzaczu Hadronów: masowo i błyskawicznie. A realizacja, w innych warunkach słusznego, postulatu, żeby każdemu z nich poświęcić osobną uwagę, stała się zwyczajnie niemożliwa. Ale też niepotrzebna, bo w ciągłych zderzeniach cząsteczki opinii (Richard Dawkins w książce „Samolubny gen" z 1976 r. proponował, by nazywać je, na wzór genów, „memami") zaczęły tworzyć ze sporą regularnością większe zestawy (Dawkins nazywał je „mempleksami"), których kształty z czasem okazywały się regularne i przewidywalne.

Skądinąd jednymi z pierwszych, którzy zdali sobie z tego sprawę i od razu znaleźli dla tego zastosowanie, byli twórcy globalnych platform reklamowych, nazywanych dla niepoznaki „mediami społecznościowymi". Swego czasu głośne były wyniki badań pochodzącego z Polski psychologa społecznego Michała Kosińskiego, który dowodził, że algorytmy Facebooka potrzebują około siedmiu „polubień", żeby móc w przybliżeniu określić charakter danej osoby; po 70 reakcjach algorytmy miały nas znać lepiej niż przyjaciele, po 150 – lepiej niż rodzice, po 300 – głębiej niż życiowi partnerzy.

Kłosiński opublikował swoje badania dziesięć lat temu, kiedy na Facebooku nie było jeszcze całej palety emocjonalnych reakcji, a algorytmy uczenia maszynowego dopiero zabierały się za przetwarzanie ogromnej masy danych produkowanych przez ludzkość w codziennych klikach. Wtedy ta świadomość, że wcale nie jesteśmy tacy wyjątkowi, mogła się wydawać szokująca. Ale chyba od tego czasu zdążyliśmy, przynajmniej niektórzy z nas, do niej przywyknąć. I w końcu sami, zamiast domagać się indywidualnego traktowania, zaczęliśmy coraz chętniej wpisywać się w społeczne trendy przepływające przez nasze ekrany i ciała.

Dojrzewanie na wspak

Przerobiłem to na sobie. Kiedy w podstawówce zdobywałem same piątki i szóstki, a z internetem łączyłem się co najwyżej przez modem o przepustowości 56 kilobajtów na sekundę, wydawało mi się, że cały świat leży u moich stóp. Kiedy trafiłem do liceum, pliki MP3 ściągałem z sieci eMule, a na olimpiadzie z polskiego spotkałem rówieśników, którzy brzmieli jak doktoranci teorii literatury, zacząłem nabierać wątpliwości.

Na studiach, kiedy internet dzieliłem ze współlokatorami za sprawą routera bezprzewodowego, zaczynałem godzić się z myślą, że może takich jak ja jest jeszcze paru, choć liczyłem, że historia awansu społecznego, która mi się przydarzyła, coś może ratuje. A potem mój telefon połączył się z internetem w standardzie 5G, a ja przeczytałem inne opowieści o awansie społecznym i w końcu pogodziłem się z tym, że uparte poszukiwanie podstaw własnej wyjątkowości może wcale nie być najsensowniejszym pomysłem na spędzanie czasu.

Jeśli to wszystko brzmi jak historia dojrzewania, to tym właśnie jest, choć w powieści „Dewocje" sprzed dwóch lat ↦

↦ Anna Ciarkowska błyskotliwie odwraca tę figurę: „Mówi się, że to dorastanie, ale mi kojarzy się z czymś całkiem przeciwnym, jakby człowiek nagle malał i dostrzegał swoją niewyróżnialność. Sam siebie od innych nie umie odróżnić".

Wygląda na to, że cała nasza kultura przeszła podobny proces dorastania, który w gruncie rzeczy dałoby się utożsamić z powszechnym oświeceniem, o jakim marzyli XVIII-wieczni myśliciele. Jego efekty okazały się jednak całkiem odwrotne od zamierzonych. Zamiast zrealizować bilet wstępu do salonu cywilizowanych dyskutantów, zdaliśmy sobie sprawę, że w żadnym salonie się nie pomieścimy. I że w tym tłumie nie damy rady dogadać się tak, jak dogadywano się (choć czy naprawdę się dogadywano, to też jest sprawa do przemyślenia) w znacznie mniejszych gronach. W efekcie zamiast wyobrażeń o domagającej się wysłuchania wyjątkowości każdej i każdego został nam, jak w „Głosie Pana" nazywał go Stanisław Lem, „racjonalny surogat demonologii – statystyka".

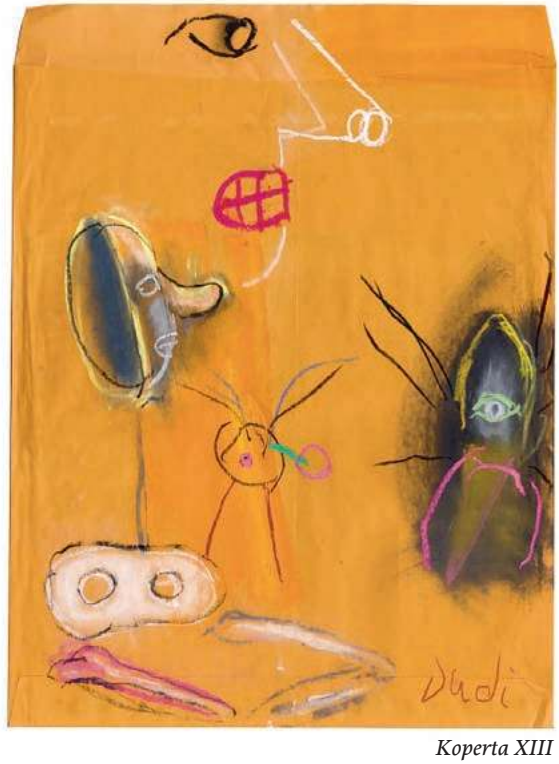

Koperta XIII

I to właśnie zwykła statystyka podpowiada, że kiedy ktoś zaczyna mówić, że nikt już nie chce dialogować, to za tym z pozoru niewinnym poglądem zaraz pójdą kolejne: że kobiety też są winne, że młodym nie chce się pracować, że merytokracja, że *cancel culture*. A na końcu pewnie będzie coś o samotnym wilku.

Po testach

A przecież zamiast tego wystarczyłoby wypełnić jeden z internetowych testów. Najpierw odpowiada się w nich na kilka albo kilkadziesiąt pytań: o ekonomię, podatki, przemoc wobec dzieci, prawo do aborcji, wolności obywatelskie, system penitencjarny, religię i politykę seksualną. A potem można zobaczyć, gdzie na spektrum opcji politycznych sytuują się nasze poglądy.

Jedno z popularnych tego rodzaju narzędzi, Political Compass, istnieje od 2001 r. i różnice ideologiczne rozbija na dwie osie: ekonomii i spraw społecznych. Można tu więc okazać się radykalnym lewicowcem fiskalnym i radykalnym prawicowcem obyczajowym; albo obyczajowym centrystą o skłonnościach prorynkowych. Kombinacja odpowiedzi na zadane pytania może być ekscentryczna, ale w końcu układa się w rozpoznawalny wzorzec i ląduje na jednej z czterech ćwiartek tego wykresu.

Takie testy nie tylko pomagają w uporządkowaniu własnych poglądów politycznych. Przede wszystkim pozwalają określić się wobec tych większych zjawisk, w których uczestniczymy. Albo inaczej: zdobyć tę wiedzę, którą na nasz temat i tak mają już algorytmy. A przy okazji zdać sobie sprawę, z kim nam po drodze, a z kim nie.

W ostatnich latach uczyliśmy się tego nie tylko w internecie, ale też na ulicach. To podczas protestów – w obronie mediów, w obronie sądów, w obronie kobiet, w obronie osób LGBTQ+, w obronie uchodźców – dowiadywaliśmy się, że indywidualne różnice są mniej ważne od tego wszystkiego, co nas łączy i co pozwala nam mówić słyszalnym głosem. Zresztą to też nie przypadek, że te okropne akronimy, których tak bardzo nie lubią obrońcy oświeconej sfery publicznej, są chętnie i afirmatywnie wykorzystywane przez mniejszości, które przy ich pomocy próbują definiować swoje tożsamości. Są więc osoby LGBT, ale są też GSM (*gender and sexual minorities*, mniejszości genderowe i seksualne), są GNC (*gender non-conforming*, osoby niebinarne), są QTPOC (*queer and trans people of color*, niebiałe osoby queer i trans).

Pewnie w ogóle stawianie na to, co zbiorowe i wspólne, zamiast na to, co jednostkowe i osobne, jest strategią tych, którzy jednostkowo i osobno niewiele mogą. Historyczne nawyki kazałyby wiązać taką strategię z dyskryminowanymi mniejszościami. Ale jeśli dzisiaj podobne odczucie staje się powszechne, to może dlatego, że coraz więcej osób odnajduje się w pozycji takich mniejszości – pozbawionych głosu i poczucia sprawczości.

Swoje robią tu neoliberalny kapitalizm (od ostatniego wielkiego kryzysu ekonomicznego kojarzony z jednym procentem najbogatszych) i kryzys klimatyczny (który wydaje się wyzwaniem ponad ludzkie siły), ale oba te zjawiska z wielkim internetowym zderzaczem poglądów łączy to, że w konfrontacji z nimi nasze pojedyncze głosy naprawdę wydają się znikome.

Taka prawda

Przeczuwaliśmy to od dawna. W opublikowanym w 1997 r. eseju „Books in Bed" Jonathan Franzen pisze o naszej dwuznacznej relacji ze statystyką, która stopniowo zajmuje miejsce wielkich systemów światopoglądowych. Zamiast zastanawiać się, jak powinno być, sprawdzamy, jak jest zwykle. Dotyczy to zachowań seksualnych (bo esej Franzena za punkt wyjścia ma poradniki życia erotycznego), ale też każdej innej sfery życia.

Porównanie się z resztą społeczeństwa może przynieść ulgę i pocieszenie, uspokoić skołatane nerwy, potwierdzić, że wszystko jest w normie.

Tyle że – przynajmniej dla Franzena w 1997 r. – to marna pociecha: „Oczywiście, prawda może być taka, że wcale nie jestem większy niż facet obok. Ale kto chce znać taką prawdę?”. Franzen na pewno nie chce, dlatego zaczyna chwalić wiktoriańską etykę skrytości i narzekać na media, które z tego, co miało pozostać prywatne i dawać poczucie wyjątkowości, uczyniły coś pospolitego. Choć przecież za taką argumentacją kryje się świadomość, że to tylko tania sztuczka, opierająca się na niedostatku informacji. Albo prosta decyzja, żeby w konfrontacji faktów z ideologią pojedynczej wyjątkowości – wybrać ideologię.

W gruncie rzeczy to wyobrażenie o jednostkowej wyjątkowości jest nieustannie podmywane przez swój rewers w postaci przekonania o tym, że wcale nie jesteśmy wyjątkowi. I przecież funkcjonowanie instytucji opartych na nieskrępowanej dyskusji światłych jednostek – choćby parlamentu – jest uwarunkowane przez mechanizm całkowicie odwrotny, którym rządzą pospolitość, powtarzalność i statystyka – wybory. I tylko czasem, w chwilach wielkich politycznych przesileń, ta druga świadomość bierze górę.

Opowiadając w „Latach” o wydarzeniach 1968 r. we Francji, Annie Ernaux pisze: „Podniecające stało się myślenie o sobie w kategoriach zbiorowości” (przeł. M. Budzińska, K. Jarosz). Dziś takie myślenie znów staje się powszechne, choć nie wiem, czy na pewno podniecające.

Koperta XIV

Tożsamości

Lokowanie się na diagramie internetowego kompasu albo wykrzykiwanie haseł na demonstracjach ma też swoje skutki uboczne. Stanowi nie tylko wyraz posiadanych już poglądów, ale skłania też wtórnie do tego, żeby te poglądy wzmacniać. W ten sposób polityczne opinie łatwo mogą się przekształcić w polityczne tożsamości. Różnica polegałaby na tym, że o ile te pierwsze powinny – przynajmniej w teorii – podlegać dyskusji, te drugie zasadniczo pozostają nienegocjowalne.

W 2015 r. amerykańscy dziennikarze Ezra Klein i Alvin Chang na łamach magazynu „Vox” pisali o pewnej symptomatycznej zmianie, jaką dało się zauważyć w odpowiedziach mieszkańców Stanów Zjednoczonych na stosunkowo niewinne pytanie: „Czy był(a)byś niezadowolony(a), gdyby twój syn lub córka wzięli ślub z członkiem przeciwnej partii politycznej?”. W 1960 r. twierdząco odpowiedziało tylko 4 proc. zwolenników Demokratów i 5 proc. wyborców Republikanów. 50 lat później było to już 49 proc. Republikanów i 33 proc. Demokratów. Preferencje polityczne, twierdzili Klein i Chang, nabrały w ciągu pół wieku takiego nacechowania emocjonalnego, że zaczęły dotyczyć prywatnych decyzji – stały się elementem tożsamości.

To stąd biorą się – niemal już rytualne, bo powracające z zadziwiającą regularnością, ale wciąż emocjonalnie rozgrzane – spory między „lewakami” a „libkami”, jak obrońców oświeceniowych wartości nazywają ich przeciwnicy. Tych pierwszych określa się czasem pogardliwie „płatkami śniegu”, bo podobno tacy są delikatni, że dosłownie się rozpływają na widok opinii, z którymi się nie zgadzają (po polsku to nie całkiem działa, bo angielskie *melt down* to też synonim internetowej furii); ale przecież ta metafora pasowałaby też do tych drugich, którzy są święcie przekonani, że każdy jest unikalny i niepowtarzalny.

Brzmi to wszystko, właśnie, mało podniecająco, ale za tymi określeniami i sporami stoi przekonanie – raczej świadome w przypadku tych drugich, w przypadku tych pierwszych niewypowiadane wprost – że nasze poglądy wcale nie są takie wyjątkowe. I że w większości przypadków da się je rozpoznać już po jednej nutce. „Ci młodzi przylepieni do ekranów” – to pogląd niechybnie boomerski, „Kobiety przecież też...” – dziaderski, a „Osoba oglądająca...” – to oznaka lewactwa. I tak właśnie trzeba by traktować te określenia – jako nazwy zestawów poglądów, mempleksów, a niekoniecznie przytyki do płci czy wieku.

To, co zbiorowe, ma dziś pierwszeństwo.
Widać to w bezprecedensowym zaangażowaniu młodych ludzi w polityczne protesty, również w sieci. Bo wychowali się w towarzystwie internetu.

Liczby i procenty

Nie wygląda to jak dobra wiadomość dla demokracji. Mówiąc językiem politologii: proces, o którym tu opowiadam, oznacza zmierzch liberalnego indywidualizmu. A wraz z nim demokracji w tym jej wariancie, który do działania potrzebuje silnego przekonania obywateli i obywatelek o ich politycznym sprawstwie, bo tylko ono może podtrzymać wiarę w to, że między aktem oddania głosu w wyborach a decyzjami podejmowanymi przez rządzących zachodzi jakaś łączność. ↦

Tymczasem przekonanie, że stanowi się co najwyżej element większego zjawiska, nad którym samemu lub samej się nie panuje, tę wiarę nadwyręża. Pisząc tym razem o przełomie lat 80. i 90., Annie Ernaux zauważa: „Fakty, rzeczywistość materialna i niematerialna dochodziły do nas za pośrednictwem liczb i procentów", a zaraz dodaje: „Liczby nie wyrażały niczego poza fatalizmem i determinizmem".

W podobnym tonie pisze David Runciman w książce „Jak kończy się demokracja", gdzie zauważa, że przywiązanie do politycznych tożsamości, i to jeszcze tych podpowiadanych nam przez algorytmy, które może i wiedzą, kim dotąd byliśmy, ale nie mają pojęcia, kim chcielibyśmy być, blokuje możliwość zmiany i skazuje nas na tkwienie w zamkniętym kręgu tych samych poglądów. A przede wszystkim rodzi pokusę, by oddać władzę w ręce technokratów, obiecujących uporządkowanie społecznego chaosu i zapanowanie nad nim przy użyciu rzekomo neutralnych narzędzi.

Jednak tego rodzaju pesymistyczne diagnozy, wynikające z przywiązania do XX-wiecznego kształtu liberalnej demokracji, zdają się nie brać pod uwagę punktu widzenia tych, którzy wcale nie byli jej beneficjentami i dla których indywidualizm nie był wcale cnotą, ale narzędziem utrwalania zastanych nierówności. I przecież dziś przekonanie o pierwszeństwie tego, co zbiorowe, idzie w parze z bezprecedensowym zaangażowaniem politycznym tak samo na protestach, jak w sieci.

Coraz więcej osób odnajduje się w pozycji mniejszości – pozbawionych głosu i poczucia sprawczości. Stawiają więc na to, co wspólne, bo jednostkowo niewiele mogą. Ich preferencje polityczne stały się elementem tożsamości.

W szczególności dotyczy to młodszych ludzi, którzy wychowali się w towarzystwie internetu i nawet nie mogą, tak jak Jonathan Franzen, odwracać oczu od faktu, że wcale nie są tacy wyjątkowi, bo taka myśl nawet nie mieści się w ich wyobraźni. Zamiast tego próbują na nowo negocjować warunki swojego uczestniczenia w życiu publicznym. A jeśli wygląda to czasem jak „gównoburze", na które narzekają obrońcy debaty publicznej, to tylko dlatego, że negocjacje wciąż trwają.

Dla tych, którzy nie mają ochoty brać w nich udziału, istnieje wyjście awaryjne: można wcale nie mieć poglądów.

© MACIEJ JAKUBOWIAK

Autor jest redaktorem Dwutygodnika, internetowego magazynu o kulturze, wydał książki „Nieuchronny plagiat" (2017) i „Ostatni ludzie" (2021).

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Zakopanem pod sygn. akt. I Ns 324/18 z wniosku Gminy Poronin toczy się postępowanie o zasiedzenie prawa własności nieruchomości położonej w Białce Tatrzańskiej stanowiącej działkę ewid. nr 5431/4, 5432, 5624 i 5430/1 obręb 0507 Małe Ciche, odpowiadającej parcelom gruntowym ujawnionym w wykazach hipotecznych 583, 602, 703, 823, gmina katastralna Bukowina oraz księdze wieczystej NS1Z/00053901/0.

W księdze wieczystej o numerze NS1 Z/00053901/0 ujawnieni są Bronisława Zeglin, córka Wojciecha, oraz Karolina z Pawlikowskich Pawlikowska.

W wykazie hipotecznym o liczbie 583 jako współwłaściciele figurują Jan Zeglin, Jan Kaleta, Marianna z Łukaszczyków Pawlikowska, Jędrzej Pawlikowski, Franciszek Pawlikowski, Wincenty Pawlikowski, Franciszek Pawlikowski syn Jędrzeja, Franciszek Pawlikowski starszy „Kanty", Ludwik Pawlikowski „Kanty", Marianna z Gałów Pawlikowska, Karolina Pawlikowska Zeglin córka Jędrzeja, Józef Zeglin syn Wojciecha, Franciszek Pawlikowski Szostak, Anna Pawlikowska Żegleniowa, Antonina Pawlikowska córka Jana i Marianny, Aniela Gał córka Jana i Marianny, Maria Kułach córka Jana i Marianny.

W wykazie hipotecznym o liczbie 703 jako współwłaściciele figurują Franciszek Pawlikowski Zeglin syn Jędrzeja i Marianna z Gałów Pawlikowska Zeglin żona Józefa.

W wykazie hipotecznym o liczbie 823 jako właścicielka figuruje Karolina z Pawlikowskich Pawlikowska.

Sąd wzywa wyżej wymienione osoby, ich następców prawnych oraz wszystkich zainteresowanych w sprawie, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili swój udział w postępowaniu, wykazując swoje prawa do opisanej wyżej nieruchomości, gdyż w przeciwnym wypadku zostaną oni pominięci w toczącym się postępowaniu i Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

Sąd Rejonowy w Mrągowie I Wydział Cywilny zawiadamia, że przed tutejszym Sądem pod sygnaturą akt I Ns 56/23 toczy się postępowanie z wniosku o stwierdzenie nabycia spadku po Janie Żebrowskim synu Franciszka i Marianny, z domu Deptuła, zmarłym dnia 13 sierpnia 2020 roku w miejscowości Mrągowo, woj. warmińsko-mazurskie, ostatnio stale zamieszkałym w miejscowości Mrągowo, woj. warmińsko-mazurskie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili się do Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym wypadku będą pominięci w postanowieniu o stwierdzenie nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Wieliczce pod sygn. akt I Ns 192/23 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Eugeniuszu Guzik, synu Bronisławy, ur. 18.10.1934 r. w Ochojnie, zm. 28.10.2016 r. w Ochojnie, ostatnio zamieszkałym w Ochojnie. Sądowi nie jest znany skład spadku.

Sąd wzywa spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzenie nabycia spadku.

TOMASZ

Stawiszyński: *Niezmienność*

W dniu, w którym niniejszy felieton ukaże się drukiem, na warszawskim Stadionie Narodowym odbędzie się – o ile, rzecz jasna, nie wystąpią jakieś nieprzewidziane okoliczności – koncert zespołu Depeche Mode. Nie po raz pierwszy na łamach „Tygodnika" do ich twórczości się odnoszę, ale też – przyznacie – są po temu powody. Już sam fakt, że mowa o grupie – obecnie, niestety, dwuosobowej; Andrew Fletcher zmarł w maju ubiegłego roku, Alan Wilder natomiast w 1994 r. zdecydował się opuścić skład – która od ponad czterech dekad nagrywa wybitne albumy i koncertuje, stanowi fenomen godny uwagi. A skoro dodamy, że jest to grupa, w najściślejszym sensie tego określenia, kultowa, grupa, wokół której wyrosła ongiś w pełni autonomiczna subkultura – do dziś tu i ówdzie żywotna – stanie się całkiem jasne, że nie jeden czy dwa, ale choćby i 20, a nawet 40 tekstów rocznie poświęconych DM w „Tygodniku" to i tak nie byłaby przesada.

To powiedziawszy – i oczyściwszy się niniejszym z wszelkich podejrzeń, jakoby nawracanie do tego wątku wiązało się z moją liczącą sobie już 33 lata miłością do muzyki Depeche Mode – chciałbym teraz o pewnym aspekcie owej miłości powiedzieć jeszcze kilka słów. Dostrzegłem go w pełni dopiero niedawno czy raczej uświadomiłem go sobie i ubrałem w słowa, bo nie jest tak, że nie wiedziałem wcześniej o jego istnieniu. A było to tak: oglądając na YouTubie jakiś występ Depeche Mode z bieżącej trasy, zobaczyłem nagle na scenie... dwóch starszych panów. Przyprószonych siwizną, dziarskich, w świetnej – najlepszej od dawna – formie, ale jednak, co tu dużo mówić, seniorów.

Gore i Gahan seniorami? Nie mieściło mi się to dotąd w głowie. Tymczasem – tak się właśnie sprawy mają, bez dwóch zdań. Wiem, że to moje zdziwienie brzmi co najmniej osobliwie. Tak jakbym systematycznie wypierał najprostszą oczywistość, że moi ukochani artyści, podobnie jak wszyscy, się starzeją. Że ich także obowiązują nieubłagane prawidła przemijania, że – słowem – nie są jakimiś niepodległymi wobec biologii herosami, ale zwykłymi ludźmi, o ludzkich przypadłościach, cechach i dyspozycjach.

Ale ja przecież to wiem, zawsze to wiedziałem! Wszak od 1990 r., odkąd po raz pierwszy usłyszałem „World in My Eyes", nie spuszczam z Depeche Mode oka. Wiedziałem więc i widziałem, jak przybywa im lat, jak przechodzą przez kolejne etapy życia. A ja – co tu kryć – razem z nimi. Kiedyśmy wspólnie przebyli tę drogę? W jakim okamgnieniu? Od dwunastolatka, którym byłem, kiedy mnie zachwycili, aż do czterdziestopięciolatka, którym jestem dzisiaj, a który – niech to będzie rękojmia trwałości mojego zachwytu – bilety na koncert 2 sierpnia w Warszawie kupił natychmiast, jak tylko ruszyła przedsprzedaż. Kiedyśmy przebyli tę drogę?

A zarazem – to bez wątpienia wciąż są oni, w jakiś tajemniczy sposób nic się zatem nie zmieniło. Z tą niepowtarzalną charyzmą, z emanującą z tekstów Gore'a śpiewanych przez Gahana specyficzną esencją czy energią, która istnieje jakby poza czasem, ta sama, dostępna jednakowo z każdej chwili tworzącej linie naszych żyć.

Oto wielki filozoficzny i psychologiczny spór: czy żyjąc rozwijamy się i zmieniamy, czy – mówiąc innymi słowy – na końcu jesteśmy kimś innym niż na początku? Czy też na odwrót – nic się nie rozwija, modyfikacji podlegają tylko okoliczności zewnętrzne, dekoracje, w których rozgrywa się nasz los, rdzeń w nas natomiast pozostaje identyczny od początku do końca? Czy więc sprawy się z nami mają tak, jak zwykł był o sobie mawiać Picasso: „Ja się nie rozwijam, ja jestem"?

Jeśli o mnie chodzi – zdecydowanie bliżej mi do takiego właśnie sposobu myślenia. Muzyka – czy w ogóle sztuka – to tylko jedna z wielu dróg do owego szczególnego doświadczenia niezmienności, do wyjścia poza czas. A czy to jest wyjście faktyczne, realne, czy naprawdę istnieje w nas coś, co trwa nienaruszone przez całe życie? Czy to raczej wyłącznie iluzja, poręczna metoda porządkowania wrażeń zmysłowych, chwytliwa metafora?

Obawiam się, że na to pytanie – podobnie jak na każde możliwe pytanie metafizyczne – nie da się udzielić wiążącej odpowiedzi, nie da się tutaj nic ponad wszelką wątpliwość ustalić. Wystarczy więc powiedzieć tyle, że – niezależnie od wszystkiego – intensywne przeżycia towarzyszące ważnym lekturom, filmom czy muzyce (oraz kontaktowi z dowolną inną formą sztuki) pozwalają po prostu doświadczyć czegoś trwałego i niezmiennego, czegoś, co się wymyka przemijaniu. Doświadczenie, to prawda, jest z natury subiektywne i ulotne, ale – ostatecznie – jest także czymś, co nam najbliższe i najbardziej bezpośrednio dostępne.

Czy to dużo, czy mało – tego niestety też nie wiem. Wiem natomiast, że na warszawski koncert Depeche Mode wybieram się jako oddany fan, który to wszystko zna na pamięć, który tego wszystkiego słuchał tysiące, ba, setki tysięcy razy. Ale który jednocześnie wie, że także i tym razem „World in My Eyes" (i nie tylko) zachwyci go z dokładnie tą samą nieprawdopodobną intensywnością, jak 33 lata temu.

Dokładnie, niezmiennie tą samą. ©

REUTERS / FORUM

Siostra Łucja, 2000 r.

SIOSTRA ŁUCJA OD KŁOPOTÓW

Taki przydomek mogłaby nosić ostatnia wizjonerka z Fatimy. Żadna kobieta w XX wieku nie dała się we znaki papieżom tak jak ona. Właśnie otwarła się droga do jej beatyfikacji.

ARTUR SPORNIAK

Była prostą wiejską dziewczynką. Kiedy miała 10 lat, wydarzyło się coś, co całkowicie zmieniło jej życie – niespodziewanie stała się pośrednikiem między potężnymi i niebezpiecznymi siłami: Nadprzyrodzonością a ziemskim Kościołem.

Ta wyczerpująca misja trwała aż do końca jej długiego życia. Czy wyszła z niej obronną ręką? Wygląda na to, że tak – papież Franciszek niedawno zatwierdził dekret o heroiczności cnót portugalskiej karmelitanki, siostry Łucji dos Santos. Do beatyfikacji ostatniej niekanonizowanej wizjonerki z Fatimy potrzebne będzie jeszcze uznanie cudu przypisywanego jej wstawiennictwu.

Po drugiej stronie

Miejsce w niebie było dla niej od dawna gwarantowane. Życie poświęcającej się modlitwie zakonnicy w kontemplacyjnym zakonie spełniało tradycyjny kanon świętości – to po pierwsze. Po drugie, Kościół musiałby tłumaczyć, dlaczego beatyfikował (w 2000 r.) i kanonizował (w 2017 r.) pozostałych wizjonerów – Hiacyntę i Franciszka Marto – a nie beatyfikuje ich kuzynki, skoro odgrywała ona nieporównywalnie ważniejszą rolę w historii objawień fatimskich. I po trzecie: objawienia już w 1930 r. zostały uznane przez Kościół za prawdziwe, możemy więc założyć, że Piękna Pani, z którą rozmawiała Łucja, to Maryja. Ona zaś dwukrotnie – podczas pierwszego i drugiego widzenia – obiecała dzieciom, że wszystkie trafią do nieba.

Franciszka i Hiacyntę miała zabrać niebawem, i tak też się stało. Oboje zmarli z powodu szalejącej wówczas grypy hiszpanki – Franciszek w 1919 r., jego siostra w 1920 r. Łucja otrzymała zapewnienie, że pozostanie jeszcze „przez jakiś czas", bo ma rozpowszechnić kult Niepokalanego Serca Maryi. Czekała długo – zmarła w 2005 r., przeżywszy 98 lat. Benedykt XVI skrócił wymagany przez prawo kanoniczne pięcioletni okres oczekiwania od śmierci kandydata na ołtarze i proces Łucji rozpoczął się już w 2008 r.

Nie było to wcale pewne. Łucja – zważywszy na rolę, jaką odegrała – stała się jedną z najbardziej wpływowych i zarazem kłopotliwych dla hierarchii postaci. Żadna kobieta nie dała się we znaki papieżom w XX wieku tak jak ona. Omal nie została – bezwolnie – natchnionym przywódcą rebelii i schizmy w Kościele. A wszystko to przez żądania Nadprzyrodzoności, która w 1917 r. wmieszała się z impetem w historię Europy.

Wkracza Niebo

13 maja dzieci pasące owce na wzgórzu Cova da Iria niedaleko Fatimy dostrzegły błysk światła. Myśląc, że to błyskawica zwiastująca burzę, zaczęły schodzić ze wzgórza. Światło jednak zatrzymało się nad ostrokrzewem i wtedy zobaczyły postać dziewczyny, jaśniejącą „światłem jaśniejszym od promieni słonecznych, które świecą przez kryształowe naczynie z wodą". Tak opisywała ją Łucja; pytana potem o wiek zjawy, powie, że wyglądała na 15 lat. Dziewięcioletni wówczas Franciszek widział ją, ale nie słyszał. Ośmioletnia Hiacynta widziała i słyszała, ale nie rozmawiała z nią. Rozmawiała, a potem usłyszane słowa stopniowo ujawniała tylko najstarsza z nich – Łucja.

Zjawa poprosiła, by dzieci przychodziły w to miejsce 13. dnia każdego miesiąca przez pół roku i żeby codziennie odmawiały różaniec, „aby uzyskać pokój dla świata i koniec wojny". „Potem – to znów opis Łucji – zaczęła się spokojnie unosić w stronę wschodu i wreszcie znikła w nieskończonej odległości. Światło, które Ją otaczało, zdawało się torować Jej drogę do przestworza niebieskiego".

W czerwcu Maryja pokazała dzieciom swoje Niepokalane Serce przebijane cierniami, co miało symbolizować grzechy ludzi (kult Niepokalanego Serca Maryi – analogiczny do pochodzącego ze średniowiecza kultu Najświętszego Serca Jezusa – zaczął rozpowszechniać się już w XVII w.). W lipcu otrzymały dwie (a jak się potem okazało – trzy) tajemnice: wizję piekła i warunki, jakie Kościół i ludzie mają spełnić, by uniknąć nowej wojny, głodu oraz prześladowania chrześcijan. Tajemnica trzecia, ujawniona dopiero w 2000 r., będzie budzić nieustanny ferment w Kościele.

Wbrew logice Maryja dodaje, by z wyjątkiem Franciszka dziewczynki nie ujawniały tajemnic nikomu – Łucja ujawni dwie pierwsze dopiero w 1941 r. W 1946 r. pytana, czy nie szkoda, że nie zrobiła tego przed wojną, wizjonerka odpowiedziała niezbyt przekonująco: „Tak, gdyby Bóg chciał, bym była prorokiem, ale On nie miał takiego zamiaru, bo w przeciwnym razie kazałby mi na pewno mówić o tym w roku 1917, a tymczasem nakazał milczenie".

Najbardziej zdumiewające, bo odnoszące się do światowej polityki, było wezwanie do poświęcenia Rosji Niepokalanemu Sercu Maryi. Dzieci nie zrozumiały tego wezwania: Łucja sądziła, że Rosja to jakaś wyjątkowa zła kobieta, a Franciszek myślał, że chodzi o Russę, oślicę wujka. W sierpniu – z powodu uwięzienia dzieci przez władze – wizja odbyła się dopiero 19. Maryja, pytana, co zrobić z pieniędzmi, które ludzie przynoszą, odpowiedziała, by wybudowano w tym miejscu kaplicę i przygotowano dwa feretrony, które dziewczynki i Franciszek z kolegami będą nosić w święto Matki Bożej Różańcowej. We wrześniu na liczne prośby o uzdrowienie Maryja odpowiedziała: „Tak, kilku uzdrowię, innych nie". Ponadto zapowiedziała na październik cud słońca, „aby wszyscy uwierzyli", oraz zmultiplikowaną wizję: „Przybędzie również nasz Pan, Matka Boża Bolesna i z Góry Karmelu, św. Józef z Dzieciątkiem Jezus, żeby pobłogosławić świat".

W październiku w Cova da Iria zgromadziło się kilkadziesiąt tysięcy osób, w tym przedstawiciele antyklerykalnej prasy. Podczas gdy ludzie z przerażeniem oglądali „taniec słońca" (obserwowany też w promieniu kilkudziesięciu kilometrów), zjawa powiedziała Łucji, że jest Matką Bożą Różańcową, ponownie wezwała do codziennego odmawiania różańca i zapowiedziała koniec I wojny światowej.

Niepokojąca – choć można powiedzieć, że typowa dla ówczesnej pobożności – jest teologia, która kryje się za objawieniami. „Czy chcecie ofiarować się Bogu, by znosić wszystkie cierpienia, jakie On zechce na was zesłać w akcie wynagrodzenia za grzechy, którymi On jest obrażany, i jako błaganie za nawrócenie grzeszników?" – to pierwsze pytanie zjawy zadane już 13 maja 1917 r. Odczytując to wprost: pobożność fatimska budowana jest na teologii, która głosi, że Bóg czuje się obrażony grzechami ludzi i potrzebuje jako zadośćuczynienia cierpienia dzieci. Czy w takim Bogu można rozpoznać Ojca, do którego modlił się Jezus? Trudno też nie zauważyć, że Jezus w Ewangeliach dość stanowczo odmawia czynienia spektakularnych cudów. ↦

Religijny miks

Dzieci przyjęły objawiony przekaz bardzo dosłownie. Przy okazji kolejnych objawień Maryja – by łagodzić ich cierpiętniczy zapał – musiała nakazać małym wizjonerom zdejmowanie przynajmniej na noc sznura od wozu, który dzieci znalazły i zobaczyły, że gdy nim się obwiążą, zadaje to dotkliwy ból (zaczęły go zatem we trójkę nosić jako umartwienie). Łucja poświadczyła, że przed śmiercią Hiacynty otrzymała od niej sznur, który był zakrwawiony i który po jej śmierci spaliła, a potem żałowała, bo byłby to dowód na heroizm kuzynki.

Praktyka zastępczego cierpienia w czyjejś intencji jest zakorzeniona w głębokiej teologii ofiary Chrystusa. Natomiast teologia wynagradzania Bożych zniewag odwołuje się do religijności pogańskiej (naturalnej) – *sacrum* znieważone przez *profanum* domaga się zadośćuczynienia. Tymczasem chrześcijaństwo zniwelowało przepaść między tymi światami: *sacrum* wkroczyło w *profanum* i przemieniło je od środka. Chrystus poprzez Wcielenie stał się naszym bratem – możliwa jest z Nim relacja osobowa. W teologii i pobożności podkreślającej wciąż przepaść między *sacrum* a *profanum* relacja międzyosobowa (przyjaźni, miłości) jest utrudniona, o ile w ogóle możliwa. Dlatego pobożność taka szuka przedmiotowych zastępników: łatwiej jest myśleć o Bożym „sercu" i reagować na wbijane weń „ciernie" naszych grzechów, niż stanąć przed cierpiącym z miłości do człowieka Bogiem (inna rzecz, że dzisiaj taka anatomiczna obrazowość słabo do nas przemawia, gdyż wiemy, że „siedliskiem" uczuć nie jest serce, tylko mózg, a właściwie psychika).

O ile teologia odwołująca się do relacji osobowych z przerażeniem będzie patrzeć na dzieci zadające sobie dotkliwy ból w celu wynagradzania Bożych zniewag, o tyle religijność naturalna przyjmie to za oczywistość. Skoro nieskończony Stwórca dopuszcza cierpienie i śmierć milionów dzieci chorych na nieuleczalne choroby, czym jest przy tym szorstki sznur obcierający do krwi kilkuletnie ciało?

W objawieniach fatimskich wymieszane są zatem różne teologiczne perspektywy. Dlatego budzą one ambiwalentne reakcje: odpychają i zarazem przyciągają.

Zabawy i więzienie

Powróćmy do głównej bohaterki. Łucja urodziła się w 1907 r. w portugalskim Aljustrel nieopodal Fatimy jako najmłodsza z siedmiorga dzieci ubogich rolników Antonia dos Santosa i Marii Rosy. Nie była urodziwa: „Wysokie i szerokie czoło. Oczy brązowe, duże i żywe. Niezbyt gęste brwi. Nos spłaszczony. Usta szerokie, grube wargi. Broda zaokrąglona. Twarz nieco szersza niż normalnie. Niski wzrost. Zachowanie poważne i niewinne. Żywa, inteligentna, ale skromna i bezpretensjonalna. Ręce grube, spracowane, normalnej wielkości".

Nie była też sprytnym dzieckiem. Często w zabawach przegrywała – jak notuje w pamiętnikach, zdarzało się, że ku niezadowoleniu matki wracała do domu bez guzików. Ale miała zmysł organizacyjny i zdolności przywódcze – to ona organizowała dzieciom zabawy i cieszyła się wśród nich autorytetem. Gdy osiągnęła wiek, w którym dzieci posyłane były do pracy, i zaczęła wypasać owce, młodsze kuzynostwo wyprosiło u swoich rodziców pozwolenie na przebywanie razem z nią.

Odebrała surowe religijne wychowanie. Religii uczyła ją matka, Maria Rosa. „Musieliśmy rozumieć to, czego nas uczyła. (...) Zadawałyśmy jej więc wiele pytań, a ona tłumaczyła wszystko lepiej niż ksiądz na katechezie. Pewnego dnia zapytałam ją, jak to się dzieje, że ogień piekielny nie spala piekielnych dusz, tak jak spala drzewo. Matka z kolei zapytała, czy widzieliśmy kiedykolwiek kość wrzuconą do ognia, która się pali, ale nie spala. To nas przeraziło i powzięliśmy wówczas postanowienie, aby nie grzeszyć i tym samym uniknąć ognia piekielnego".

W jednym z wywiadów jej najstarsza siostra Maria dos Anjos twierdziła, że Łucja nie była bita w domu. Raz tylko oberwała miotłą od matki, ale stało się to już podczas trwania objawień. Wówczas relacja z surową matką pogorszyła się – Maria Rosa uważała, że córka kłamie, i bardzo się bała, że ludzie zrobią jej krzywdę, gdy żadnego cudu w październiku nie zobaczą. Łucja mogła liczyć tylko na ojca – Antonio był jedyną osobą z całej rodziny, która broniła dziewczynki. Choć gdy pytano go o objawienia, odpowiadał: „Nic na ten temat nie wiem. To sprawy kobiet".

Aż do „cudu słońca" szykany spotykały Łucję także poza domem. Nieraz była wyzywana i popychana, a jej najstarsza siostra mówiła nawet o biciu Łucji przez sąsiadów. Zaświadczała, że Łucja zachowywała wówczas spokój. Gdy także miejscowy proboszcz straszył Łucję piekłem za kłamstwo, odpowiedziała, że tam nie pójdzie, bo nie kłamie. Przestraszyła się dopiero, gdy ksiądz zasugerował, że objawia jej się diabeł.

Zastraszyć Łucję próbowali także odwiedzający Fatimę duchowni. Jak opowiadał ojciec Hiacynty i Franciszka, jeden z nich przed ostatnim objawieniem groził wizjonerce: „Albo natychmiast odwołasz to wszystko, co mówiłaś, albo zrobię to sam wobec zebranego tłumu. Ludzie mi uwierzą, a co więcej, udadzą się do Cova i zniszczą wszystko, a ty nawet nie zdążysz im uciec". Podobno Łucja nie odezwała się ani słowem.

Prawdziwą psychiczną torturę zafundował dzieciom antyklerykalny burmistrz pobliskiego Ourém. 13 sierpnia wywiózł podstępnie wizjonerów do ratusza, gdzie poddał ich przesłuchaniu – chciał, by Łucja wyjawiła tajemnice przekazane przez Maryję albo przyznała się, że nie ma żadnych objawień. Ponieważ przesłuchanie nie przyniosło rezultatu, zamknął dzieci na kilka godzin w areszcie z więźniami. Skończyło się tym, że Hiacynta zorganizowała odmawianie różańca wspólnie z aresztantami. W końcu burmistrz zastosował podstęp – symulował, że za-

OGŁOSZENIE

KLUB TP Chojnice
KLUBTYGODNIKA.PL

CHOJNICE: Stawiamy na edukację i zaangażowanie młodzieży. Zapraszamy do Klubu „Tygodnika Powszechnego" w Chojnicach!

Koordynator
Marcin Wozikowski
chojnice@klubtygodnika.pl

Więcej informacji o Klubach „TP" na **klubtygodnika.pl**

jt STOWARZYSZENIE **IM. JERZEGO TUROWICZA**

biera najmłodszą Hiacyntę, by ją usmażyć w oleju, potem zabrał Franciszka. Łucja była przekonana – jak potem mówiła – że dzieci zostały zabite, i sama przygotowywała się na śmierć.

Uwięzienie dzieci trwało dwie doby. W tym czasie tylko rodzice Hiacynty i Franciszka starali się dowiedzieć, co się z dziećmi dzieje. Matka Łucji mówiła: „Dobrze jej tak, skoro kłamie!".

Spektakularne życie ukryte

Wszystko zmieniło się po „cudzie słońca". Dzieci zdobyły rozgłos i nowy kłopot: jak uniknąć natrętów? Trwało to do śmierci Franciszka i Hiacynty. W 1921 r. miejscowy biskup za zgodą rodziców zabrał Łucję do szkoły prowadzonej przez siostry doroteuszki w Porto. Wreszcie mogła uczyć się czytać, jak nakazała jej Maryja w jednym z widzeń (wcześniej matka nie pozwalała jej chodzić do szkoły). Jak przetrwała te wszystkie trudne doświadczenia?

Odnajdujemy ją jako dziewczynę pewną siebie, pogodną, mającą swoje zdanie. Gdy do mieszczańskiego domu, w którym 14-latkę umieściły zakonnice, by utemperować jej wiejskie nawyki, miał przyjść na obiad biskup, pani domu nakazała Łucji włożyć gorset. Nastolatka czyni to pierwszy raz w życiu i zaraz go zdejmuje. Podczas obiadu wyjaśnia: „Poczułam się zaciśnięta jak siodło na oślicy mojej mamy".

Po czterech latach nauki Łucja wstąpiła do zgromadzenia św. Doroty. W 1948 r. za pozwoleniem papieża przeniosła się do wytęsknionego Karmelu w Coimbrze. Prowadziła obfitą korespondencję i spotykała się z wieloma osobami – do czasu, aż Watykan przejął kontrolę nad jej kontaktami. Od 1960 r., a więc od daty zapisanej przez zakonnicę na kopercie z trzecią tajemnicą przekazaną do Rzymu (Łucja wyjaśniła, że od tego roku można tajemnicę wyjawić publicznie), mogła przyjmować tylko swoich bliskich lub osoby, które otrzymały z Watykanu pozwolenie.

Szukającym porady duchowej dawała proste zalecenia. „Niech Ci na wszystko zabraknie czasu, ale nigdy na modlitwę, a wtedy zobaczysz, jak wiele osiągniesz w krótkim czasie" – pisała do znajomego księdza. Człowieka niemodlącego się porównywała do ubitego białka bez cukru, „które po jakimś czasie zamienia się w zabrudzoną ciecz".

GRZEGORZ GAŁĄZKA / ARCHIVIO / GETTY IMAGES

Trójka pastuszków: Franciszek Marto, Łucja dos Santos i Hiacynta Marto. Fatima, Portugalia, 1917 r.

„Siostra jest drobniutka, bystra i wielka gaduła" – tak po dwugodzinnej rozmowie w 1977 r. charakteryzował s. Łucję kard. Albino Luciani, późniejszy Jan Paweł I. Z kolei kard. Tarcisio Bertone, który spotkał się z nią w 2003 r., o 95-letniej wówczas mniszce pisał: „Odznaczała się werwą, poczuciem humoru". Gdy wspomniał jej, że w Lourdes mówił o Matce Bożej Fatimskiej, zauważyła, że „nie należy mieszać Matek Bożych".

Zapewne bezpośredni kontakt z objawiającymi się Maryją i Jezusem dawał jej poczucie swobody w traktowaniu kościelnych dostojników. Bo objawienia wcale nie ustały w roku 1917.

Czego oczekuje niebo

Biskup diecezji Leiria, José Correia da Silva, stwierdzając w 1930 r. „z całkowitą pewnością", że objawienia fatimskie z 1917 r. „są godne wiary", tak naprawdę nie wiedział, co zatwierdza i jaki wybuchowy potencjał zawiera ta nadprzyrodzona ingerencja. Pojawienie się Matki Bożej zalecającej odmawianie różańca wydawało się całkowicie bezpieczne. Dzieci jednak zgodnie z poleceniem zjawy zataiły główne przesłanie. Z czasem hierarcha zrozumiał, że nie skończy się na poświęceniu kaplicy w miejscu objawień.

A Łucja otrzymywała kolejne instrukcje z nieba. W latach 1925-1929 miała co najmniej cztery wizje, dotyczące m.in. rozpowszechniania nabożeństwa pięciu pierwszych sobót miesiąca poświęconego Niepokalanemu Sercu Maryi (należało wtedy przyjmować komunię wynagradzającą, zwłaszcza za grzechy znieważające dogmaty maryjne). W ostatniej wizji Matka Boża powiadomiła: „Przyszła chwila, w której Bóg wzywa Ojca Świętego, aby wspólnie z biskupami całego świata poświęcił Rosję memu Niepokalanemu Sercu". Żądanie nieba przekazała poprzez spowiedników biskupowi. Ten dopiero ↦

↦ w 1937 r. poinformował o nim listownie Piusa XI.

Odpowiedzi nie było. O możliwej reakcji Piusa XI pisze Marco Tosatti w książce „Fatima. Nieujawniona tajemnica". Papież po obiedzie (podczas którego słuchał w samotności radia – ówczesnej nowinki technicznej) miał zwyczaj pić kawę i przeglądać korespondencję w towarzystwie dwóch swoich sekretarzy. Z ich relacji wiemy, że gdy dostawał list dotyczący jakiejś zakonnicy mającej widzenia, mówił do siebie głośno: „No, popatrz! Mówi się, że to ja jestem Jego namiestnikiem na ziemi. Jeśli chce mnie o czymś powiadomić, mógłby to powiedzieć mnie".

Dużo bardziej przejęty był pobożny Pius XII, który w 1942 r. poświęcił świat i – w sposób zawoalowany – Rosję Niepokalanemu Sercu Maryi. Z powodu wojny nie uczynił tego jednak w łączności ze światowym episkopatem. Niebo nie było zadowolone.

Paweł VI – potwierdza to jego bliski współpracownik, Jean Guitton – miał podobny stosunek do wizjonerów, jak Pius XI. Uważał, że skoro Kościół osiągnął pełnię objawienia, już ich nie potrzebuje. O samej Łucji w rozmowie z Guittonem wyrażał się z lekceważeniem: „To bardzo prosta osoba. Wiejska dziewczyna o nieskomplikowanej osobowości. Wierni chcieli ją zobaczyć, więc im ją pokazałem". Tosatti wskazuje, że choć był pierwszym papieżem, który odwiedził 13 maja 1967 r. na krótko Fatimę, odmówił spotkania z Łucją na osobności.

Jan Paweł II zainteresował się Fatimą po zamachu. Ważna okazała się koincydencja dat – zamach nastąpił w rocznicę objawień – a przede wszystkim treść trzeciej tajemnicy. Począwszy od lat 50. ubiegłego wieku kolejni papieże zapoznawali się z zapisaną przez Łucję w 1944 r. wizją „biskupa ubranego na biało", który kroczy przez na wpół zrujnowane miasto, by dojść na golgotę i u stóp krzyża z nieociosanego drewna zginąć z powodu ran zadanych przez kule z karabinów i strzały z łuków. By nie prowokować szaleńców chcących spełnić proroctwo, papieże – począwszy od Jana XXIII – nie decydowali się na publikację tej wizji. Jednak informacje o zapoznaniu się papieży z tekstem i późniejsze ich milczenie działały na wyobraźnię – sądzono, że trzecia tajemnica zapowiada wielki kryzys wiary w Kościele, wewnętrzne walki i przyjście Antychrysta.

Aktywne były zwłaszcza tradycjonalistyczne środowiska dążące do ogłoszenia kolejnego dogmatu maryjnego – o Maryi jako współodkupicielce i pośredniczce wszelkich łask (który to tytuł właściwie zrównywałby Ją z Chrystusem). Traktowały one Łucję jako alternatywne Magisterium Kościoła – skoro w przeciwieństwie do papieża ma ona bezpośredni kontakt z niebem, a temu niebu bardziej zależy na ochronie maryjnych dogmatów i walce z komunizmem niż np. na walce ze złem niesprawiedliwości społecznych i przeciwstawianiu się rodzącemu się w latach 20. w Europie faszyzmowi. Skądinąd nie wiadomo, dlaczego Matce Bożej Fatimskiej tak zależało na nawróceniu komunistycznej Rosji, a nie np. faszystowskich Niemiec...

Ogłaszając w Roku Jubileuszowym 2000 treść trzeciej tajemnicy, Jan Paweł II po części motywowany był chęcią uspokojenia środowisk tradycjonalistycznych – jednak nadal krąży opinia, że Kościół nie wszystko ujawnił. Papieżowi z Polski nie do końca też udało się spełnić warunki poświęcenia Rosji. Aktu tego dokonał w łączności z episkopatami w 1984 r., ale ze względów ekumenicznych (by nie obrazić rosyjskiego prawosławia) użył eufemizmu, mówiąc o narodach, na których Maryi „najbardziej zależy". Słynny mariolog ojciec René Laurentin, którego – jak zauważa Tosatti – o sympatię do tradycjonalistów podejrzewać nie można, pisał w 1986 r.: „Łucja zdaje się sądzić, iż poświęcenie »nie zostało dokonane« tak, jak chciała tego nasza Pani".

Wszystkie warunki spełnił dopiero Franciszek, gdy po napaści Rosji na Ukrainę w łączności ze światowym episkopatem poświęcił oba kraje Niepokalanemu Sercu Maryi 25 marca 2022 r. Czy akt został przez niebo przyjęty? Nie mamy już kogo zapytać. ©℗ ARTUR SPORNIAK

Korzystałem ze strony SekretariatFatimski.pl oraz z książek: „Ostatnia wizjonerka z Fatimy. Tarcisio Bertone i Giuseppe de Carli rozmawiają o siostrze Łucji", przeł. B. Piotrowska, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2008; Ks. Jan Drozd SDS „Orędzie Niepokalanej", Wydawnictwo Salwatoriańskie, Kraków 1996; Robert J. Fox „Ponowne odkrycie Fatimy", przeł. M. Olszewska, Pallotyni, Zakopane 1994.

Wypoczynek ducha

PIOTR SIKORA

Lektura na wakacje? Polecamy refleksje starożytnych mnichów.

Trzeźwość umysłu. Nie tylko logiczne myślenie, które nie daje się zwieść sofizmatom polityków i manipulacjom speców od reklamy, pewnie przechodząc od zasadnych przesłanek do klarownych konkluzji – lecz także jasna świadomość wszystkiego, co dzieje się wokół, całego bogactwa rzeczywistości, intensywnego pulsu życia. Któż by nie chciał osiągnąć takiego stanu? Tym bardziej jeśli łączyłby się on z głębokim spokojem ducha, łagodnym wyciszeniem bolesnych wspomnień, chaosu trosk o przyszłość, zamętu niechcianych odczuć? A gdyby był to jeszcze stan rozpoznania ostatecznego sensu życia, doświadczalnego zjednoczenia z boską Podstawą Rzeczywistości?

Mądrość tysiąca lat

Dążenie do takiego stanu obecne jest w większości ludzkich kultur. Także w chrześcijaństwie. A że droga ku niemu nie jest łatwa, ludzie próbujący nią iść korzystają często z mądrości pokoleń, które podobną podróż przebyły wcześniej.

Jednym z uznanych sposobów zapewnienia sobie możliwości inspirowania się doświadczeniem ludzi, którzy nas poprzedzili, było tworzenie zbiorów ich mądrościowych sentencji i pouczających historii. Jednym zaś z najcenniejszych takich zbiorów jest wydana w XVIII wieku w Wenecji „Filokalia". Autorami wyboru byli dwaj prawosławni mnisi, Nikodem Hagioryta i Makary z Koryntu. Zebrali dzieła autorów żyjących od IV do XIV w. na egipskiej pustyni, w klasztorach Synaju, Bizancjum, góry Athos.

B E & W

Na górze Athos

Od kilkunastu lat mamy po polsku fragmenty tego zbioru. Od niedawna – cały pierwszy (z czterech) tom, wydany staraniem benedyktynów tynieckich (pozostałe trzy są nadal w tłumaczeniu i redakcji). Może on być bardzo dobrą wakacyjną lekturą.

„Filokalia" to gruba książka (na wakacje lepiej zabrać ją w formie e-booka), ale nie ma sensu czytać jej od deski do deski. Na jej treść składają się głównie krótkie sentencje. Rzadko kiedy zawierają wysokie teologiczne spekulacje: najczęściej są zwięzłym sprawozdaniem z osobistego doświadczenia dotyczącego poszukiwania duchowej trzeźwości (*nepsis*) i wyciszenia (*hesychia*).

Demonologia

Najlepiej zatem czytać „Filokalię" fragment po fragmencie, traktując poszczególne sentencje jako źródło inspiracji we własnej duchowej drodze. Odnosząc do osobistego doświadczenia, niekoniecznie wierząc dawnym mnichom we wszystkim na słowo, lecz sprawdzając ich sugestie i stwierdzenia poprzez odniesienie do własnej wiedzy i życia.

Dla mnie kluczem do „Filokalii" jest sugestia jednego z najważniejszych autorów starożytności, Ewagriusza z Pontu: „Gdy zrani cię któryś z wrogów i chcesz, jak napisano, zwrócić jego miecz w jego serce, uczyń tak, jak mówimy: rozłóż w swoim wnętrzu włożoną przez niego myśl – cóż to za jedna, z jakich rzeczy się składa i czym właściwie jest to, co uciska umysł".

Wróg, który często pojawia się na kartach „Filokalii", ma zawsze duchową naturę. „Filokaliczni" autorzy wiele piszą o demonach. Przeciwnikiem mogą być także nasze własne słabości i wady. Demonologii mnichów nie trzeba rozumieć dosłownie. Wystarczy przyjąć, że jest to świadectwo fenomenologicznego doświadczenia: iż to, co dzieje się w naszym umyśle, często nie zależy od naszej woli, że jawi się, jakby było powodowane niezależnymi od nas siłami, z którymi musimy nauczyć się dawać sobie radę.

Dialog z mnichami

Uniwersalne znaczenie ma druga część sugestii Ewagriusza: by osiągnąć trzeźwość umysłu i pokój serca, trzeba uważnie poznawać mechanizmy tego, co w nas się dzieje, rozkładając cierpliwie na czynniki pierwsze doświadczany chaos myśli, uczuć, impulsów. Warto tak robić przeżywając zarówno chwile trudne, jak i „duchowe sukcesy": „Gdy któreś z nieczystych myśli zostały szybko wypędzone, znajdźmy przyczynę: dlaczego tak się stało?".

W procesie rozpoznawania mechanizmów działania własnego umysłu dobrze jest zestroić osobiste ćwiczenie uważności z lekturą starożytnych uwag. Włączyć się na podstawie osobistego doświadczenia (a może i znajomości współczesnej wiedzy o ludzkiej psychice) w trwające od wieków dyskusje. Choćby taką, jakiej świadectwem jest sentencja przypisywana żyjącemu w IX w. Teodorowi z Edessy: „Niektórzy byli w rozterce, gdy zapytali: czy to namysł porusza namiętności, czy namiętności namysł? Bo jedni mówili to, a drudzy tamto. A ja mówię, że namysły poruszane są dzięki namiętnościom. Gdyby bowiem w duszy nie było namiętności, nie niepokoiłyby jej namysły o nich".

Myślę, że ludzie, których pisma zgromadzone są w „Filokalii", pochwaliliby naszą ideę wakacji: odejścia od codziennego zabiegania, zwrócenia uwagi na ludzi wokół, trawy kładące się na wietrze, chmury błądzące po niebie. Dodaliby zapewne tylko, że warto przez ten czas ćwiczyć trzeźwość ducha, bo jak pisał Hezychiusz z Synaju: „Trzeźwość to metoda duchowa, która, gdy podąża się za nią przez dłuższy czas i ochoczo, wraz z Bogiem uwalnia całkowicie człowieka od opanowanych namiętnościami wyobrażeń, słów oraz niegodziwych czynów. Gdy się za nią podąża, obdarza ona łaską niezawodnego poznania niepojętego Boga". ©℗

FILOKALIA
tom 1, przeł. Cezary Dobak, Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów, Kraków 2023

Papież, młodzież i strajki

DOMA MATEJKO

Pierwsze po pandemii Światowe Dni Młodzieży – zorganizowane w Lizbonie – odbywają się w cieniu globalnej inflacji, malejącej liczby praktykujących katolików i protestów w samej Portugalii.

ANTONIO COTRIM / EPA / PAP

Pielgrzymi przybywający na Światowe Dni Młodzieży w Portugalii. Lizbona, 26 lipca 2023 r.

Świadomy tego wszystkiego papież apeluje: „W czasie tego spotkania nauczcie się patrzeć dalej, wyjść poza horyzont. Otwórzcie serca na inne kultury, na innych" – wzywał już kilka miesięcy temu w krótkim wideo skierowanym do młodych wybierających się na ŚDM.

Do stolicy Portugalii przybyło ponad 600 tys. osób ze 184 państw. Oprócz oczywistych punktów programu, jak droga krzyżowa czy wizyta w Fatimie, w programie papieskiej wizyty uwzględniono spotkania, które dla wielu duchownych katolickich byłyby co najmniej niekomfortowe, o ile w ogóle możliwe. W czasie sześciodniowej wizyty w Portugalii papież spotka się z ofiarami przestępstw seksualnych w portugalskim Kościele. Mimo że spotkanie to, ze względu na poszanowanie prywatności poszkodowanych, nie zostało ujęte w oficjalnym programie ŚDM, a jego data pozostaje nieznana, dla Franciszka stanowi jeden z tych gestów, przez które chce zasygnalizować kierunek, w jakim powinien zmierzać Kościół.

Na tydzień przed rozpoczęciem ŚDM, w czasie III Światowego Dnia Dziadków i Osób Starszych, papież apelował do młodych wybierających się do Lizbony, aby odwiedzili swoich dziadków, natomiast osoby starsze prosił o modlitwę za młodych. Również hasło tegorocznych Światowych Dni Młodzieży „Maryja wstała i poszła z pośpiechem" jest kontynuacją papieskiego wezwania do podejmowania życiowych wyzwań. „Jezus cieszy się, że osiągamy wielkie cele. Nie chce, byśmy byli leniami i próżniakami, nie chce nas milczących i nieśmiałych. Chce, abyśmy byli żywi, aktywni, czynnie kształtujący rzeczywistość" – mówił Franciszek do młodzieży w czasie pielgrzymki do Budapesztu, na trzy miesiące przed ŚDM.

Coraz mniej młodych

Mimo że liczba 600 tys. pielgrzymów w Lizbonie może wydawać się imponująca, w rzeczywistości to jedne z najmniej licznych Światowych Dni Młodzieży. W spotkaniu Franciszka z młodymi w Polsce w 2016 r. uczestniczyło prawie sześć razy więcej osób – do Krakowa przybyło wtedy trzy i pół miliona pielgrzymów. Liczniejsze były tylko ŚDM w Rio de Janeiro w 2013 r., gdzie zgromadziło się 3,7 mln młodych z całego świata. Ostatnie ŚDM przed pandemią odbyły się w Panamie i uczestniczyło w nich 800 tys. osób.

Trudno wskazać na jedną przyczynę stosunkowo małej liczby uczestniczących. Dla wielu kluczowa okazała się kwestia ekonomiczna. Inflacja, droga benzyna i bilety lotnicze – które w tym sezonie wakacyjnym osiągnęły astronomiczne ceny – z pewnością uniemożliwiły wielu osobom wzięcie udziału w wydarzeniu, mimo że w licznych parafiach organizowane były kwesty na rzecz wyjazdu do Portugalii.

Są jednak również inne powody. Młodych w Kościele jest coraz mniej. W sąsiadującej z Portugalią Hiszpanii, często bezpodstawnie postrzeganej jako kraj katolicki, tylko niecałe 9 proc. osób między 25. a 34. rokiem życia określa się jako osoby wierzące i praktykujące. Ogółem tylko 56,4 proc. Hiszpanów uważa się za katolików. W Portugalii liczba ta jest znacznie wyższa. Według danych pochodzących ze spisu ludności przeprowadzonego w 2021 r. 80,2 proc. Portugalczyków i Portugalek to osoby wierzące. Maleje jednak liczba osób praktykujących. Według danych pochodzących z World Values Survey tylko 20 proc. zadeklarowanych katolików w Portugalii uczestniczy regularnie w niedzielnej mszy.

Mała liczba praktykujących nie jest oczywiście charakterystyczna tylko dla Półwyspu Iberyjskiego. Postępująca laicyzacja to cecha państw rozwiniętych, a więc i całej Europy Zachodniej, a malejąca liczba osób młodych w Kościele katolickim jest tylko jednym z wielu przejawów kryzysu wiary w instytucje kościelne.

HORACIO VILLALOBOS / GETTY IMAGES

Msza pod przewodnictwem patriarchy Lizbony kard. Manuela Clemente dla wolontariuszy Światowych Dni Młodzieży. Estoril, 26 lipca 2023 r.

Polska Lizbona

Najliczniejszą grupę pielgrzymów stanowią Hiszpanie: do stolicy Portugalii przyjechało ich ok. 40 tys. Na drugim miejscu są Włosi (ponad 32 tys.), a na trzecim Portugalczycy (trochę ponad 19 tys.). Z Polski do Lizbony przybyło ok. 9 tys. osób. Mimo że najpopularniejszym środkiem transportu był dla Polaków autokar, grupa śmiałków z Krakowa, Pruszkowa i Kokotka dojechała tam na rowerach. Komitet organizacyjny ŚDM oddał Polakom do dyspozycji stadion, na którym przez cały tydzień w ramach projektu „Polska Lizbona" odbywają się m.in. koncerty i spotkania z polskimi wykonawcami muzyki chrześcijańskiej. Uczestnicy ŚDM zakwaterowani są na terenie trzech diecezji – Lizbony, Setúbal i Santarém, gdzie ponad 6 tys. rodzin udostępniło im swoje mieszkania. Komitet organizacyjny od początku współpracował z władzami lokalnymi, aby umożliwić zbiorowy nocleg dla ponad 400 tys. osób w szkołach i centrach sportowych.

Organizacja wydarzenia wymagała ogromnego wysiłku logistycznego i jeszcze więcej publicznych pieniędzy. Koszt tegorocznych ŚDM – ponad 81 mln euro – wzbudził oburzenie dużej części portugalskiego społeczeństwa. W porównaniu z Polską, która przy sześciokrotnie większej liczbie pielgrzymów wydała na ŚDM trochę ponad 200 mln zł, nakłady finansowe w Portugalii robią wrażenie i u niektórych budzą niesmak. Tak też było w przypadku papieskiego ołtarza, na budowę którego planowano wydać z publicznych pieniędzy 4,2 mln euro. W odpowiedzi na falę protestów biskup pomocniczy Lizbony Américo Aguiar przyznał, że „to liczba, która boli, ponieważ żyjemy w czasach, w których wszyscy odczuwamy trudności". Inne zdanie miał jednak centroprawicowy burmistrz Lizbony Carlos Moedas, który ocenił, że ŚDM to świetna inwestycja: „Chcemy, aby ta wyjątkowa okazja spopularyzowała Lizbonę na świecie. To wyjątkowe wydarzenie, na które przybędzie półtora miliona odwiedzających. Zamierzamy pomnożyć tę inwestycję przez dziesięć lub dwadzieścia".

W cieniu protestów

Burmistrz Lizbony nie wziął pod uwagę, że pielgrzymów może być znacznie mniej i że ci, co przyjechali, to w większości bardzo młodzi ludzie, którzy często nie mają środków na to, aby odwiedzać turystyczne atrakcje, chodzić do restauracji i korzystać z możliwości nieujętych w pakiecie pielgrzyma. Pytanie więc, w jakim stopniu ŚDM rzeczywiście są dla Portugalii inwestycją i ile z publicznych pieniędzy wróci do kieszeni Portugalczyków.

Jednak nawet jeżeli państwo straci na Światowych Dniach Młodzieży, to część Portugalczyków wykorzystuje fakt, że oczy całego świata katolickiego są zwrócone na Lizbonę. Od listopada zeszłego roku protestują niemal wszystkie grupy zawodowe. W lutym w ramach manifestacji nauczycieli na ulice Lizbony wyszło ponad 150 tys. osób. Przyczyna: zbyt niskie płace w porównaniu do kosztów życia. Szacuje się, że protesty z lutego były największą społeczną demonstracją od czasów rewolucji czerwonych goździków w 1974 r., która doprowadziła do obalenia prawicowego reżimu Salazara.

W kwietniu Portugalczycy masowo protestowali przeciw stale rosnącym cenom wynajmu mieszkań. Na dzień, w którym ukazuje się ten numer „Tygodnika", zaplanowane jest spotkanie papieża z prezydentem Portugalii Marcelem Rebelo de Sousą, w czasie którego policja i służby porządkowe zaplanowały protest przed rezydencją głowy państwa, mając nadzieję na interwencję Franciszka. Duchowe przeżycia setek tysięcy ludzi z całego świata dla Portugalczyków stały się więc szansą na walkę o lepszą rzeczywistość tu i teraz. ©

W Wydziale I Cywilnym Sądu Rejonowego w Bielsku-Białej do sygn. akt I Ns 358/23 toczy się sprawa z wniosku wierzyciela – PKO BP SA w Warszawie o stwierdzenie nabycia spadku po Janie Macher, synu Karola i Heleny z domu Nicpon, urodzonym 17 lutego 1949 roku w Lubaniu, zmarłym 24 sierpnia 2019 roku w ostatnim miejscu zwykłego pobytu w Buczkowicach przy ulicy Wodnej. W związku z tym Sąd wzywa spadkobierców w/w, aby w ciągu 3 (trzech) miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Łomży Wydział I Cywilny toczy się postępowanie w sprawie sygn. akt I Ns 1051/22 z wniosku ALEX Sp. z o.o. z siedzibą w Kleosinie z udziałem Wojciecha Walczyka, Roberta Walczyka o stwierdzenie nabycia spadku po Kazimierzu Walczyku (s. Stanisława i Stanisławy), zmarłym dnia 02.03.2016 r. w Łomży.

Sąd wzywa, aby wszyscy spadkobiercy w ciągu 3 miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia w ogłoszeniu zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Wieliczce pod sygn. akt I Ns 249/23 toczy się postępowanie z wniosku Jadwigi Palonek o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie przez Marię Maciągowską prawa własności nieruchomości położonych w Brzeziu (gm. Kłaj), oznaczonych jako działki nr 1371 i 1441, dla których nie jest prowadzona księga wieczysta.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się w tutejszym Sądzie i udowodnili swe prawo własności, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, o ile zostanie udowodnionej.

W Sądzie Rejonowym w Kościerzynie pod sygn. akt I Ns 224/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Wandzie Skwierawskiej, zmarłej 7 stycznia 2008 r. w Kościerzynie, ostatnio stale zamieszkałej w Wielkim Klinczu.

Wzywa się wszystkich spadkobierców Anny Rogowskiej i Jadwigi Drążkowskiej, sióstr spadkodawczyni, aby w terminie 6 miesięcy od dnia publikacji ogłoszenia zgłosili i wykazali swoje prawa do spadku po Wandzie Skwierawskiej pod rygorem przeprowadzenia postępowania bez ich udziału.

W Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy w Warszawie I Wydział Cywilny pod sygnaturą akt I Ns 456/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Arlecie Sypniewskiej, zmarłej w dniu 21 sierpnia 2020 r. w Warszawie, ostatnio stale przebywającej w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzenie nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowy w Jarosławiu I Wydział Cywilny pod sygn. akt I Ns 455/22 toczy się postępowanie z wniosku Agnieszki Koziun z udziałem Doroty Kochman, Domiceli Kołodziej, Leszka Kozłowskiego, Waldemara Kozłowskiego, Barbary Waśniewskiej, Jolanty Mosiej i Pawła Kowalskiego o stwierdzenie nabycia spadku po Helenie Wierzbieniec, córce Antoniego i Katarzyny, zmarłej dnia 8 stycznia 2022 roku w Jarosławiu, ostatnio stale zamieszkałej w Jarosławiu.

Wzywa się wszystkie osoby zainteresowane, aby w ciągu 3 miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzenie nabycia spadku.

Sąd Rejonowy w Gnieźnie Wydział I Cywilny zawiadamia, że pod sygn. akt I Ns 70/22 toczy się sprawa z wniosku Skarbu Państwa – Naczelnika Urzędu Skarbowego w Gnieźnie o stwierdzenie nabycia spadku po Leszku Szała, urodzonym 3 czerwca 1972 r., synu Zenona i Krystyny zd. Marciniak, zmarłym 16 kwietnia 2021 r. w Gnieźnie, mającym ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Gnieźnie, brak informacji o majątku.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu, podali swoje miejsce zamieszkania i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzenie nabycia spadku po Leszku Szała.

Przed Sądem Rejonowym w Oławie w Wydziale I Cywilnym, pod sygnaturą akt INs 529/2 prowadzone jest postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Stanisławie Werle, mającym ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Oławie (55-200), przy ul. Pułaskiego 26. Skład spadku nie został ustalony.

Wzywa się wszystkich spadkobierców zmarłego, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Oławie i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzenie nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym dla miasta stołecznego Warszawy w Warszawie pod sygnaturą II Ns 1173/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Sewerynie Tadeuszu Nowak, synu Wojciecha i Kazimiery, urodzonym w dniu 10 stycznia 1935 r. w miejscowości Zamszany, zmarłym w dniu 28 czerwca 2022 r. w Warszawie, którego ostatnie miejsce zwykłego pobytu znajdowało się przy ul. Dalekiej 2 w Warszawie. W skład spadku wchodzi spółdzielcze własnościowe prawo do lokalu mieszkalnego nr 45 przy ul. Dalekiej 2 w Warszawie.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w ciągu trzech miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzenie nabycia spadku.

WOJCIECH

Bonowicz:
Trochę o Mrożku

Autorów ważnych rozpoznaje się po zakreśleniach, wynotowaniach, a ostatnio – po zdjęciach całych stron w telefonie. I tak jest z Mrożkiem. Co go wezmę do rąk, to coś zanotuję, zaznaczę, sfotografuję. Pisarz prawdziwy, nie ma co gadać. Przy tym nie tylko znakomity dramaturg, ale też błyskotliwy felietonista, panujący nad akapitem jak mało kto. Dobrze wypadający w wywiadach, intrygująco rozgadany w listach, nad miarę marudny jedynie w dziennikach.

Toteż nie dzienniki czytam na ogół, lecz opowiadania i felietonistykę. „Małe listy" przede wszystkim. Ale też różne rzeczy doraźne, gdzieś tam zagubione, dostępne dzięki starannej edycji spuścizny Mrożka przez Noir sur Blanc. W ten sposób odnalazłem np. wydrukowany w 1977 r. w „Dialogu" artykuł „Zaniedbana relacja", który przed laty zrobił na mnie duże wrażenie. Powołując się na swoje doświadczenia teatralne (asystowanie reżyserom, ćwiczenia w szkołach), pisze w nim Mrożek, że aktorzy, których obserwuje, mają ogromny problem ze zrozumieniem „sytuacji doraźnie granej na scenie, choć nieraz bardzo prostej. Nie wiedzą i nie są ciekawi, a nawet nie przychodzi im do głowy, dlaczego ktoś w danej chwili wykonuje taki, a nie inny gest (...), tym bardziej nie umieją odpowiedzieć gestem właściwym, a nie jakimkolwiek". Rozumieją „motywacje ogólne, analizowane przy stoliku", ale nie rozumieją sytuacji poszczególnych – choćby tego, „dlaczego dana postać ma zamiar podrapać się w głowę albo spojrzeć na lewo zamiast na prawo". Dlaczego tak jest? Czy winni są aktorzy, czy może reżyserzy? Jedni i drudzy, pisze Mrożek, są dziećmi swojej epoki, którą charakteryzuje to m.in., że „umiemy wszystko, ale nie umiemy spostrzec tego, co najbliżej, i obecności drugiego człowieka, bez której nie można się obejść, a z którą nie wiadomo, co począć".

Owszem, dziś ta uwaga nie wydaje się już tak oryginalna, ale przed laty – przeczytałem ten tekst pewnie gdzieś w połowie lat 80. – uderzyła mnie swoją trafnością. Kiedy w teatrze aktorzy nie współpracowali, myślało się, że to jakiś feler techniczny, brak zmysłu, niedostatek talentu, a może po prostu się nie lubią... Nie myślało się, że oto na scenie oglądamy własną bezradność, nieuważność, nieumiejętność odczytania drugiego. Dzięki Mrożkowi tak to właśnie zobaczyłem; dziś, kiedy oglądam spektakl i widzę w roli głównej aktora, który nie wie, co zrobić z rękami (czasem lepiej, by trzymał je wobec innych nieruchomo), albo kiedy słucham aktorek i aktorów mówiących obok siebie, nie rozmawiających, wiem, że problem leży głębiej. Koncentracja na sobie jest tak wielka, że drugi człowiek właściwie znika nam z oczu, mówimy do kogoś, kogo nie widzimy – i scena tylko to ujawnia. A przecież, jak pisze Mrożek, „jakkolwiek wysoko byśmy się wzbili w niebo abstrakcji, nic nie jest możliwe bez owego drugiego człowieka na ziemi. Nasze wnętrze bez niego by nie powstało i najbardziej osobiste fantazmy nie mogą się obejść bez jego obrazu".

Zanotował te słowa ktoś, kto przeszedł do legendy jako człowiek skupiony na sobie, artysta-autysta, któremu obecność innych raczej przeszkadzała. Kto cierpiał z powodu braku zainteresowania i jednocześnie z trudem znosił popularność. Krążą na ten temat dziesiątki anegdot, wśród nich ta opowiedziana kiedyś przez Andrzeja Mleczkę, który miał wieźć Mrożka samochodem przez pół Polski. „Czy nie będzie panu przeszkadzało – miał zapytać potencjalny pasażer – jeśli nie będę się odzywał przez całą drogę?".

Tych rzeczy jednak nie należy mylić. Człowiek zamknięty niekoniecznie jest człowiekiem nieuważnym czy niewspółpracującym. Przeciwnie – często intensywniej przeżywa „międzyludzkie", owe drobne, powszednie sytuacje poszczególne, które taki kłopot sprawiają nie tylko aktorom przecież. Dystans nie oznacza też, że nie czerpiemy z drugich. Czerpiemy z nich garściami – bo tylko ich mamy. „Nigdy nie spotkam monarchii bez króla, prezydentury bez prezydenta, ojczyzny bez rodaka", zauważa trzeźwo Mrożek. Kiedy idee, fantazmaty odrywają się od konkretnych ludzi, rzeczywistość robi się niebezpieczna. ©

TYGODNIK POWSZECHNY

Pobudka z Tygodnikiem

CODZIENNIE NAJLEPSZE TEKSTY

„Pobudka z Tygodnikiem" to nowy newsletter „Tygodnika Powszechnego". Codziennie rano, od poniedziałku do piątku, wysyłamy wiadomość o kilku najlepszych tekstach dnia oraz autorskie rekomendacje czytelnicze redaktorów „Tygodnika".

Zapisz się pod adresem **powszech.net/pobudka** i bądź na bieżąco z tym, co najlepsze na TygodnikPowszechny.pl

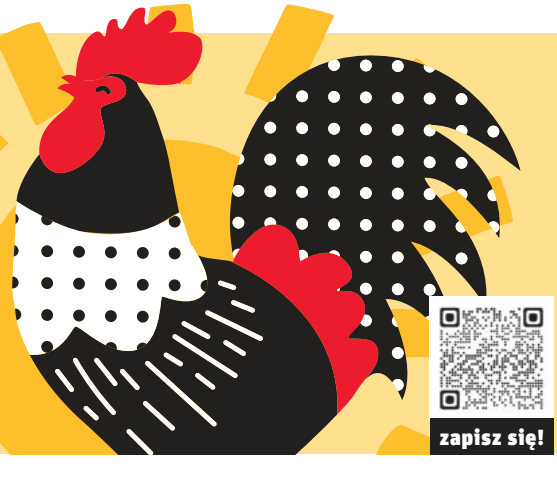

zapisz się!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

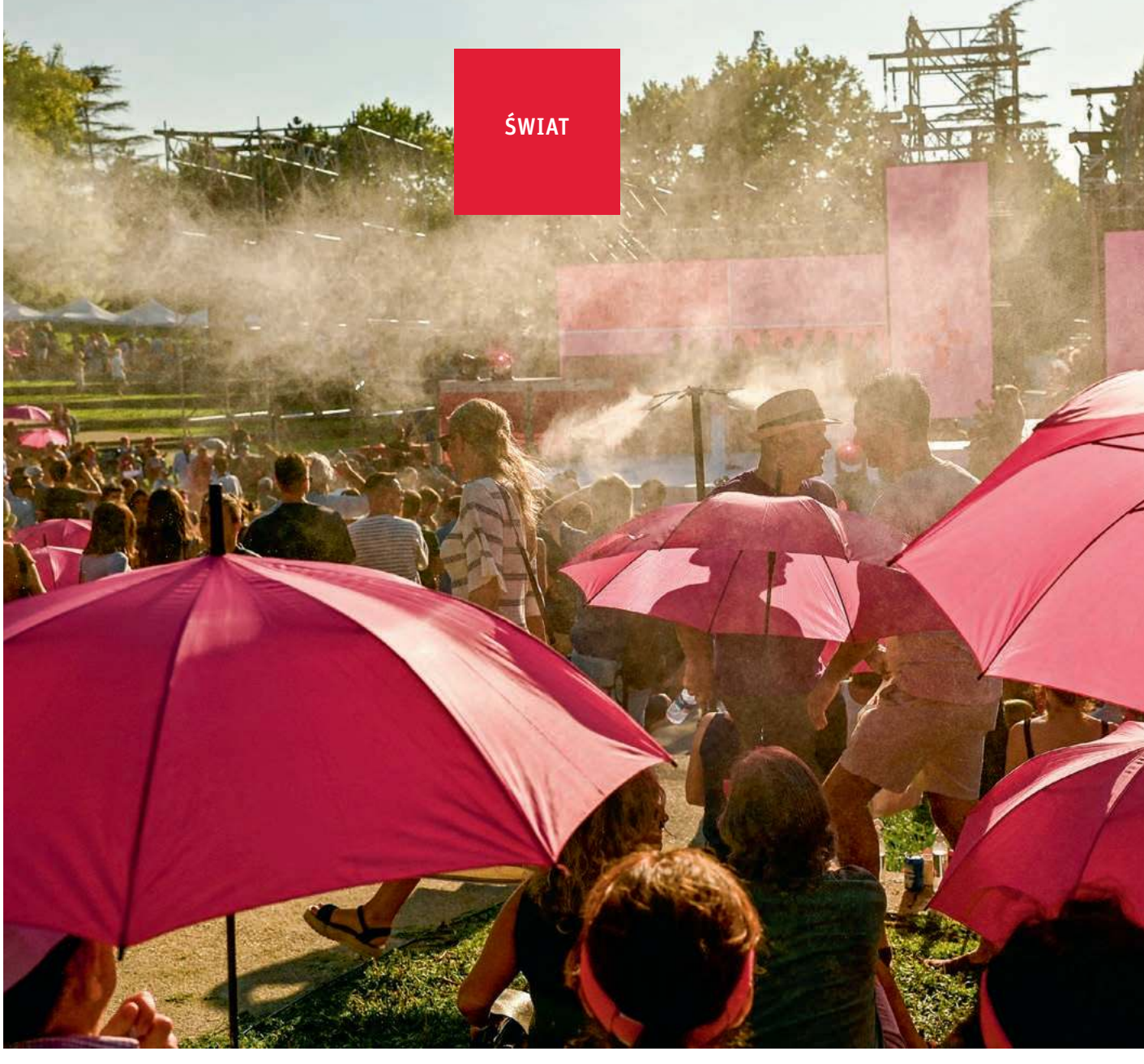

ZWYCIĘZCY BEZ ZWYCIĘSTWA

To gorące dni dla Hiszpanów, ale nie tylko z powodu ekstremalnych temperatur.
Nie wiadomo, kto będzie rządzić ich krajem.
Możliwe są trzy scenariusze.

AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z MALAGI I ALMERII (HISZPANIA)

OSCAR DEL POZO / AFP / EAST NEWS

Zraszacze i parasole podczas jednego z wieców kończących kampanię wyborczą. Madryt, 21 lipca 2023 r.

Żar leje się z nieba. Wskaźniki na termometrach w wielu miejscach kraju przekraczają 37 stopni Celsjusza, w niektórych, np. w Kordobie, nawet 41 stopni. To pierwsze wybory parlamentarne w Hiszpanii, które odbywają się w samym środku lata. Lokale wyborcze „*se arman de agua*" (uzbrajają się w wodę) – informuje od rana publiczna telewizja RTVE.

WIATRAKI I WACHLARZE | Jak podaje Departament Edukacji Katalonii, tylko 16 proc. szkół w regionie wyposażonych jest w klimatyzację. Podobnie sytuacja wygląda w całym kraju. Wiele dotychczasowych lokali wyborczych trzeba więc przenieść do chłodniejszych miejsc, jak biblioteki czy teatry. Na głosujących czekają też wiatraki, wentylatory i oczywiście wspomniana już woda. W niektórych miejscach także wachlarze. Na archipelagu Balearów władze przeznaczyły dwanaście karetek do przewozu osób starszych i z niepełnosprawnościami na głosowanie.

Wszystko po to, aby zachęcić do oddania głosu jak największą liczbę wyborców. Hiszpanie to ranne ptaszki, tak pisze w tę wyborczą niedzielę dziennik „El País", bo kolejki już od dziewiątej rano – godzina otwarcia – ustawiają się przed lokalami wyborczymi. Lepiej zagłosować, zanim zrobi się naprawdę gorąco.

OBAWY I NADZIEJE | 50-letnia Carol Lúnula García jest nauczycielką rysunku w szkole średniej w San Isidro (to miejscowość znana z ogromnej liczby plastikowych tuneli i pracujących tam imigrantów). Spotykam ją w lokalu wyborczym na osiedlu Los Molinos w mieście Almeria. – W naszej szkole wspólnie z Hiszpanami uczą się dzieci z Litwy, Polski czy Maroka. Jestem dumna z tej różnorodności. Gdyby władzę przejęła Vox, mogłoby się to zmienić. Oni są przeciwni migracji – mówi Carol.

Nauczycielka jest zwolenniczką ultralewicowej koalicji Sumar. Dla niej najgorszym scenariuszem byłaby prawicowa koalicja konserwatystów z Partii Ludowej (PP) i narodowo-populistycznej Vox. – Spójrzmy, co dzieje się w tych wspólnotach autonomicznych [odpowiednik województw – red.], gdzie po majowych wyborach lokalnych władzę przejęły PP i Vox. Likwidowane są lokalne rady ds. ochrony środowiska i równości. Nawet nie chcę myśleć, co jeszcze może się stać – dodaje.

Podobnie uważa para seniorów, Ana i José Luis. – Gdyby rządziły PP i Vox, pod względem praw kobiet wrócilibyśmy do lat 40. ubiegłego wieku – ocenia José Luis.

Innego zdania jest pochodzący z Wenezueli Franklin, który po uzyskaniu obywatelstwa mógł oddać głos w tych wyborach. – Poparłem Partię Ludową. Za Sáncheza [obecnego premiera, z Partii Socjalistycznej – red.] jakość życia znacznie spadła, podniesiono nam podatki, a ceny produktów spożywczych poszybowały – mówi mi Franklin.

SIEDMIORO WSPANIAŁYCH | Z ponad 37 mln uprawnionych prawie 2,5 mln oddało głos listownie do piątku poprzedzającego dzień wyborów. Następnie w niedzielę 23 lipca listonosze zawieźli ich głosy do lokali, do których przynależą ze względu na miejsce zamieszkania. Na tę rekordową liczbę wyborców korespondencyjnych, największą w historii, z pewnością wpłynął czas wakacji i urlopów.

Jak przy okazji wcześniejszych wyborów, rekord w szybkości głosowania postanowili pobić mieszkańcy malutkiego miasteczka Villarroya (we Wspólnocie Autonomicznej La Rioja). Z siedmiorga tam uprawnionych wszyscy zjawili się naraz i zagłosowali w 26 sekund, o trzy sekundy szybciej niż w majowych wyborach lokalnych.

Z kolei w Granadzie w komisji zjawiła się para nowożeńców, która prosto po weselnej zabawie i zjedzeniu churros, tradycyjnych racuchów podawanych z gorącą czekoladą, postanowiła zagłosować. „Wczoraj zdecydowaliśmy, że spędzimy razem całe życie, a dziś decydujemy, kto będzie rządził Hiszpanią" – mówili wrzucając głosy.

DROGA ABSENCJA | Za to w lokalu w Kadyksie zjawił się tylko jeden członek komisji, w dodatku ze zwolnieniem lekarskim. Pod znakiem zapytania stanęło tam całe głosowanie. Ostatecznie w komisji zdecydowała się zostać para, która chciała głosować jako pierwsza. W Hiszpanii wybór członków komisji odbywa się bowiem drogą losowania – to obowiązek wobec państwa (wynagradzany kwotą 70 euro), z którego nie można się łatwo wywinąć. Powodem nieobecności może być stan zdrowia, ciąża, opieka nad dzieckiem do 9 miesięcy, wiek powyżej 65 lat lub ważne obowiązki zawodowe (strażaka czy lekarza).

Ponieważ przedterminowe wybory wypadły w środku wakacji, centralna komisja wyborcza uznała, iż podstawą zwolnienia może być wyjazd urlopowy, ale pod warunkiem, że opłacono go przed datą ogłoszenia wyborów. Pozostałe wylosowane osoby musiały się stawić. Za absencję grozi więzienie (od 3 miesięcy do roku) lub grzywna (w wysokości pensji minimalnej).

↦

Stawką wyborów było 350 miejsc w Kongresie Deputowanych i 265 miejsc w Senacie, izbie wyższej (208 senatorów wybierają wyborcy, pozostałych nominują prowincje). W porównaniu z wyborami sprzed czterech lat na listach znalazło się znacznie więcej kobiet (łącznie do izby niższej startowało 1916 mężczyzn i 1819 kobiet). Frekwencja wyniosła nieco ponad 70 proc., o ponad 4 pkt. proc. więcej niż cztery lata wcześniej.

PRAWICA ZWYCIĘŻA, ALE... | „Zwycięstwo niewystarczające" – tak pisze w powyborczym edytorialu lewicowy dziennik „El País". Z kolei na pierwszej stronie prawicowo-liberalnego „El Mundo" czytamy: „Feijóo zwycięża, ale Puigdemont będzie mógł sprawić, że premierem pozostanie Sánchez". Autor tego dziennika konstatuje, że premier Pedro Sánchez to „kot o więcej niż siedmiu życiach". Wszystko za sprawą potencjalnej szansy Sáncheza na utrzymanie władzy – choć jego Partia Socjalistyczna zajęła drugie miejsce.

Przez całą kampanię w sondażach liczyły się tylko cztery ugrupowania: konserwatywna Partia Ludowa, którą kieruje wspomniany Alberto Núñez Feijóo, socjalistyczna PSOE Sáncheza, ultraprawicowa Vox i nowa ultralewicowa koalicja Sumar. Tymczasem do parlamentu wchodzi jeszcze siedem małych partii – i to poparcie ich liderów jest teraz kluczowe dla zbudowania większości bezwzględnej w izbie niższej. To 176 mandatów, tymczasem PP i Vox mają ich razem 169. Jednym z potencjalnych „kingmakerów" jest wspomniany Carles Puigdemont – zbiegły do Brukseli lider małej partii katalońskiej.

UDANA STRATEGIA PREMIERA | Trudno więc, aby Feijóo miał co świętować. Ten 61-letni prawnik i prezydent Wspólnoty Autonomicznej Galicji przywykł do rządów z większością absolutną – tak sprawował tam władzę przez cztery kadencje. Tymczasem wynik jego PP jest słabszy, niż sugerowały sondaże (33 proc. i 136 mandatów). W liczbach bezwzględnych to tylko ok. 300 tys. głosów więcej, niż dostała socjalistyczna PSOE – ta, choć druga, poprawiła wynik sprzed czterech lat i zdobyła o dwa mandaty więcej.

Wygląda na to, że strategia obecnego premiera-socjalisty, by przyspieszyć wybory parlamentarne (zgodnie z kalendarzem powinny odbyć się jesienią), okazała się skuteczna. Sánchez postawił na taką „ucieczkę do przodu" po tym, jak w majowych wyborach lokalnych jego PSOE utrzymała władzę tylko w trzech z dwudziestu największych miast Hiszpanii.

– W ten sposób Sánchez nie pozwolił na rozliczenia w partii i na rozpoczęcie debaty o jego potencjalnym następcy. Ten ruch zmobilizował także wyborców lewicy do zatrzymania rosnących wpływów PP i Vox – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem" publicysta José Ignacio Torreblanca. Z kolei dziennikarz polityczny Carlos Cué podkreśla, że lider PSOE „ma niezwykłą zdolność do szybkiego podnoszenia się po porażkach".

AGNIESZKA ZIELIŃSKA x5

CAROL *popiera ultralewicową koalicję Sumar.*

FRANKLIN *uważa, że jakość życia spada.*

JAVIER *chciałby, by w rządzie znalazła się ultraprawicowa partia Vox.*

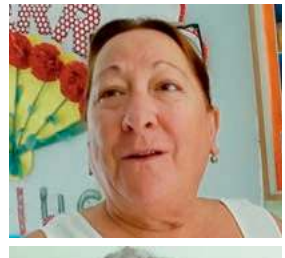

ANA **oraz** **JOSÉ LUIS** *boją się, że rząd PP-Vox ograniczy prawa kobiet.*

SŁABNĄCA VOX | Znacznie poniżej oczekiwań wypadła za to ultraprawicowa partia Vox, którą kieruje Santiago Abascal. Ten 47-letni samorządowiec z Kraju Basków należał wcześniej do Partii Ludowej; po odejściu z PP został w 2014 r. liderem Vox.

Ultraprawica uzyskała teraz 33 mandaty w izbie niższej, aż o 19 mniej w porównaniu z rokiem 2019. Wielu jej wcześniejszych wyborców poparło obecnie Partię Ludową. Najwięcej, bo aż pięć z sześciu mandatów partia Abascala straciła we Wspólnocie Kastylia-La Mancha, gdzie od roku rządzi w koalicji z PP. Partia Abascala nie jest dziś specjalnie popularna nawet w regionie, z którego pochodzi jej lider. „Vox tonie" – ocenia „El Mundo", choć to ocena raczej przesadzona – mimo wszystko Vox będzie w parlamencie trzecią siłą.

Vox powstała w 2013 r. jako owoc wewnętrznych podziałów w Partii Ludowej. Jej założyciele zarzucali ówczesnemu premierowi Mariano Rajoyowi bierność wobec dążeń niepodległościowych Katalonii i Kraju Basków. W 2019 r. Vox stała się pierwszym od czasu upadku dyktatury Franco skrajnie prawicowym ugrupowaniem, które wprowadziło swoich przedstawicieli do ogólnokrajowego parlamentu.

„GŁOS UŻYTECZNY" | W obecnej kampanii Vox obiecywała redukcję biurokracji, wspieranie małych firm i sprzeciwiała się, jak mówili jej politycy, seksualizacji szkół i aborcji, a także napływowi imigrantów.

To właśnie kwestie światopoglądowe zyskały najwięcej uwagi w mediach, dlatego lider Vox w noc wyborczą oskarżał media o „demonizowanie" jego partii. Twierdził też, że Feijóo „zdemobilizował elektorat Vox", gdy apelował o „głos użyteczny" dla ugrupowania, które ma większą szansę wygrać.

– Jestem za Vox, ale głosowałem na Partię Ludową – mówi mi 64-letni Javier, dyrektor firmy w Maladze. – Rząd Sáncheza był nie tylko lewicowy, on był ekstremalnie lewicowy. Trzeba wycofać serię nieudanych i szalonych ustaw, które wyszły z Ministerstwa Równości. Chciałbym, aby rządziła Vox, ale teraz najważniejsza jest po prostu wymiana premiera. Potrzebujemy ważnych zmian w polityce ekonomicznej – dodaje Javier.

NOWA TWARZ LEWICY | Dwa mandaty mniej niż Vox wywalczyła koalicja Sumar pod wodzą obecnej wicepremier i minister pracy, 52-letniej Yolandy Díaz (w liczbach to zaledwie 20 tys. głosów mniej, niż dostała Vox). Ultralewicowa Sumar to twór łączący kilkanaście mniejszych partii lewicowych, w tym Podemos, koalicjanta w obecnym rządzie.

Popularność Podemos znacznie spadła po tym, jak resort równości objęła Irene Montero, prywatnie partnerka Pabla Iglesiasa, założyciela Podemos. Montero wprowadziła szereg szeroko komentowanych ustaw dotyczących aborcji, osób transseksualnych i ustawę „solo sí es sí", zaostrzającą definicję gwałtu i teoretycznie wymierzoną w sprawców przestępstw seksualnych; jednak za sprawą błędów prawnych ustawa ta skróciła wyroki ponad tysiącu skazanych.

Liderka Sumar w kampanii starała się łagodzić przekaz i nie powielać radykalizmu Podemos. Z rezultatu wydaje się zadowolona. „Dokonaliśmy niemożliwego. Nadzieja zwyciężyła strach" – mówiła Díaz w noc wyborczą.

JĘZYCZKI U WAGI | Przez ostatnie 40 lat w kraju liczyły się tylko dwie partie: konserwatyści i socjaliści. – W tym czasie mapa polityczna kraju była opisywana jako przykład nieperfekcyjnego systemu dwupartyjnego. PP i PSOE mogły rządzić samodzielnie lub wspierając się małymi partiami nacjonalistycznymi: PNV z Kraju Basków oraz CIU z Katalonii. Teraz wszystko się zmienia. Spodziewam się wielu tygodni politycznych negocjacji – mówi „Tygodnikowi" prof. Mariola Urrea z Uniwersytetu w La Rioja.

– PP i PSOE są teraz zakładnikami ekstremistów – uważa José Ignacio Torreblanca. Mówiąc o ekstremistach, ma na myśli, jak precyzuje, Vox oraz partie niepodległościowe.

Jednak utworzenie większości rządowej będzie zależeć nie od Vox czy Sumar, lecz od siedmiu pozostałych małych partii, których liderzy nie byli nawet zapraszani na debaty przedwyborcze. Stąd, jak pisze „El Mundo", „kraj jest w rękach Bildu i Puigdemonta".

BASKOWIE I KATALOŃCZYCY | EH Bildu to koalicja partii z Kraju Basków, którzy dążą do niepodległości regionu; w Madrycie mają teraz sześć mandatów. Dotąd EH Bildu współpracowała z PSOE, ale ściągnęła na siebie mocną krytykę po tym, jak na listach umieściła 44 osoby powiązane z organizacją terrorystyczną ETA (dziś już nieistniejącą). Był wśród nich Agustín Muiños Dias, skazany na 29 lat za zabójstwo.

Kolejnych siedem mandatów wywalczyła separatystyczna partia Junts (Razem dla Katalonii) byłego premiera tego regionu Carlesa Puigdemonta. „Nie poprzemy Sáncheza, nie dostając nic w zamian" – mówiła w noc wyborczą Míriam Nogueras z Junts.

Według dziennika „ABC" chodzi o amnestię dla katalońskich polityków i zorganizowanie wiążącego referendum w sprawie niepodległości Katalonii.

Tymczasem Puigdemontem, który jest ścigany za zorganizowanie nielegalnego referendum w 2017 r., znów zaczyna interesować się prokuratura: akurat w powyborczy poniedziałek ponownie wystąpiła z wnioskiem o nakaz aresztowania dla polityka, który od ponad pięciu lat przebywa w Belgii.

SCENARIUSZE | Na stole leżą trzy opcje. Pierwszy scenariusz to koalicja PP-Vox plus głosy Koalicji Kanaryjskiej (CC) i Unii Ludowej Nawarry (UPN). To razem 171 mandatów, o pięć za mało. Mówi się, że Feijóo próbuje przeciągnąć kilku socjalistów.

Drugi scenariusz to utrzymanie przez Sáncheza stanowiska. Byłby to pierwszy przypadek w historii demokratycznej Hiszpanii, gdy krajem rządziłaby partia, która nie wygrała wyborów. Socjaliści i Sumar mają łącznie 153 miejsca. Przy poparciu mniejszych partii regionalnych i nacjonalistycznych (Bildu, PNV, BNG, CC i ERC) Sánchez mógłby liczyć na 173 mandaty. To o trzy za mało, kluczowe byłoby więc poparcie Junts.

Prawo stanowi, że jeśli w pierwszym głosowaniu nominatowi na premiera nie uda się zdobyć większości bezwzględnej, po 48 godzinach odbywa się nowe głosowanie, w którym wystarczy już większość zwyczajna (więcej głosów „za" niż „przeciw"). Tu wystarczyłoby, aby posłowie Junts wstrzymali się. Lider PP obawia się tego scenariusza.

Inna sprawa, że jeśli Sánchezowi się uda, nie będzie mu łatwo. Nie chodzi tylko o długą listę tych, od których będzie zależeć, ale także o Senat, gdzie Partia Ludowa ma dziś większość, a także o wspólnoty autonomiczne, w dużej mierze rządzone przez PP lub koalicje PP-Vox.

Trzeci scenariusz to rozpisanie kolejnych wyborów.

A wszystko to w cieniu hiszpańskiej prezydencji w Unii Europejskiej, która potrwa do końca roku.

© AGNIESZKA ZIELIŃSKA

TP JUŻ W NASTĘPNYM WYDANIU DODATEK

80. rocznica powstania w getcie białostockim

Historia białostockich Żydów jak w soczewce skupia wszystkie problemy społeczności żydowskiej w przedwojennej Polsce. W stolicy oczywiście mieszkało więcej Żydów, ale stanowili zdecydowani mniejszy odsetek mieszkańców. W Białymstoku pod koniec XIX wieku było to 79 proc. obywateli miasta – mówi prof. Joanna Sadowska.

Dodatek przygotowany we współpracy z Miastem Białystok.

Białystok

„TYGODNIK" Z DODATKIEM W KIOSKACH OD ŚRODY 9 SIERPNIA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Dodawanie Yolandy

PAULINA MAŚLONA Z BARCELONY

Hiszpańska lewica – ta na lewo od socjalistów, rozproszona i ostatnio poobijana – formuje się na nowo. Kim jest jej nowa liderka Yolanda Díaz?

Ruido", czyli po hiszpańsku: „hałas". W lipcu, w środku kampanii wyborczej, aż dzwoniło od niego w uszach. Konfrontacja liderów największych formacji, prawicowej Partii Ludowej (PP) i Partii Socjalistycznej (PSOE), nie cichła ani na moment.

Niektóre ciosy były bardziej, inne mniej standardowe – jeśli Alberto Núñez Feijóo, lider PP, nie zarzucał akurat premierowi Pedrowi Sánchezowi fałszowania głosów oddanych korespondencyjnie (na co nie ma dowodów), to Sánchez domagał się, by Feijóo wyjaśnił swoją – zażyłą, jak się może wydawać – relację sprzed lat ze znanym handlarzem narkotyków Marcialem Dorado (na dowód, na nieszczęście dla lidera prawicy, jest zdjęcie).

„*Ruido, ruido, ruido*" – powtarzała Yolanda Díaz, kierująca resortem pracy w rządzie Sáncheza, gdy dziennikarze pytali ją o debatę telewizyjną obu liderów. Przekonywała, że projekt, z którym idzie do wyborów, to alternatywa wobec hałasu, który nic nie wnosi. Alternatywa nazywa się Sumar i ma być, jak przekonuje Díaz, nową nadzieją Hiszpanii.

„Nauczyli mnie w domu"

Na ekranie pojawiają się stare zdjęcia: mężczyzna pochyla się nad stosem płyt winylowych, dziewczyna siedzi z koleżankami na trawie. Na kolejnym pozują już razem: objęci, zakochani. Cięcie: transparenty. Ekran wypełniają tłumy protestujące przeciw dyktaturze Francisca Franco. Wśród nich oni: chłopak i dziewczyna, zaznaczeni flamastrem.

W tle głos Yolandy Díaz: „Przyszło im żyć w trudnych czasach, jak wielu osobom w naszym kraju. Oboje będą walczyć i cierpieć za wolność".

W spocie wyborczym Díaz przytacza historię miłości swoich rodziców, podkreślając w ten sposób swoje korzenie. Urodziła się w Galicji, w rodzinie z klasy robotniczej, w roku 1971 – cztery lata przed śmiercią dyktatora, który rządził Hiszpanią przez prawie 40 lat.

Jej ojciec to Suso Díaz, znany działacz związkowy z lat 70. XX w. Yolanda Díaz lubi wtrącić w wywiadach zdania po galicyjsku, przypomnieć, skąd pochodzi.

„Nauczyli mnie tego w domu" – powtarza, kiedy zdarzy jej się wymienić swoje mocne strony: wrażliwość na drugiego człowieka, zdolność do pochylenia się nad słabszym, robienie polityki dla dobra państwa, a nie kariery. Gdy opowiada o klasie pracującej, często mówi „my", a nie „oni".

Z Galicji do Madrytu

Díaz, z wykształcenia prawniczka, przez lata działa w rodzinnych stronach. Jest liderką galicyjskiego oddziału Zjednoczonej Lewicy (Izquierda Unida) – koalicji różnych ugrupowań lewicowych, powstałej w 1986 r. podczas protestów przeciw wejściu Hiszpanii do NATO. Siłą dominującą jest w niej Partia Komunistyczna (w latach 1939-77 zdelegalizowana). W skali kraju koalicja ta uzyskuje zwykle tylko kilka procent poparcia.

W 2012 r. Díaz zostaje posłanką do regionalnego parlamentu Galicji. Do Kongresu Deputowanych – parlamentu centralnego w Madrycie – dostaje się w 2015 r. z listy Podemos, nowej formacji lewicowej, która narodziła się podczas kryzysu finansowo-gospodarczego w strefie euro, na fali protestów przeciw cięciom budżetowym.

W kolejnych wyborach – to czas burzliwy, głosowań jest sporo (w 2016 r. i dwa razy w 2019 r.) – Díaz uzyskuje mandat jako szeregowa posłanka. Niewielu Hiszpanów kojarzy jeszcze jej nazwisko. To się niedługo zmieni – w styczniu 2020 r. obejmuje Ministerstwo Pracy w koalicyjnym rządzie Partii Socjalistycznej i Podemos.

W czasach wirusa

Chwilę później wybucha pandemia i odtąd Yolanda Díaz często pojawia się na ekranach telewizorów. Już kilka dni po zaprzysiężeniu pracuje nad ustawą o podwyższeniu płacy minimalnej. Zyskuje popularność. „Díaz stała się wielkim politycznym objawieniem w czasach koronawirusa: jest rozsądna, przenikliwa, inteligentna i zdecydowana, gdy trzeba" – pisze w lipcu 2020 r. lewicowy dziennik „Público".

Specjalizująca się już wcześniej w prawie pracy, jest przygotowana. Przekonuje się o tym regularnie García Egea, polityk Partii Ludowej. Díaz odpiera jego krytykę zwykle w ten sam sposób: „Panie Egea, mam tu dla pana dane". Cytuje liczby, które mają dowodzić antyspołecznej polityki rywali: „Wie pan, ile razy podnieśliście podatki w czasie swojej ostatniej kadencji? Trzydzieści". Starcia obojga stają się czymś na kształt tradycji.

Przeprowadza kilkanaście ustaw. Prócz podwyższenia płacy minimalnej i stania na straży pandemicznych świadczeń, jej resort reguluje pracę *riders*, dostawców pracujących dla internetowych platform, jak Glovo czy Just Eat. Nowe prawo zobowiązuje platformy do zatrudniania dostawców, dotąd zmuszanych do zakładania własnej działalności.

Od 2021 r. jest jednym z najwyżej ocenianych członków rządu. Na dole rankingu plasują się jej dwie koleżanki z listy Podemos. Nikogo nie dziwi, gdy odchodzący z działalności politycznej wicepremier Pablo Iglesias (założyciel Podemos) wyznacza ją na następczynię w rządzie i na liderkę.

Teatry i parlamenty

Cofnijmy się o kilka lat. Jest styczeń 2014 r. Teatr w Lavapiés, wielokulturowej dzielnicy Madrytu, wypełnia się ludźmi. Zaraz zacznie się prezentacja nowej partii – Podemos. Ktoś zauważa, że malutki teatr to niespotykany wybór na wiec polityczny. „Skoro nasz parlament zamienił się w teatr, może teatry powinny stać się parlamentami?" – rzuca jeden z zebranych.

Podemos rodzi się z buntu. Kryzys, który zaczął się w 2008 r., zadaje Hiszpanii wyjątkowo dotkliwy cios. Wielu obywateli czuje się ofiarą nieodpowiedzialnych decyzji polityków i chciwości banków. „To nie kryzys, to oszustwo" – głosi

OSCAR DEL POZO / AFP / EAST NEWS

Yolanda Díaz podczas wiecu kończącego jej kampanię wyborczą. Madryt, 21 lipca 2023 r.

transparent niesiony na demonstracji 15 maja 2011 r. Tego dnia protesty odbywają się naraz w pięćdziesięciu miastach Hiszpanii. Tak rodzi się Ruch Oburzonych (zwany też Ruchem 15M).

– W wielu krajach tamten kryzys przyniósł hasła skrajnie prawicowe, ale nie w Hiszpanii – mówi politolożka Paola Cannata w rozmowie z „Tygodnikiem". – Tu wydarzyło się coś na kształt rewolucji demokratycznej. Ludzie wyszli na ulice, by zmusić polityków do zwrócenia uwagi na ich potrzeby, protestować przeciw wyrzucaniu zadłużonych na bruk.

Rozbity duopol

Przy ogromnym bezrobociu, które wśród ludzi młodych sięga wtedy w Hiszpanii aż 50 proc., Ruch Oburzonych chce świata, w którym bezpieczeństwo zatrudnienia nie będzie pustym hasłem. Domaga się też zagwarantowania obywatelom prawa do mieszkania. A także większej kontroli państwa nad bankami.

Trzy lata później z oddolnego ruchu wyłania się nowa partia. – Podemos to nie 15M, ale udało im się przekuć najważniejsze hasła ruchu w program polityczny – mówi Cannata.

Nowa partia zrzesza ludzi z różnych środowisk lewicowych (lewicowy krajobraz polityczny był w Hiszpanii zawsze różnorodny), a także wielu takich, którzy wcześniej nie byli związani z polityką. Cztery miesiące od powstania dostaje prawie 8 proc. głosów w wyborach do Parlamentu Europejskiego.

Wśród kilku europosłów Podemos jest dwoje nauczycieli, kelnerka, a także Pablo Iglesias – wykładowca akademicki i lider partii. „To dopiero początek" – obiecuje.

I rzeczywiście: już w 2015 r. wybory do parlamentu centralnego przynoszą Podemos 20-procentowe poparcie. Podemos sprawia, że rozsypuje się dwupartyjne *status quo*, w którym władza w Madrycie przez kilka dekad sprawowana była wymiennie przez socjalistów i konserwatystów. Marzenie 15M o poruszeniu skostniałego systemu z dnia na dzień staje się rzeczywistością.

Koniec rewolucji

„Bardzo lubię Pabla i myślę, że zrobił dla tego kraju coś, co wydawało się wcześniej niemożliwe" – Díaz krzywi się na pytanie o byłego lidera Podemos. W ostatniej kampanii musi odpowiadać na nie regularnie.

Latem 2023 r. w polityce nie ma już Iglesiasia. Najpierw w 2021 r. oddał Díaz tekę wicepremiera, a później poniósł, jako lider listy, klęskę w lokalnych wyborach w Madrycie. Po ogłoszeniu wyników oświadczył, że odchodzi.

Potem jest tylko gorzej: w maju 2023 r. Podemos przegrywa w wyborach samorządowych i znika z parlamentów w większości regionów Hiszpanii. „Ostatnie chwile na skraju wyginięcia" – piszą media. Kończy się Podemos, kończy się rewolucja.

– Tak naprawdę już utworzenie rządu z socjalistami w 2019 r. to była dla Podemos ostatnia szansa, by przedłużyć swoje istnienie – twierdzi Paola Cannata. – Podemos weszło do polityki, by zmienić oblicze lewicy, ale wewnętrzne walki o władzę mocno to utrudniły.

Cannata uważa, że partia traciła rozpęd: zaangażowanie aktywistów słabło, regiony odsuwały się od tego, co działo się w centrum. – Ale jest coś jeszcze – dodaje. – Sposób, w jaki Podemos robi politykę, a który odrzuca ludzi. W rządzie z PSOE wprowadzili szereg świetnych moim ↦

↦ zdaniem reform, które bez nich nigdy by nie zaistniały. Ale to znika pod potrzebą ciągłej konfrontacji.

Styl Podemos nie zawsze sprawdza się w czasach pokoju. Gdy powstawał Ruch Oburzonych, powszechne było oczekiwanie rozliczeń ze społeczną niesprawiedliwością. A Podemos jak nikt inny potrafiło wchodzić na barykady. Jednak w 2023 r. świat jest już nieco inny.

– Podemos mnie nie przekonuje, bo nie interesuje mnie już tylko walka z systemem – mówi mi 28-letnia Laura, która deklaruje, że zawsze głosowała na lewicę. – Nie potrzebuję przemów protestacyjnych, tylko zmian.

Projekt Sumar

Podemos zdaje sobie sprawę, że ich marce upływa termin ważności. Fakt, że Iglesias przekazał Díaz misję dalszego prowadzenia lewicy – tej sytuującej się na lewo od Partii Socjalistów – był przemyślany. Natomiast Díaz, odkąd zostaje wicepremierką, świetnie rozumie się z Pedrem Sánchezem. W kampanii oboje przekonują, że – jeśli tylko Hiszpanie pozwolą – zrobią razem jeszcze więcej.

Do wyborców Díaz zwraca się w uśmiechnięta, mówi delikatnym głosem. Jej krytycy uważają, że to infantylne. Ale inni oddychają z ulgą: „W końcu lewica sympatyczna, a nie wiecznie obrażona".

W innym niż Podemos stylu, Díaz podtrzymuje mocno lewicowy program. – Głosuję na Yolandę, bo dotrzymała obietnicy i ruszyło wynagrodzenie minimalne. Poza tym potrzebujemy więcej kobiet w polityce, szczególnie na górze listy – mówi David z Cubelles w Katalonii, który wcześniej głosował na PSOE.

Choć nad swoim projektem Sumar (po hiszpańsku znaczy to: dodawać, przyłączać się), który ma połączyć „to, co na lewo od PSOE" – czyli rozłamaną i skonfliktowaną lewicę – Díaz pracuje od niemal dwóch lat, można zaryzykować twierdzenie, że nowy twór (bo jeszcze nie partia) jest dla wielu wciąż enigmą. To, co kojarzy i rozumie się od razu, to twarz Yolandy Díaz.

Nowe idee i strach przed Vox

A Yolanda Díaz to obrona pracowników w trakcie pandemii i reforma prawa pracy (ograniczenie plagi umów tymczasowych po roku zaowocowało wzrostem liczby zatrudnionych na stałe o 515 tys. osób). Na Yolandę, przynajmniej tymczasowo, robi się na lewicy nawet moda. Kilka dni przed premierą filmu „Barbie" ktoś wkleja w plakat filmu zdjęcia Díaz i Sáncheza. Napis na plakacie: „Ona jest ikoną. On to tylko Ken".

> Przez kilka dekad rząd w Madrycie tworzyli wymiennie socjaliści i konserwatyści. Kryzys gospodarczy zaowocował powstaniem **nowych partii i wstrząsnął tym duopolem.**

„W Hiszpanii pracujemy długo i źle" – mówi Díaz w lipcu w radiu SER. Jednym z punktów programu Sumar jest czterodniowy tydzień pracy. Díaz chce też likwidować nierówności w edukacji młodych, również poprzez przyznanie po 20 tys. euro każdemu osiemnastolatkowi, niezależnie od sytuacji finansowej: na rozpoczęcie dorosłego życia, zainwestowanie w studia lub pracę.

Nawet jeśli pomysły Sumar nie przekonują lewicowych wyborców, jest jeszcze jeden powód, by głosować na Díaz – strach. Sondaże wskazują, że wygrana konserwatystów i utworzenie rządu w koalicji z Vox – formacją położoną najbardziej na prawo na hiszpańskiej scenie politycznej; jednym z jej pomysłów jest likwidacja Ministerstwa Równości – może stać się niedługo nową rzeczywistością.

– Chciałam oddać pusty głos – mówi Laura. – Ale co nas czeka, jeśli wygra prawica? Mam transpłciowych przyjaciół, znajomych migrantów, nie możemy sobie pozwolić na to, by społecznie zrobić trzy kroki do tyłu.

„Bez Yolandy by was nie było"

W niedzielny wieczór 23 lipca Laura oddycha z ulgą. Nie wiadomo jeszcze, co będzie z rządem, ale jasne jest, że Partia Ludowa i Vox mają razem za mało głosów, by go utworzyć.

Z ulgą oddycha pewnie Yolanda Díaz: w swoich pierwszych wyborach Sumar otrzymuje nieco ponad 12 proc., tylko odrobinę mniej od Podemos w 2019 r. – Z drugiej strony wynik Sumar, uważany za sukces, to wciąż tylko najgorszy wynik Podemos – przypomina Paola Cannata.

Podkreśla to także Ione Belarra, aktualna liderka Podemos (partia startowała jako jedno z ugrupowań tworzących Sumar). Belarra zarzuca Díaz, że gdyby ta w kampanii nie umniejszała roli Podemos, rezultat byłby lepszy. W odpowiedzi Díaz przypomina Belarrze katastrofalny wynik jej partii w majowych wyborach regionalnych. Komentatorzy w sieci dopowiadają: „Bez Yolandy już by was tu nie było".

Ta wymiana to kulminacja napięcia między Díaz a Podemos, które narastało przez ostatni rok. Jeden z trudniejszych momentów nastąpił, gdy Díaz przyjęła Podemos na listy Sumar, ale pod warunkiem, że nie znajdzie się na nich Irene Montero, szefowa Ministerstwa Równości (prywatnie partnerka Iglesiasa).

To decyzja dyktowana polityczną kalkulacją: Montero od dłuższego czasu nie była popularna wśród wyborców. Sprawę pogorszyła jeszcze przygotowana przez nią ustawa, która zaostrzyła definicję gwałtu, ale której nieścisłości przyczyniły się też do obniżenia kar przestępcom seksualnym.

To również decyzja niespodziewana: Díaz od lat zna się i przyjaźni z Iglesiasem oraz Montero; była także jedną z niewielu osób, które nawet w obliczu największej krytyki stały za Montero murem.

■■■

– Choć Díaz jest świetną polityczką, czasem zastanawiam się, czy będzie dobrą liderką – mówi Paola Cannata. – Mam wrażenie, że boi się podejmować trudne decyzje, jak w przypadku Podemos. Skoro już zdecydowała się ich uratować, powinna uratować wszystkich, bez wyjątku, i postawić sprawę jasno: robimy politykę po mojemu, musicie się dostosować.

23 lipca koalicja Sumar osiągnęła cel, dla którego powstała: obroniła miejsce nowej lewicy u boku PSOE. Co dalej? Díaz wierzy, że jej projekt przetrwa próbę czasu.

Jedno z haseł kampanii Yolandy Díaz brzmiało: „Wszystko się zaczyna". Na to Paola Cannata się jednak irytuje: – Wszystko zaczęło się w 2011 r., wraz z Ruchem Oburzonych. Warto o tym pamiętać.

© PAULINA MAŚLONA

YAN DOBRONOSOV / GLOBAL IMAGES UKRAINE / GETTY IMAGES

Wnętrze zniszczonej katedry Przemienienia Pańskiego w Odessie, 23 lipca 2023 r.

Zatopione, spalone, zrabowane

PIOTR KOSIEWSKI

W wyniku rosyjskiej agresji na Ukrainę niszczone są kolejne tamtejsze dobra kultury. Ostatnie wydarzenia pokazują, jak poważny to problem.

PODCZAS ROSYJSKIEGO ATAKU RAKIETOWEGO na centrum Odessy zniszczonych lub uszkodzonych zostało kilkanaście zabytków z wieków XVIII-XX, w tym katedralny sobór Przemienienia Pańskiego, najważniejsza prawosławna świątynia miasta. Wcześniej, na początku lipca, w ostrzale Lwowa uszkodzono tzw. Domy Miejskie. Wzniesiony w latach 1926-30 według projektu Michała Ryby, ten zespół budynków jest cennym przykładem wczesnego funkcjonalizmu.

Z kolei woda z wysadzonej na początku czerwca zapory Zbiornika Kachowskiego zniszczyła m.in. znajdujący się w Oleszkach koło Chersonia dom-muzeum Poliny Rajko. Budynek ten, pokryty malowidłami tworzonymi przez artystkę samouka, uznawano za jeden z najciekawszych przykładów ukraińskiej sztuki naiwnej.

Wszystkie te wydarzenia przypominają, że ofiarą agresji padają nie tylko ludzie, ale też ich kultura.

GDY NISZCZONE SĄ szkoły, szpitale i domy mieszkalne, gdy giną cywile, los nawet najcenniejszych zabytków schodzi na plan dalszy. Jednak ich destrukcja też jest skutkiem wojny wywołanej przez Rosję. Na liście obiektów zniszczonych lub uszkodzonych po 24 lutego 2022 r., stale weryfikowanej przez UNESCO, jest 270 pozycji (stan na 20 lipca), w tym 116 miejsc kultu religijnego, 27 muzeów i 95 budynków o znaczeniu historycznym lub artystycznym. Liczby podawane przez władze ukraińskie są jeszcze większe.

Atak na centrum Odessy ma jednak szczególne znaczenie. Po raz pierwszy zniszczono obiekty znajdujące się na liście światowego dziedzictwa. Symboliczne jest też, że ofiarą ataku padł katedralny sobór: wzniesiony w końcu XVIII w., po kolejnych rozbudowach stał się on jedną z największych świątyń w Imperium Rosyjskim. Zburzony przez władze sowieckie w 1936 r., został starannie odbudowany dopiero w latach 1997-2005. Obecnie – paradoksalnie – jest katedrą eparchii odeskiej Cerkwi Prawosławnej Patriarchatu Moskiewskiego.

„To skandaliczne zniszczenie oznacza eskalację przemocy wobec dziedzictwa kulturowego Ukrainy. Zdecydowanie potępiam ten atak na kulturę i wzywam Federację Rosyjską do podjęcia znaczących kroków w celu wypełnienia jej zobowiązań wynikających z prawa międzynarodowego" – mówiła Audrey Azoulay, dyrektor generalna UNESCO. Zapowiedziała wysłanie misji, która oszacuje straty.

ZGODNIE Z KONWENCJĄ haską z 1954 r. o ochronie dóbr kulturalnych w razie konfliktu zbrojnego ataki takie są uznawane za zbrodnię wojenną. Konwencja zakazuje „wszelkich aktów kradzieży, rabunku lub bezprawnego przywłaszczenia dóbr kulturalnych, jakąkolwiek przybrałyby one formę, jak również wszelkich aktów wandalizmu wymierzonych przeciw nim". Nakazuje też powstrzymanie się „od stosowania rekwizycji wobec dóbr kulturalnych ruchomych". Rosja podpisała tę konwencję, podobnie jak konwencję z 1972 r. o ochronie światowego dziedzictwa.

Dlatego ważne jest dokumentowanie wszystkich strat. Tym bardziej że od początku pełnoskalowej wojny mamy do czynienia nie tylko z niszczeniem, ale też z planowym rabunkiem dóbr kultury. Łupem Rosji padły m.in. scytyjskie złote przedmioty z IV w. p.n.e. z Muzeum Historii Regionalnej Melitopola, obrazy z Muzeum Sztuki im. Archipa Kuindżego w Mariupolu i zbiory Regionalnego Muzeum Sztuki w Chersoniu. Wszystkie te przypadki świadczą, że po 24 lutego 2022 r. ukraińskie dobra kultury stały się jednym z celów agresji. Nieprzypadkowo: wymazanie historycznej pamięci jest jednym ze sposobów na podbicie narodu. Również za te działania Rosja powinna ponieść odpowiedzialność.

UKRAINA zdaje sobie sprawę, jakie znaczenie dla przetrwania ma jej dziedzictwo kulturowe – nieraz już w przeszłości niszczone. Dla jego ocalenia robi się wiele: zabezpiecza się zabytki, kolekcje muzealne i biblioteczne oraz archiwa. Częścią planu odbudowy po wojnie musi być restauracja, a być może rekonstrukcja zniszczonych obiektów. Dlatego mer Lwowa Andrij Sadowy po lipcowym ataku od razu oznajmił, że historyczny budynek zostanie odbudowany. Ma on bowiem znaczenie dla tożsamości miasta i jego mieszkańców. ©

DENIS THAUST / SOPA / GETTY IMAGES

Podczas protestów, które na przełomie czerwca i lipca ogarnęły całą Francję, zniszczono ponad 270 komisariatów, ponad 100 merostw, prawie 170 szkół i kilkanaście tysięcy aut. Na zdjęciu: Marsylia, 29 czerwca 2023 r.

Kto trzęsie dzielnicą

SZYMON ŁUCYK Z BEAUVAIS (FRANCJA)

Minął miesiąc od gwałtownych walk z policją, a francuskie przedmieścia wciąż noszą ślady zniszczeń. Spokój wrócił. Ale na jak długo?

Na blokowisku zbliża się upalny letni wieczór. W parku, otoczonym „mrówkowcami", jest rojno i gwarno. Dzieci o różnych kolorach skóry biegają, jeżdżą na rowerach, grają w piłkę, wspinają się na „pajęczynę" na placu zabaw. Animatorzy z lokalnego stowarzyszenia proponują strzelanie z łuku i inne gry ruchowe.

Tuż obok, przy zastawionym jedzeniem stole, piknikuje wesoło kilkanaście kobiet, większość w muzułmańskich chustach. Witają radośnie sąsiadki ubrane całkiem po świecku, w dżinsy czy szerokie spodnie. W pobliżu ojcowie doglądają swoich pociech.

Można by rzec: idylla, niewiele mająca wspólnego z wizerunkiem imigranckich dzielnic we Francji, do których boi się zaglądać policja. Gdyby nie hidżaby i mieszanka kultur, można by pomyśleć, że to park gdzieś w Warszawie.

To jednak dzielnica Argentine w mieście Beauvais, 70 km na północ od Paryża. Bloki z wielkiej płyty, otaczające park imienia Josephine Baker (XX-wiecznej francuskiej tancerki pochodzenia afroamerykańskiego), zamieszkują w dużej mierze potomkowie imigrantów z krajów Maghrebu i Afryki Subsaharyjskiej.

Przywykli do przemocy

Sielanka kończy się sto-dwieście metrów dalej, przy centrum handlowym Les Champs Dolent. Jednopiętrowy pawilon wygląda jak po trzęsieniu ziemi. Zmiażdżony bankomat (jedyny w dzielnicy), poczta z tabliczką „Nieczynne do odwołania", zabita deskami witryna piekarni, zniszczone laboratorium medyczne i filia urzędu miasta. Przy sąsiedniej alei Jeana Moulina, bohatera ruchu oporu z czasu niemieckiej okupacji, straszą wiaty dwóch przystanków, w których wybito wszystkie szyby.

To ślady po starciach miejscowej młodzieży z policją. – Przez wybite szyby straciłem 10 tys. euro, od ubezpieczyciela nie odzyskam nawet jednej dziesiątej – żali się miejscowy handlowiec (prosi o anonimowość). – Prawo jest zbyt łagodne, na wszystko się pozwala. Brakuje silnej ręki, żeby był porządek... – ucina, jakby uznał, że i tak dużo powiedział.

W rozmowach z innymi mieszkańcami najpierw słychać niczym refren, że ci młodzi „niszczą swoją dzielnicę, sklepy i urzędy, z których korzystają ich rodzice". Zaraz potem rozmówca dodaje: „Rozumiem tę wściekłość".

Danielle – mieszkanka Argentine od 13 lat, z zawodu domowa opiekunka osób obłożnie chorych, a z zamiłowania poetka – zna osiedle jak własną kieszeń. Mówi, że przywykła do codziennej przemocy: co jakiś czas w nocy bandy młodzieżowych dilerów ścierają się z policją, płoną samochody. Jeśli nocą słychać hałasy, Danielle spogląda przez okno, aby, jak mówi, „w razie czego" przeparkować auto do bezpieczniejszej części dzielnicy.

– Oni niszczą wszystko wokół siebie, bo nikt, ani rodzice, ani szkoła, nie nauczył ich, że można wyrazić gniew słowami – twierdzi Danielle. – Sama mam białą skórę, ale rozumiem wściekłość tych nastolatków. Czują się często odrzu-

ceni z racji niefrancuskiego pochodzenia, choć tu się urodzili. Każdy z nich mógł znaleźć się na miejscu Nahela.

Krajobraz po bitwie

Beauvais było jedną z ponad 550 miejscowości, w których doszło do rozruchów po tym, jak 27 czerwca w Nanterre pod Paryżem zginął 17-letni Nahel M. Młody kierowca bez prawa jazdy został zastrzelony przez policjanta drogówki po tym, jak odmówił poddania się kontroli i próbował odjechać.

Przez kolejny tydzień młodzieżowe grupy atakowały policjantów i niszczyły wszystko, co było na drodze. Często uzbrojone w miotacze tzw. bomb pirotechnicznych, które od kilku lat przemieniły się tu w groźną broń przeciwko policji. Taka „bomba", nakierowana poziomo zamiast w górę, może poparzyć lub ciężko zranić.

Bilans tego tygodnia robi wrażenie: według francuskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych to ponad 2,5 tys. zdewastowanych lub podpalonych budynków (w tym ponad 270 komisariatów, ponad 100 merostw, prawie 170 szkół i tysiąc sklepów), kilkanaście tysięcy spalonych aut, kilkuset rannych policjantów.

Większość zatrzymanych sądzono w trybie ekspresowym. Minister sprawiedliwości Éric Dupond-Moretti podał, że w ciągu dwóch tygodni po zamieszkach wyroki usłyszało ponad tysiąc osób, w tym ponad 700 skazano na bezwarunkowe więzienie (średnio po 8 miesięcy). Jedną trzecią aresztowanych stanowili nieletni, wobec których, jak pisze dziennik „Le Monde", sędziowie orzekają na ogół lżejsze kary, np. prace społeczne czy nadzór. Ale w wyjątkowych przypadkach osoby powyżej 16. roku życia mogą być sądzone jak dorośli.

Według MSW aż 90 proc. sprawców miało narodowość francuską, w tym liczni potomkowie imigrantów urodzeni we Francji.

Ubezpieczyciele szacują wstępnie straty materialne na 650 mln euro.

Zamieszki po śmierci Nahela M. były największym konfliktem na francuskich przedmieściach od 2005 r. Wprawdzie trwały dwa tygodnie krócej niż te sprzed 18 lat, ale skutkowały większymi zniszczeniami.

W trzy tygodnie po zamieszkach prezydent Macron podziękował policji za ofiarną służbę, mówiąc, że Francji trzeba „porządku, porządku i jeszcze raz porządku". Wezwał też rodziców do większej odpowiedzialności: „Potrzebujemy powrotu autorytetów na każdym szczeblu, a przede wszystkim w rodzinie".

Nienawiść do policji...

Emocje, wywołane przez śmierć Nahela M. i przez zamieszki, nie sprzyjają opiniom umiarkowanym. Prawica i skrajna prawica banalizowały zabicie nastolatka, rozruchy tłumacząc wyłącznie skutkami masowej imigracji. Radykalna lewica z kolei, zwłaszcza Francja Nieujarzmiona i jej lider Jean-Luc Mélenchon, całą winą obciążała policję. Źródeł przemocy w wykonaniu młodzieży z przedmieść dopatrywała się tylko w dyskryminacji obywateli Francji o innym niż biały kolorze skóry.

Zdaniem wielu znawców tematu sedno problemu leży gdzie indziej: kluczowe znaczenie mają fatalne relacje policji z młodzieżą z przedmieść.

Frédéric Ploquin, dziennikarz śledczy i autor książek o zorganizowanej przestępczości i policji, sądzi, że błędem jest sprowadzać napięcia do skutków masowej imigracji. Wskazuje, że zamieszki wywołali głównie nastolatkowie w wieku od 13 do 18 lat. – Ci młodzi identyfikowali się z Nahelem M., bo czuli, że mogli być na jego miejscu. Tę identyfikację wzmocnił fakt, że policjant zabił jednego z nich, ponieważ Nahel M. pochodził z rodziny algiersko-marokańskiej, jak wielu młodych uczestników zajść – mówi Ploquin „Tygodnikowi".

– Dziesiątki lat jeździłem jako dziennikarz do tych tzw. trudnych dzielnic – wspomina Ploquin. – Z moich obserwacji wynika, że dla tych nastolatków wrogiem nie jest Francja, ale francuska policja. Od dwóch dekad dochodzi regularnie do ataków grup młodzieżowych na policjantów. To niebezpieczne pęknięcie w społeczeństwie.

...i przemoc mundurowych

Ploquin uważa, że uzbrojone grupy młodzieżowe coraz częściej traktują policję jak konkurencyjną bandę, kierując się przy tym logiką zemsty. Z drugiej strony na trudnych przedmieściach mamy do czynienia z policjantami bardzo młodymi, bez doświadczenia, niedostatecznie wyszkolonymi. Ploquin: – Także oni wchodzą często w logikę prywatnych porachunków z młodymi. Postawa: „Ja mu nie daruję" nie ma nic wspólnego z egzekwowaniem prawa.

Ploquin przywołuje przykład policjanta, który zastrzelił Nahela M. Wszystko wskazuje na to – choć śledztwo wciąż trwa – że 38-letni funkcjonariusz, zresztą doświadczony, nie działał w obronie własnej, gdy mierzył z bliskiej odległości do nieuzbrojonego kierowcy. Policjant czeka na proces w areszcie, ma zarzut zabójstwa z premedytacją. Skrajna prawica zorganizowała internetową zbiórkę dla wsparcia jego rodziny. Według tygodnika „L'Obs" w krótkim czasie zebrano ponad milion euro.

Czy brutalność policji i rasizm wśród wielu mundurowych to mit? Trudno o generalizację, ale takie zarzuty stawiała w ostatnich latach nie tylko lewica, lecz także międzynarodowi eksperci ONZ. Oskarżenia o nadużycie siły pojawiały się podczas protestów ruchu żółtych kamizelek w latach 2018-19 czy tegorocznych demonstracji przeciw reformie emerytalnej. Jeśli chodzi o podejrzenia o rasizm, najgłośniejszym przypadkiem była śmierć czarnoskórego Adamy Traorégo w 2016 r. – zginął podczas próby aresztowania.

Śmierć w Nanterre można analizować też w kontekście powtarzających się konfliktów na drogach między młodymi a policją. Dziennik „La Croix" podaje, że w 2022 r. we Francji policjanci zabili 13 osób za to, że odmówiły poddania się kontroli drogowej. W większości tych spraw, według gazety, funkcjonariusze uniknęli odpowiedzialności. To niepokojąca liczba.

Nastolatki pod wpływem

Znawcy tematu przedmieść zwracają uwagę, że wielu nastolatków dorasta tam w rodzinach bez ojców. Ponadto wielu mieszkańców przedmieść pracuje nocą – taksówkarze, pielęgniarki, osoby sprzątające. Nie mają czasu zajmować się nastolatkami. Także dlatego są oni bardziej podatni na wpływ zorganizowanej przestępczości. Albo radykalnych imamów.

– Dla części młodych z blokowisk są dwa autorytety: handlarze narkotykami i radykalni muzułmanie. Te dwa modele czasem się wspierają, czasem sobie przeczą, ale oba rekrutują młodych, którzy są pozbawieni opieki rodziców i innych wzorców – mówi Frédéric Ploquin. ↦

↦ Dziennikarz zaznacza, że choć głównym powodem zamieszek była śmierć Nahela M., to wśród ich uczestników byli początkowo młodociani dilerzy narkotyków. Ale w miarę zaostrzania się starć bossowie starali się przywołać ich do porządku. – Szefowie narkotykowych gangów myślą jak handlowcy. Nie chcą tracić obrotów z powodu zadymy. Zależy im, by klienci przyjeżdżali do nich po towar, dlatego potrzebują spokoju w dzielnicy – twierdzi Ploquin. – Jestem przekonany, że w pewnych przypadkach to oni próbowali gasić pożar, mówiąc młodym: „OK, pokazaliśmy, że tu rządzimy, pora wracać do pracy". Oni mają argumenty: pieniądze i broń.

Ploquin zwraca uwagę, że podczas poprzednich ogólnokrajowych zamieszek w 2005 r. w niektórych „gorących" dzielnicach wielkich miast, np. w Marsylii, panował spokój. Można to tłumaczyć właśnie silnymi wpływami gangów narkotykowych.

Tezę Ploquina może potwierdzać krótka wymiana zdań, cytowana przez dziennik „Le Parisien", do jakiej miało dojść teraz między prezydentem Emmanuelem Macronem a policjantem z komisariatu w 18. Dzielnicy: „Ale kogo one słuchają, te dzieciaki?" – zapytał Macron. „Dilerów, panie prezydencie" – padła odpowiedź.

„Niczego nie szanują"

Wróćmy do Beauvais i do parku imienia Josephine Baker.

Nosząca hidżab Fatima (imię zmienione) przychodzi tu z dwójką dzieci na plac zabaw. Pochodzi z marokańskiej rodziny, jest praktykującą muzułmanką. Jak wielu mieszkańców dzielnicy, rozumie powody zamieszek, choć sprzeciwia się przemocy.

– Rasizm we Francji nie jest wymysłem. Studiowałam psychologię, ale ponieważ jestem Arabką i chodzę w chuście, słyszałam, że mogę pracować tylko jako sprzątaczka. Ile to razy wyzywano mnie za hidżab, gdy byłam w poczekalni u lekarza czy w urzędzie. To nie jest dyskryminacja? – podnosi głos. – Ale czy pan to zrozumie, jest pan blondynem i ma niebieskie oczy – rzuca w moją stronę.

Z myślą o ostatnich wydarzeniach dodaje: – To inne pokolenie, oni niczego nie szanują. Boję się o moje dzieci. Jedno jest w przedszkolu, drugie w gimnazjum. Złe towarzystwo to jedno, ale niski poziom

TCHOG

Zniszczony podczas zamieszek przystanek w dzielnicy Argentine. Beauvais, 22 lipca 2023 r.

szkół to drugie. Może od naprawienia szkoły trzeba zacząć, żeby młodzi mieli przyszłość?

Trochę dalej, na ławce przed blokiem, gawędzi dwóch emerytów. Abdelakader i Hadj, obaj urodzeni w Algierii, kumple on ponad pół wieku, pracowali razem w miejscowej fabryce traktorów. Zgodnie kiwają głowami: – Kiedyś w naszej dzielnicy było spokojniej, no i nie było takiego bezrobocia. Teraz młodzi niczego nie szanują, nie słuchają starszych, ani w domu, ani w szkole czy nawet na ulicy, jak my kiedyś.

„Są też gorsze dzielnice"

Abdelakader uważa, że policja nie potrafi nawiązać zwykłej rozmowy z młodymi. Że jeśli zjawia się w dzielnicy, to tylko, aby zrobić nalot na dilerów lub legitymować: – Może powinniśmy zrobić tu turniej futbolowy, żeby policjanci z młodymi grali razem w piłkę, to wtedy nie będą chcieli się zabijać?

Mimo wszystko zagadnięci przeze mnie w parku ludzie są na ogół zadowoleni z życia na osiedlu. Jak trzy nastoletnie koleżanki, które wesoło dyskutują obok boiska do gry w bule. Dwie mają hidżaby. – Tu jest spokojnie. No tak, nocą są jakieś rozróby, jak wszędzie, były teraz te wydarzenia, ale my tego nie widzimy – mówi jedna. Tłumaczy: – W naszym domu młodzieży są fajni animatorzy, też pochodzą z dzielnicy, nie mądrzą się, można z nimi pogadać. I organizują za darmo wycieczki do Paryża albo nad morze!

Jej koleżanka dodaje: – Ludzie się wspierają na osiedlu, jak wielka rodzina. No, tylko sklepów z dobrymi ciuchami brak. Nie ma Zary ani Nike'a, niczego nie ma! – Koleżanki jej przytakują. – Ale w sumie są dużo gorsze dzielnice niż nasza!

Stracone terytoria?

Nie można wrzucać wszystkich francuskich blokowisk do jednego worka. To, co we francuskiej publicystyce określa się mianem „straconych terytoriów Republiki", dotyczy tylko drobnej części tzw. wrażliwych dzielnic, które zamieszkuje blisko 6 mln ludzi (w 68-milionowym kraju). Liczbę imigrantów we Francji szacuje się na 7 mln. Uwzględniając dzieci, blisko co czwarty mieszkaniec Francji ma imigranckie pochodzenie.

Przepaść dzieli więc np. północne kwartały Marsylii, gdzie w biały dzień odbywają się porachunki gangsterskie, albo niektóre północne przedmieścia Paryża poddane wpływom radykalnych muzułmanów, od przeciętnego francuskiego blokowiska, na co dzień dość spokojnego.

Od dekad władze przeznaczają duże kwoty z budżetu na odnowienie blokowisk i poprawę warunków mieszkaniowych. Efekty widać, choć lokalne stowarzyszenia i merowie domagają się ambitniejszych działań – czegoś w rodzaju „planu Marshalla" dla trudnych dzielnic. Więcej pieniędzy na edukację, usługi publiczne i stowarzyszenia, a nie tylko na remonty: to główne przesłanie tych apeli.

W tym kierunku idzie program „Dzielnice 2030", obiecywany przez Macrona jeszcze przed ostatnimi rozruchami. Ma być kontynuacją działań podjętych za jego pierwszej kadencji, np. odciążenia przeładowanych klas szkolnych we wszystkich najuboższych dzielnicach.

Wysiłek na lata

Poważne inwestycje w edukację czy usługi publiczne na przedmieściach nie rozwiążą z dnia na dzień krytycznej sytuacji w najbardziej zmarginalizowanych miejscach. Do tego konieczne jest, aby władze państwowe i samorządowe odbiły je z rąk gangów narkotykowych lub islamskich radykałów.

Francuski „plan Marshalla" mógłby natomiast osłabić napięcia na wielu zwykłych blokowiskach, gdzie – mimo przejawów codziennej przemocy – życie płynie swoim torem. Jak w Argentine i setkach innych podobnych miejsc w całej Francji.

© SZYMON ŁUCYK

Przedmieścia bez mitów

FABIEN TRUONG,
BADACZ MŁODZIEŻY Z FRANCUSKICH TZW. TRUDNYCH DZIELNIC:

Także rodzice z przedmieść chcą, by ich dzieci odniosły w życiu sukces. Części to się udaje.

SZYMON ŁUCYK: Dlaczego we Francji na tzw. trudnych przedmieściach dochodzi często do starć młodych z policją? W niektórych polskich mediach można przeczytać, że wywołują je muzułmańscy imigranci, którzy ponoć nienawidzą Francji.

FABIEN TRUONG: Ostatnie zamieszki spowodowały głównie dwie okoliczności: wściekłość nastolatków, którzy identyfikowali się z Nahelem, a także permanentne, często budzące wątpliwości kontrolowanie tych ludzi przez policję. Nie było żadnych żądań religijnych czy etnicznych, tylko instynktowny gniew tych chłopaków – bo wśród uczestników prawie nie było dziewcząt.

Oni często nie widzą dla siebie przyszłości. Urodzeni we Francji, są na ogół dziećmi ubogich imigrantów, którzy przybyli tu z krajów mających historię związaną z francuskim kolonializmem. Łączy ich fakt, że niemal wszyscy różnią się kolorem skóry od większości policjantów, zwykle białych. Można mówić o dyskryminacji, gdyż w wielu wypadkach prowadzący kontrole policjanci używają słów rasistowskich. Wielu tych młodych policja legitymuje nie za to, co robią, ale za ich pochodzenie. Wiarygodne dane wskazują, że osoby czarnoskóre czy śniade są znacznie częściej legitymowane na ulicy niż biali.

Jednak teraz młodzieżowe grupy atakują nie tylko policję, lecz niszczą z furią sklepy, szkoły, biblioteki, własne dzielnice. To ślepa przemoc?

Pamiętajmy, że to nastolatki, które często wypadły z systemu szkolnego. Nie znają innych sposobów wyrażenia wściekłości niż niszczenie. Większość mieszkańców tych dzielnic opłakuje szkody, bo jest w ten sposób podwójnie karana. Ale jednocześnie mówią: „rozumiemy".

Ostatnie zamieszki miały szeroki zasięg terytorialny: ogarnęły nie tylko metropolie, ale też małe miasta w całej Francji. To coś nowego?

Nie do końca. Do starć młodych z policją dochodzi od wielu lat regularnie nawet w mniejszych miastach, choć na lokalną skalę, więc nie donoszą o nich ogólnokrajowe media. Detonatorem jest zwykle interwencja policyjna, w następstwie której ginie ktoś z nastolatków. Tak było podczas poprzednich wielkich zamieszek w 2005 r., które wybuchły pod Paryżem w departamencie Seine-Saint Denis.

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

FABIEN TRUONG jest socjologiem, pracuje na Université Paris 8. Autor filmów dokumentalnych i książek o młodzieży z przedmieść, m.in. tłumaczonego na angielski studium „Radykalna lojalność. Być muzułmaninem na Zachodzie".

Dodam, że relacje policji z mieszkańcami tzw. trudnych dzielnic są napięte także w małych miejscowościach, gdzie jest 15-20 tys. mieszkańców. Począwszy od lat 50., w całej Francji budowano w podobny sposób: wokół bogatszego mieszczańskiego centrum wyrastały peryferyjne dzielnice z mieszkaniami socjalnymi.

Czyli to także polityka mieszkaniowa doprowadziła do powstania społecznych gett, zamieszkanych przez ubogich potomków imigrantów?

Nie było nigdy polityki państwowej, która by intencjonalnie spychała imigrantów na ubocze miast. Historycznie rzecz biorąc, w latach 50. i 60. XX w. przedmieścia były miejscami społecznego mieszania się: żyła tam i klasa średnia, i robotnicy, i imigranci z Maghrebu. Z czasem klasa średnia zaczęła się wyprowadzać. Później, od lat 70., doszedł kryzys gospodarczy, zamykano fabryki, więc imigranci z tych dzielnic zasilali szeregi bezrobotnych. Równocześnie masowo sprowadzali rodziny z zagranicy. W dodatku władze bogatszych gmin wolą odrzucać plan budowy mieszkań socjalnych, nawet jeśli, wedle prawa, za taką odmowę muszą płacić grzywny.

Splot tych wszystkich czynników spowodował rozwój enklaw, gdzie koncentrowały się: imigracja spoza Europy, ubóstwo i wysokie bezrobocie.

Można się stamtąd wyrwać?

Istnieje zjawisko, o którym prawie nie mówi się w mediach – dużej mobilności ludzi z przedmieść. Aż połowa populacji tych dzielnic awansuje społecznie, opuszcza swoje blokowiska i przeprowadza się do lepszych dzielnic. Osiągają życiowy sukces. Tyle że ci, którzy opuszczają gorsze dzielnice, są zastępowani przez nowych biednych. Stąd problem tzw. trudnych przedmieść nie znika.

Co zrobić, by ograniczyć w nich przemoc?

Nie wystarczy poprawić tam warunki mieszkaniowe, na co państwo przeznacza już niemałe środki. Trzeba uzdrowić relacje między policją a ludnością. Brutalne interwencje francuskiej policji to problem od 30 lat. Gdy szefem MSW był Nicolas Sarkozy, po zamieszkach z 2005 r. zlikwidowano „policję dzielnicową", która miała na co dzień kontakt z mieszkańcami i lokalnymi stowarzyszeniami. Miało to dramatyczne skutki, widoczne do dziś. Druga sprawa: trzeba wysyłać do tych dzielnic więcej nauczycieli, edukatorów, pracowników socjalnych. Potrzeba więcej środków na edukację przede wszystkim. Należy też podnieść płace dla nauczycieli w tych dzielnicach, aby chcieli tam pracować.

Kiedyś byłem nauczycielem w departamencie Seine-Saint-Denis pod Paryżem. Tam zdarza się, że rodzice wszystkich uczniów w klasie, zwykle trzydzieściorga, mają ukończoną tylko szkołę podstawową i słabo mówią po francusku. Są pozbawieni kontaktu z Francuzami z klasy średniej. To kluczowa bariera. Ale wbrew temu, co się mówi, także ci rodzice chcą, by ich dzieci uzyskały wykształcenie i odniosły w życiu sukces.

© Rozmawiał SZYMON ŁUCYK

HISTORIA

NIKT W WARSZAWIE TAK NIE ŚPIEWAŁ

Piosenkarka i gwiazda ekranu międzywojennej Polski – Zula Pogorzelska – urodziła się na Krymie 125 lat temu. Prawdopodobnie. Nie tylko rok urodzenia pozostaje jej tajemnicą.

STANISŁAW CALIK

Nie lubiła pytań na temat życia prywatnego, unikała wywiadów na ten temat. Znana i lubiana w bodajże całej międzywojennej Polsce, była równocześnie jedną z najbardziej enigmatycznych ówczesnych celebrytek.

Dlatego niewiele było wiadomo o jej życiu, zanim w 1919 r. przyjechała do Warszawy. Do dziś nawet rok i miejsce jej narodzin są różnie podawane w różnych źródłach.

Polacy nad Morzem Czarnym

Kilkanaście lat temu, jeszcze przed rosyjską aneksją Krymu, zbierałem materiały do przewodnika historycznego po Eupatorii – stutysięcznego dziś miasta, położonego na zachodnim wybrzeżu półwyspu. Trafiłem wówczas na dokumenty, które wiele mówią na temat dwóch pierwszych dekad jej życia, w tym o jej tamtejszym debiucie scenicznym.

Urodziła się pod koniec wieku XIX właśnie tam – w Eupatorii, najprawdopodobniej w roku 1898 (o czym więcej za chwilę).

Już wtedy był to nadmorski kurort. Ówczesny podróżnik Grigorij Moskwicz w swoim przewodniku nazwał Eupatorię „miniaturową kopią dobrze zorganizowanych miast europejskich". Gdy z kolei w 2004 r. obchodzono 2500-lecie istnienia miasta, nazwano go „małą Jerozolimą" – jako tygiel wyznań, kultur i narodów.

Byli tam również Polacy. Skąd się wzięli? W XIX stuleciu miały miejsce dwie fale migracji Polaków na Krym – w latach 30. i 60., po klęsce powstań listopadowego i styczniowego. Według spisu ludności przeprowadzonego w 1897 r., na Półwyspie Krymskim mieszkało wtedy dokładnie 6929 Polaków (stanowili nieco ponad jeden procent ludności).

Pogorzelscy mieszkali w śródmieściu Eupatorii, we własnym dwupiętrowym domu. Ich adres, ulica Gogolewska 16, był dobrze znany mieszkańcom, ponieważ Andrzej Pogorzelski, ojciec Zuli, był uznanym lekarzem i osobą publiczną.

Jego Ekscelencja pan Pogorzelski

Nie udało się ustalić, w jakich okolicznościach Andrzej trafił na Krym. Na pewno nie był uczestnikiem powstania 1863 r., ze względu na wiek. Czy był synem powstańca styczniowego lub wnukiem uczestnika zrywu listopadowego? Tego także nie wiemy.

Wiadomo za to, że karierę lekarską zaczynał w miejscowym Szpitalu Powiatowym jako ginekolog i pediatra, a potem założył prywatną Klinikę Położniczo-Ginekologiczną dr. Pogorzelskiego. Został awansowany na cywilny tytuł radcy dworu (odpowiednik podpułkownika w wojsku), a to oznaczało, że stał się szlachcicem Imperium Rosyjskiego i należało się do niego zwracać „Wasza Ekscelencjo".

Andrzej Pogorzelski został też wybrany do Dumy Miejskiej (rady miasta), gdzie był członkiem dwóch komisji: do spraw tramwajów elektrycznych i teatru. Kierował też, społecznie, powiatowym oddziałem Towarzystwa Opieki nad Więźniami.

Brał także udział w życiu polskiej społeczności. Z jego inicjatywy władze miasta podjęły decyzję o przekazaniu ziemi pod budowę kościoła rzymskokatolickiego. 12 lipca 1916 r. gazeta „Wiadomości Eupatorii" donosiła: „Duma Miejska nieodpłatnie przydzieliła miejscowej społeczności polskiej działkę przy alei Generała Kniażewicza pod budowę polskiego kościoła i pomieszczenia dla księdza".

Budowę kościoła ukończono w 1919 r. Funkcjonował do początku lat 30., gdy został zamknięty przez komunistów (później, podczas II wojny światowej, został zbombardowany przez wojsko niemieckie).

Matki i córki marzenia o scenie

Żona Andrzeja, Emilia z Niżyńskich, jako młoda dziewczyna marzyła o aktorstwie. Jednak przestraszeni rodzice uniemożliwili jej to – zawód aktora uważali za nieodpowiedni. Ponadto oznaczałby obniżenie statusu społecznego. Szybko wydali Emilię za mąż, już w wieku 17 lat.

Na szczęście małżeństwo Andrzeja i Emilii okazało się udane, w domu panowała harmonia i komfort. Mieli troje

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Zula Pogorzelska w swoim samochodzie, 1929 r.

dzieci. Z imienia znane są tylko dwie córki: najstarsza Anna Regina Maria i najmłodsza Zofia Alina Łucja, która później zasłynęła jako Zula.

Podobnie jak kiedyś matka, Zofia marzyła o scenie. Emilia nie miała nic przeciwko, ale Andrzej nie był z tego zadowolony – oczekiwał, że córka poświęci się poważnym sprawom.

Jak to było w zwyczaju w rodzinach o wysokich dochodach, podstawowa edukacja Zofii odbywała się w domu. Wśród pedagogów, którzy przychodzili do ich mieszkania, byli nauczyciele różnych przedmiotów: czytania, pisania, dodawania liczb, rysowania, a także wokalu, muzyki, tańca i recytacji.

W 1907 r. Zofia zdaje egzaminy wstępne do gimnazjum. Niektóre źródła podają, że uczyła się w Sewastopolu, położonym 117 km od Eupatorii. Nie znaleziono jednak dokumentów, które by to potwierdzały. Faktem jest, że w 1914 r. ukończyła państwowe gimnazjum żeńskie w Eupatorii i otrzymała świadectwo maturalne nr 90.

Skrzyżowane losy

Każdego lata siostry Pogorzelskie jeździły do malowniczej miejscowości Zielony Gaj niedaleko Charkowa – Polacy z Eupatorii zwykle tam wysyłali swoje dzieci na wakacje. W tym czasie w Eupatorii nie było ↦

↦ jeszcze kościoła rzymskokatolickiego, a w Zielonym Gaju młodzi śpiewali w chórze parafialnym. Zofia chętnie brała też udział w przedstawieniach miejscowego teatru amatorskiego, tańcząc i śpiewając.

Na marginesie: w tamtym czasie w kamienicy Pogorzelskich w Eupatorii skrzyżowały się losy dwóch przyszłych gwiazd – teatru i literatury. Od 1912 r. Andrzej Pogorzelski wynajmował część apartamentów po niskiej cenie (za 6 tys. rubli rocznie) prywatnemu żeńskiemu gimnazjum, które prowadziły Walentyna Mironowicz i Anna Ruszczyńska (Andrzej był członkiem jego rady opiekuńczej). Pięć pokoi w kamienicy przekształcono zatem w sale lekcyjne, w każdej umieszczając 17 szkolnych ławek. Przy jednej z nich od stycznia 1919 r. uczyła się Alisa Rosenbaum, która wraz z rodzicami uciekła przed bolszewikami z zajętego przez nich Petersburga. Jej rodzina wynajęła mieszkanie w daczy Nikity Bredichina naprzeciw domu Pogorzelskich. Po latach Alisa stała się słynna jako amerykańska pisarka Ayn Rand, autorka bestsellerowej powieści „Atlas zbuntowany".

„Druga Duncan" rusza w trasę

Miesiąc po tym, jak Zofia zdaje maturę, wybucha I wojna światowa, ale tutaj jej skutki nie są na razie odczuwalne.

Niedawna gimnazjalistka mówi rodzicom, że jedzie na tournée po miastach Krymu jako tancerka w zespole koncertowym. Andrzej, szlachcic herbu Krzywda, zabrania hańbić nazwiska rodziny: Zofia ma zostać w domu – ale nie słucha. Przyjmuje tylko pseudonim: Zula Patori (skrót od Eupatoria). Krążą plotki, że ojciec ze złości zrywa wszelkie stosunki z córką.

Pierwszy sukces i w ślad za nim sława przychodzą szybko. Świadczy o tym ogłoszenie na pierwszej stronie gazety z Tbilisi „Kawkazskoje Słowo" z 29 grudnia 1916 r.: „Koncert słynnej Zuli Patori (drugiej Duncan), 17-letniej wykonawczyni starożytnych greckich tańców plastycznych, ulubienicy paryskiej publiczności! Z udziałem wybitnego artysty Opery Kijowskiej M.S. Marka (tenor dramatyczny). Pani N.A. Grikurowa przy fortepianie".

Podany w ogłoszeniu wiek Zuli wskazywałby na 1899 jako na rok jej urodzenia. Jednak takie reklamy często obniżały wiek młodych talentów, by zwiększyć zainteresowanie widzów. A historia o paryskiej publiczności to już fikcja (Zula nigdy nie występowała we Francji).

POCZTÓWKA ZE ZBIORÓW AUTORA

Teatr w Eupatorii, gdzie Pogorzelska wystąpiła na wieczorze artystycznym na prośbę swojego ojca.

Najbardziej prawdopodobnym rokiem jej urodzenia jest jednak rok 1898. Świadczyć może o tym także fakt, że w tym roku urodziła się przyjaciółka Zuli i koleżanka z klasy w gimnazjum Janina Henrych, córka miejskiego architekta Adama Henrycha (prezesa Towarzystwa Polskiego) i córka chrzestna Andrzeja Pogorzelskiego. Klasy składały się zwykle z dzieci w tym samym wieku.

W burzliwych czasach

Tymczasem ojciec pogodził się z sytuacją, był nawet dumny z sukcesów córki. Latem 1917 r. poprosił ją o występ w Teatrze Miejskim w Eupatorii na wieczorze artystycznym zorganizowanym przez Polskie Towarzystwo Dobroczynności. Zbierano pieniądze na pomoc dla głodujących w Kongresówce (w 1915 r. zajętej przez wojska niemieckie i austro-węgierskie), a także na budowę kościoła. „Aktualności Eupatorii" donosiły 9 lipca, że w części koncertowej wystąpiła „młoda wykonawczyni tańców plastycznych, Zula Pogorzelska, która pod nazwiskiem Zula Patori cieszyła się powodzeniem przez całą zimę podczas tournée po Kaukazie i regionie Zakaspijskim".

W kolejnych miesiącach trasy koncertowe zawiodły Zulę do Moskwy, gdzie zapisała się na kurs wokalny i rozwinęła profesjonalny głos. Nauczyciele doradzali jej kontynuowanie nauki, widząc dla niej nawet perspektywy kariery operowej.

Tymczasem nastaje burzliwy czas. Pod koniec 1917 r. Petersburg opanowują bolszewicy, którzy w lutym 1918 r. podpisują pokój z Berlinem i Wiedniem. Wojna światowa na froncie wschodnim kończy się – za to na terenie upadłego Imperium Rosyjskiego rozwija się konflikt, który potem zostanie nazwany (niezbyt precyzyjnie) wojną domową. W ciągu kolejnych lat Krym będzie kontrolowany przez różne siły – Krymską Republikę Ludową, Ukraińską Republikę Ludową, „białych" Rosjan. Pod koniec 1920 r. zajmie go Armia Czerwona, by zaprowadzić tutaj swój terror.

Debiut na deskach Warszawy

Zanim to jednak nastąpi, w 1919 r. rodzina Pogorzelskich wraz z Zulą opuści Krym. Wyjazd mógł być dla nich o tyle łatwiejszy, bo Andrzej pochodził z Mazowsza, a Emilia z Wołynia. Niektórzy z ich krewnych zostali. Wiemy o niejakim Michale Pogorzelskim, który obchodził sylwestra 1922 r. w Eupatorii ze swoimi przyjaciółmi. Nie wiadomo jednak, czy był tajemniczym bratem albo może kuzynem Zuli, czy też bardziej odległym krewnym.

W marcu lub kwietniu 1919 r. Pogorzelscy przyjeżdżają do Warszawy. Wkrótce, w maju, Zula rozpoczyna współpracę z Teatrem Bagatela, który docenia jej talent wokalny. Na stołecznej scenie debiutuje 23 lipca. Powróciła jako artystka do prawdziwego nazwiska, wywołując tym oburzenie wśród krewnych ze strony ojca.

Zulę zauważa kompozytor Jerzy Boczkowski, od niedawna dyrektor artystyczny kabaretu Qui Pro Quo. Pro-

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Zula Pogorzelska, ok. 1932 r.

ponuje, by spróbowała sił w innym gatunku: operetce. Musiałaby nie tylko śpiewać, ale też tańczyć, recytować, pokazać swój temperament.

Tu przydają się jej wszystkie umiejętności i doświadczenia. 30 sierpnia Pogorzelska pojawia się na deskach Qui Pro Quo w skeczu pt. „Pikuś w Zakopanem". Wzbudza sensację urodą, artyzmem, radością życia. Reżyser skeczu, starszy od niej o ponad 10 lat Konrad Tom, wkrótce zostanie jej mężem.

Jak minus stał się plusem

Zula dostaje główne role, gazety piszą o nowej gwieździe Warszawy. Jednak tutaj los zadaje jej cios: z powodu choroby gardła musi poddać się operacji, po której traci wspaniały sopranowy głos. Nie traci na szczęście ducha i wadę przekuwa w zaletę: wymuszony niski alt z charakterystycznym świszczącym oddechem uczyni częścią swojego nowego wizerunku. Taki głos okazuje się wyjątkowy i łatwo rozpoznawalny przez publiczność – nikt w Warszawie tak nie śpiewa.

Do zachrypniętego głosu dodaje wyraźną seksualność („Kurier Poranny" pisze: „Najlepsze nogi Warszawy"). Epatuje ubiorem, prowokuje występami na scenie. W styczniu 1926 r., w rewii o skandalizującym tytule „Pod sukienką", jako pierwsza w Polsce wykonuje charlestona – taniec, który w tamtych czasach jest na granicy przyzwoitości. Śpiewane przez nią piosenki stają się przebojami. Niektóre mają śmiałe tytuły, np. „Ja się boję sama spać!".

Jest tak popularna, że teatry o nią rywalizują. Andrzej Włast, kompozytor i dyrektor Morskiego Oka, zaprasza ją do swojego gabinetu i pyta, ile dostaje w Qui Pro Quo. Gdy słyszy, że sześć tysięcy miesięcznie (to więcej niż pensja premiera), proponuje siedem. Zula mówi, że musi porozmawiać z dyrektorem Qui Pro Quo Boczkowskim. Ten, słysząc, o co chodzi, proponuje osiem tysięcy. Włast – dziewięć. Na koniec zostaje w Qui Pro Quo z pensją dwunastu tysięcy.

„Lubię pracę w kinie"

W 1930 r. Zula gra w kryminale Michała Waszyńskiego „Niebezpieczny romans" i ten film zapoczątkowuje jej karierę filmową. „Gram po raz pierwszy i nie mam wątpliwości, że nie ostatni – mówi korespondentowi magazynu „Kino" po premierze. – Lubię pracę w kinie, choć jest bardziej męcząca niż w teatrze. Myślę, że powodem tego jest brak spójności, granie roli w kawałkach itp. Na uczucia aktora wpływa też świadomość, że gra się przed kamerą, a nie przed publicznością, na którą w teatrze reaguje się natychmiast".

Widzowie są zachwyceni ich ulubioną aktorką w licznych komediach Waszyńskiego, takich jak „Sto metrów miłości" czy „Dwanaście krzeseł". Występuje też w filmach innych reżyserów.

Bywa, że filmowcy wykorzystują jej popularność, zapraszając ją do ról, które nie pasują do jej talentu i umiejętności aktorskich. Czasopismo „Kino" tak komentuje jej występ w kryminale „Bezimienni bohaterowie": „Z wykonawców, słówko przede wszystkim o Zuli Pogorzelskiej. Jest ona świetna, ale...". Po czym następuje sugestia, że może ktoś napisałby dla Zuli „odpowiedni scenariusz, zamiast robić z niej piąte koło u wozu".

Nie było kogo zapytać

Jest na szczycie. Występuje na najlepszych scenach, odbywa liczne trasy koncertowe, m.in. po Kowlu (tu urodziła się jej matka, mieszkają jej krewni), Łucku i Równem. Na corocznym balu mody w styczniu 1929 r. otrzymuje tytuł „Królowej Mody". Koledzy nazywają ją czule „Zulejką". Z mężem kupują willę otoczoną ogrodem na Mokotowie (obecnie ul. Akacjowa 2).

Wiosną 1933 r. występuje w rewii „Zjazd gwiazd". Nagle na scenie doznaje częściowego niedowładu ciała, zaburzeń koordynacji ruchów i mowy. Lekarze stwierdzają jamistość rdzenia kręgowego – ta rzadka choroba neurologiczna nie jest wówczas leczona. Diagnoza to wyrok.

Ma 35 lat. Nie poddaje się. Wychodzi na scenę w nowej rewii „Ram-pam-pam". Ale choroba postępuje. Przestaje występować. Potrzebując pieniędzy na kolejne próby leczenia, sprzedają willę i przeprowadzają się do mieszkania w nowym pięciopiętrowym budynku przy ul. Włodawskiej 8 (dziś al. Niepodległości 132/136). Mąż wozi ją do różnych klinik. Do końca wierzy w cud.

Na początku 1936 r. Konrad i Zula jadą do Wilna, gdzie ona poddaje się kolejnemu leczeniu. Rankiem 10 lutego umiera we śnie w klinice uniwersyteckiej.

Tłumy przychodzą na cmentarz Powązkowski, by się z nią pożegnać. Mąż chce postawić jej marmurowy pomnik z aniołami, najpiękniejszy na cmentarzu. Nie zdąży, wybucha wojna.

Na skromnym nagrobku, postawionym po 1945 r., jest tylko krótki napis: „Zula Pogorzelska 1936". W tym czasie jej rodzice już nie żyją, mąż jest na emigracji (umrze w 1957 r. w Kalifornii). Nie było kogo zapytać o jej rok urodzenia, by podać go na czerwonej marmurowej płycie.

© STANISŁAW CALIK

Autor (ur. 1962) jest ukraińskim pisarzem, historykiem i scenarzystą. Wydał kilkanaście książek non fiction. Od 2017 r. pisze o mało znanych stronach historii dla BBC News Ukraine. W 2007 r. wydał na Ukrainie przewodnik historyczny po Eupatorii. Obecnie mieszka w Polsce.

PŁYWAMY W ZUPIE GENÓW

Badania cząsteczek DNA zalegających w środowisku to nowe okno na współczesny i dawny świat. Ale także zagrożenie dla naszej prywatności.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Profesor Neil Gemmell nie znalazł potwora. Ale i tak był w całkiem niezłym humorze. Genetyk z nowozelandzkiego Uniwersytetu Otago spędził lato 2019 r. tropiąc Nessie – legendarnego stwora, który ma zamieszkiwać Loch Ness.

Mitycznej bestii szukano wcześniej na wiele sposobów – godzinami wgapiając się w taflę tego największego jeziora na Wyspach Brytyjskich gołym okiem, a także skanując je przy pomocy sonarów. Potwór okazał się wyjątkowo dyskretny. Jednak przed techniką zastosowaną przez Gemmella nie da się schować. Badacz pobrał 250 próbek wody z całego jeziora i wydestylował wszystkie zawieszone w niej drobiny DNA. W ten sposób zamierzał skatalogować żyjące w zbiorniku istoty. Od małży po, kto wie, plezjozaury.

„Ludzie kochają tajemnice, więc za pomocą nauki dodaliśmy nowy rozdział legendy Loch Ness" – tłumaczył badacz. Śladów plezjozaura nie stwierdzono – w próbkach w ogóle nie było DNA gadów. Analiza genów wyeliminowała też inne przyziemne wyjaśnienia zagadki. Nie znaleziono dowodów na obecność w Loch Ness sumów, jesiotrów ani rekinów grenlandzkich, które potrafią osiągać „potworne" rozmiary. Badaczom rzuciła się jednak w oczy inna ryba.

„Odkryliśmy bardzo dużą ilość DNA węgorzy. Były powszechne w każdej badanej lokalizacji. Czy są ogromne? Z naszych danych nie da się wywnioskować ich rozmiaru, ale nie możemy też wykluczyć możliwości, że osiągają duże

GUNTER LENZ / BE&W

Nessie – pomnik potwora z Loch Ness na brzegu jeziora, Szkocja.

rozmiary. Potwór z Loch Ness może być w rzeczywistości olbrzymim węgorzem" – podsumował genetyk.

Oczywiście nikt nie zakładał poważnie, że w szkockim jeziorze rzeczywiście żył prehistoryczny morski gad. Wyprawa miała jednak zademonstrować, jak potężnym narzędziem dla nauki jest badanie tzw. środowiskowego DNA (eDNA). Technologia, która nie tylko otwiera nowe okno na współczesny i dawny świat – już teraz zagraża naszej prywatności.

Krucha cząsteczka

Co godzinę tracimy 30-40 tys. komórek skóry, z których każda zawiera pełną kopię naszego DNA. A to tylko jeden ze sposobów, w jaki rozsiewamy wokół siebie własny genom. Każde kichnięcie, każda wycieczka do łazienki, każda kropla krwi to genetyczny podpis. Bezwiednie poruszamy się w zupie z DNA miliardów żywych istot.

DNA jest kruchą cząsteczką. Poza żywym organizmem może rozpaść się już po kilku godzinach. Znane są jednak przykłady odnajdowania dającego się zidentyfikować genomu sprzed tysięcy lat, zwłaszcza w szczątkach uwięzionych w wiecznej zmarzlinie. A przy ogromnej ilości drobin materiału genetycznego trafiającego do środowiska prawdopodobieństwo odnalezienia dobrze zachowanych cząsteczek rośnie. To właśnie stoi u podstaw badań eDNA.

Dzięki powstaniu nowoczesnych urządzeń i technik analizy DNA z próbek ziemi, wody czy powietrza można obecnie uzyskać ogromną ilość informacji o stanie ekosystemu. Od oszacowania liczebności danego gatunku po tworzenie przeglądu bioróżnorodności danego środowiska. Bez względu na to, jak małe czy nieśmiałe są osobniki poszukiwanego gatunku, i tak pozostawiają po sobie genetyczne ślady. Zazwyczaj im więcej DNA danego gatunku w próbkach, tym liczniejszy jest na danym obszarze.

Bioróżnorodność na żywo

Nie musimy już więc wypatrzeć jakiegoś osobnika, żeby wiedzieć, że dany gatunek występuje w jakimś miejscu. Ta metoda bywa zresztą skuteczniejsza od tradycyjnych technik szacowania bioróżnorodności – zazwyczaj sprowadzających się do mozolnego zliczania osobników. I tak dzięki badaniom eDNA w 2017 r. okazało się, że w 18 fińskich strumieniach żyje dwukrotnie więcej gatunków, niż szacowano na podstawie klasycznych obserwacji.

Pomiary eDNA pozwalają monitorować populacje zagrożonych gatunków, szukać w środowisku tych inwazyjnych, a przy sprzyjających warunkach pomagają badać dawne ekosystemy. Już w 1999 r. jeden z zespołów wyizolował 57 genomów grzybów, roślin, alg i pierwotniaków z rdzeni lodowych pobranych w północnej Grenlandii. Lód, w którym je odkryto, miał 4 tys. lat.

Te same badania służą do monitorowania chorób. Analiza drobin kodu genetycznego z miejskich ścieków była jedną z metod śledzenia rozprzestrzeniania się pandemii COVID-19. Tych zastosowań może być jednak znacznie więcej. Badacze z Queen Mary University wykazali niedawno, że „węszenie" w eDNA może stanowić podstawę globalnej sieci monitorującej bioróżnorodność całej planety w czasie rzeczywistym. Nie trzeba tej sieci budować – ona już istnieje.

Autorzy raportu przedstawionego w „Current Biology" przetestowali filtry z dwóch stacji mierzących jakość powietrza w Wielkiej Brytanii – w londyńskim parku i w wiosce pod Edynburgiem. W filtrach udało się zidentyfikować DNA ponad 180 gatunków grzybów, owadów, ssaków, ptaków, płazów i roślin. Analizując zatem materiał zebrany przez czujniki smogu, naukowcy są w stanie badać to, jakie gatunki występują w okolicy. Ale na tym nie koniec. W ramach pomiarów zanieczyszczeń powietrza wiele instytucji naukowych tworzy archiwa filtrów ze swoich stacji, często sięgające lata czy dekady wstecz. DNA znajdujące się na tych archiwalnych filtrach może ujawnić, jak bioróżnorodność zmieniała się w czasie.

„Potencjał tego rozwiązania jest trudny do przecenienia. Prawie każdy kraj ma jakąś sieć czujników do monitorowania zanieczyszczeń powietrza. To rozwiązuje problem badania bioróżnorodności na wielką skalę" – mówiła „Guardianowi" liderka zespołu badaczy, Joanne Littlefair z Queen Mary University.

O ile jednak znajdujemy ogromne ilości DNA, o tyle często nie daje się ustalić, do jakiego stworzenia ono należy. To wyzwanie nie tylko w kontekście nieznanych jeszcze gatunków. Wiele mało „charyzmatycznych" stworzeń nie doczekało się jeszcze zsekwencjonowania swoich genomów – ich danych nie ma więc w publicznych bazach.

Przypadkowy połów

Prof. David Duffy miał odwrotny problem. Gdzie nie pobrał próbek, tam znajdował DNA gatunku bardzo dobrze znanego. Choć wcale go nie szukał. ↦

↦ Pracownik Laboratorium Biologii Morskiej Uniwersytetu Florydy chciał badać eDNA wirusów, które wywołują u żółwi morskich nowotwory. Gdy jego zespół pobrał próbki z miejsc gniazdowania gadów i ze zbiorników wodnych, w których żyły, oprócz DNA żółwi i ich wirusów znaleziono długie fragmenty ludzkiego genomu. Na ich podstawie dało się zidentyfikować płeć osób, od których pochodzą.

Duffy postanowił sprawdzić, czego jeszcze można dowiedzieć się z tego ludzkiego genetycznego „szlamu". Pobrano kolejne próbki – ze strumienia przepływającego przez St. Augustine na Florydzie. W raporcie przedstawionym w maju w „Nature Ecology & Evolution" badacze ujawnili, że z eDNA da się pozyskać informacje dotyczące zdrowia i pochodzenia okolicznych mieszkańców.

W próbce wody wielkości puszki coli znalazło się wystarczająco wiele mitochondrialnego DNA – dziedziczonego przez ludzi po matkach – by stworzyć mapę genetycznego pochodzenia populacji zamieszkującej okolice strumienia. Ustalenia pokrywały się z danymi z najnowszego spisu powszechnego. Zaobserwowano też kluczowe mutacje powiązane z cukrzycą, chorobami serca i wzroku. A w jednym przypadku także rzadką, dziedziczną chorobę neurodegeneracyjną, dającą objawy po 40. roku życia. „Wszystkie te bardzo osobiste dane związane z pochodzeniem czy stanem zdrowia są swobodnie dostępne. Po prostu latają w powietrzu" – podsumował Duffy.

Monitorowanie środowiskowego DNA może być więc wykorzystywane do dyskretnego podglądania populacji. Kluczowym pytaniem staje się, kto będzie korzystał z tych technik i w jakim celu. Bo mogą one znaleźć zastosowanie zarówno w nowoczesnych, wolnych społeczeństwach, jak i w krajach totalitarnych.

Poszukiwany, poszukiwana

Od dawna nikt nie miał wątpliwości, że ludzkie DNA trafia w ogromnych ilościach do środowiska, jednak naukowcy długo byli przekonani, że podwójna helisa zbyt szybko ulega degradacji. I sądzili, że z poszatkowanego genomu nie da się wydobyć informacji identyfikujących daną osobę. Chyba że DNA pochodziłoby z dających się jasno powiązać z konkretną osobą próbek, takich jak ślady krwi czy osad na powierzchni przedmiotów, których jakiś człowiek mógł dotknąć.

> Monitorowanie środowiskowego DNA może być wykorzystywane do dyskretnego podglądania populacji. **Pytanie brzmi, kto będzie korzystał z tych technik.**

Dane zebrane przez zespół Duffy'ego nie mogłyby zostać bezpośrednio zastosowane przez policję czy inne służby. Amerykański wymiar sprawiedliwości, używając DNA do identyfikowania osób, bierze pod uwagę 20 markerów rozrzuconych po całym genomie. Składają się one na opracowany przez FBI system CODIS (Combined DNA Index System). System działa jedynie wtedy, kiedy jest pewność, że wszystkie 20 markerów pochodzi od jednej osoby. We florydzkim strumieniu znaleziono fragmenty DNA należące do nieznanej, ale znacznej liczby ludzi. Złożenie z nich profili pozwalających na zidentyfikowanie poszczególnych ludzi to puzzle o poziomie złożoności obecnie przekraczającym nasze możliwości, a być może w ogóle niemożliwe do rozgryzienia.

Ale identyfikacja konkretnych osób za pomocą eDNA jest już wykonalna – na mniejszą skalę. W zeszłym roku badacze ze szpitala uniwersyteckiego Oslo opracowali technikę pozyskiwania ludzkiego DNA z próbek powietrza. Gdy system zastosowano w zamkniętym pomieszczeniu – w biurze – uczeni byli w stanie zrekonstruować kompletne profile CODIS pracujących tam ludzi.

W sierpniowym wydaniu „Forensic Science International" Nathaniel Boger i Murat Ozer ze Szkoły Technologii Informacyjnych Uniwersytetu Cincinnati zaproponowali zaś system„ który za pomocą rozsianych w sieci kanalizacyjnej czujników pozwalałby na namierzanie na określonym obszarze poszukiwanych przez władze osób – zaginionych lub przestępców.

„Umieszczenie czujników stale testujących wodę pod kątem DNA w strategicznych punktach sieci kanalizacyjnej pozwoli wykryć materiał genetyczny poszukiwanej osoby" – piszą autorzy. Na razie budowa takiej sieci czujników może nie być technicznie możliwa lub opłacalna. Ale tempo rozwoju narzędzi do wyszukiwania eDNA jest tak wysokie, że tę granicę możemy przekroczyć bardzo szybko.

Wielkie czyszczenie

Już dziś jednak naukowcy mają problem – publicznie dostępne bazy danych pozyskanych podczas dotychczasowych badań eDNA mogą zawierać prywatne informacje na temat wielkiej liczby ludzi.

„To problem etyczny dla całego naszego obszaru badawczego. Możliwe, że będziemy zmuszeni usunąć wszystkie sekwencje genetyczne, które opublikowaliśmy w publicznych bazach danych" – zastanawiał się w „Nature Microbiology" Rob Knight z Uniwersytetu Kalifornijskiego San Diego.

I nie chodzi tu wyłącznie o obawy przed tym, że dane mogą zostać wykorzystane przez opresyjne reżimy. Dane genetyczne milionów ludzi mogą mieć po prostu ogromną, komercyjną wartość, nawet jeśli nie jesteśmy w stanie przypisać do nich nazwiska i PESEL-u. Kolejnym potężnym problemem są kwestie prywatności: żadna z osób, których DNA zostało przechwycone podczas ekologicznych badań jętek czy żółwi, nie zgodziła się przecież na umieszczenie jej genetycznych informacji w publicznej bazie danych.

Pewne jest, że wypływamy na nieznane wody. Nieznane dla badaczy, ale także dla społeczeństwa. Nie zdołaliśmy wciąż poradzić sobie z kwestiami ochrony naszych danych w internecie, a już stajemy przed wizją tego, że równie dostępne dla mniej czy bardziej etycznych „podglądaczy" będą nasze dane biologiczne.

„Prawnicy i naukowcy powinni opracować odpowiedzi na etyczne konsekwencje przypadkowego i celowego przechwytywania ludzkiego środowiskowego DNA. Powinniśmy zacząć to robić natychmiast, wyprzedzając dalsze upowszechnienie i umocnienie tej technologii. Musimy upewnić się, że prawo i etyka pozostaną o krok przed rozwijającą się technologią" – apeluje David Duffy.

Jak dotąd jednak w tym wyścigu technologia wygrywa z etyką i prawem za każdym razem.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

JACEK

Podsiadło:

MM + ZZ = WM

Małe Marzenie – nosiła takie imię, bo już kiedy była mała, sprzątała groby kombatantów i marzyła, żeby Polska była wielka od morza do morza i żeby panowała w niej sprawiedliwość.

Znak Zorro marzył o tym samym. Chciał być sprawiedliwym szeryfem, ale inicjały Sprawiedliwego Szeryfa prezentują się nieodpowiednio, wobec czego należało przyjąć inną ksywę. Od małego nosił za pasem colta. Z pampersa wystawał mu też zegarek z dewizką. Wygrawerowano na nim: „Oko za ząb". Było to życiową dewizą Znaka Zorro.

Małe Marzenie została harcerką i jeździła na obozy. Szczególnie lubiła jeździć na północ, nad morze. Kiedy pojechała na południe, bolało ją, że nie było tam morza tylko marne Morskie Oko. Kiedy jechała na wschód albo na zachód, bolało ją z kolei, że w ogóle nie było tam żadnego akwenu, najwyżej granica Polski wydatnie świadcząca o tym, że Polska jest mniejsza, niż być powinna.

Znak Zorro powiedział, że już nigdy nikt pozbawiony życia przez tego pana nie będzie i potem musiał zapłacić temu panu 30 tysięcy. Żeby ich nie zapłacić, został językoznawcą. Mówił, że z przeprowadzonych przez niego ekspertyz zwrotu „pozbawić życia" jasno wynika, że znaczy on coś zupełnie innego niż np. zabić czy zamordować.

Kiedy Znak Zorro płacił, Małe Marzenie sprzątała groby kombatantów i śpiewała w kręgu druhen i druhów: „Płonie ognisko i szumią geje, szumowiny są wśród nas". Żeby odciąć się od szumowin, założyła z kolegami swoje własne harcerstwo. Może trochę faszystowskie, ale sprawiedliwe. Nazywało się Front Oczyszczenia Narodowego. Małe Marzenie złożyła uroczystą przysięgę, że będzie bronić naszej kultury, tożsamości narodowej, pamięci historycznej i prawdy oraz że będzie prowadzić czynną walkę z wszelkimi zagrożeniami dla naszej ojczyzny od własnych słabości poczynając.

Pewnego razu Liga Mistrzów nazwał Znaka Zorro zerem. Potem przez pewien czas przezywano go nawet Znakiem Zerro. A jeden satyryk powiedział przez radio, że jest godzina siódma zorro zorro. Ale Znak Zorro był twardy jak stal i w ogóle się tym nie przejmował.

Korzystając z ładnej pogody, Małe Marzenie szła kiedyś sprzątać groby kombatantów z trzema kolegami z Frontu Oczyszczenia. Jednym z nich był Młody Obrzympała, kolekcjoner militariów znany z tego, że jak się fotografował, to albo z obrzynem, albo z pałą, albo w faszystowskim garniaku. Wszyscy byli w maskach, bo była pandemia. Prowadzili typową harcerską dyskusję na temat różnic między śledziem a zapałką, kiedy nagle dostrzegli zagrożenie dla naszej kultury, tożsamości narodowej i ojczyzny od własnych słabości poczynając. Zagrożenie miało kształt kolorowej torby na ramieniu jednej z dwu dziewczyn wychodzących z Żabki. Nie ma się co dziwić, że każda z czterech twarzy zapłoniła się uniesieniem i że każdy z czworga oczyszczaczy krzepko laskę teleskopową dzierżył w dłoni. Ponieważ lesby nie odpowiedziały na grzeczną prośbę o wydanie szmaty, Małe Marzenie bez chwili wahania podjęła z kolegami czynną walkę w obronie wymienionych już wartości, a także – co zauważy później Znak Zorro – w obronie wiary. Niestety, wskutek oporu lesb zarówno wartości, jak i wiara legły w gruzach, a Małe Marzenie i jej frontowi towarzysze dali dyla z pola walki.

Sąd nie dał wiary, że torbę o wartości 15 zł próbowano wydrzeć w obronie wiary i wartości i Małe Marzenie osadzona została w ciężkim więzieniu, tak samo jak Młody Obrzympała.

Więzienie było bardzo ciężkie. Najgorsze, że nie było w nim żadnych grobów kombatantów i sprzątać można było tylko celę. Kiedy Znak Zorro odkrył, że to przez niego Małe Marzenie dostała trzy lata, bo to on podniósł najniższy możliwy wymiar kary z dwóch lat do trzech, poczuł w sobie ponowny przypływ potencji już nie tylko językoznawczych, ale zgoła metaforycznych.

– Ręczę za Małe Marzenie. Gdybym nie był twardy jak stal, dałbym się za nią pokroić – rzekł niezłomnie. – Ofiarą rozboju była właśnie ona, bo okradziono ją z wolności i używano przemocy sądowej. Sąd z przyczyn politycznych pozbawił młodą dziewczynę wolności, skazując ją na 3 lata ciężkiego więzienia. To nie Małe Marzenie wyrywała torbę, ale to sąd wyrwał z kontekstu przepis mówiący o tym, że nie wolno zabierać ludziom ich toreb. W ogóle sam sąd wyrwał się jak Filip z konopi. Wyrwał młode życie z... Przepraszam, muszę zajrzeć do słownika faryzeologicznego... O, to będzie pasowało: sąd wyrwał Małe Marzenie z marzeń o spokojnym życiu w wielkiej Polsce. Tym samym sąd wylał dziecko z kąpielą i musi zostać pociągnięty do odpowiedzialności za zabójstwo dziecka co najmniej w zamiarze ewentualnym! Jeszcze będzie sąd tak wyrywał ze świątyni Temidy, że uszy będą sądowi fruwały!

I Znak Zorro uwolnił Małe Marzenie, która już między więzieniem a dworcem posprzątała cztery groby kombatantów.

– Ja, genau, der geniale Pole, Welt Meisterschaft – mruczał Młody Obrzympała przed telewizorem w swojej celi w ciężkim więzieniu, a widząc, że Małe Marzenie patrzy na niego ze smartfona nierozumiejącymi oczami, uściślił: – Znaczy się, miszczostwo świata.

– Cześć wielkiej Polsce – odparła Małe Marzenie, spuszczając niewinnie nierozumiejące oczy. ©

OGŁOSZENIA WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego, nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

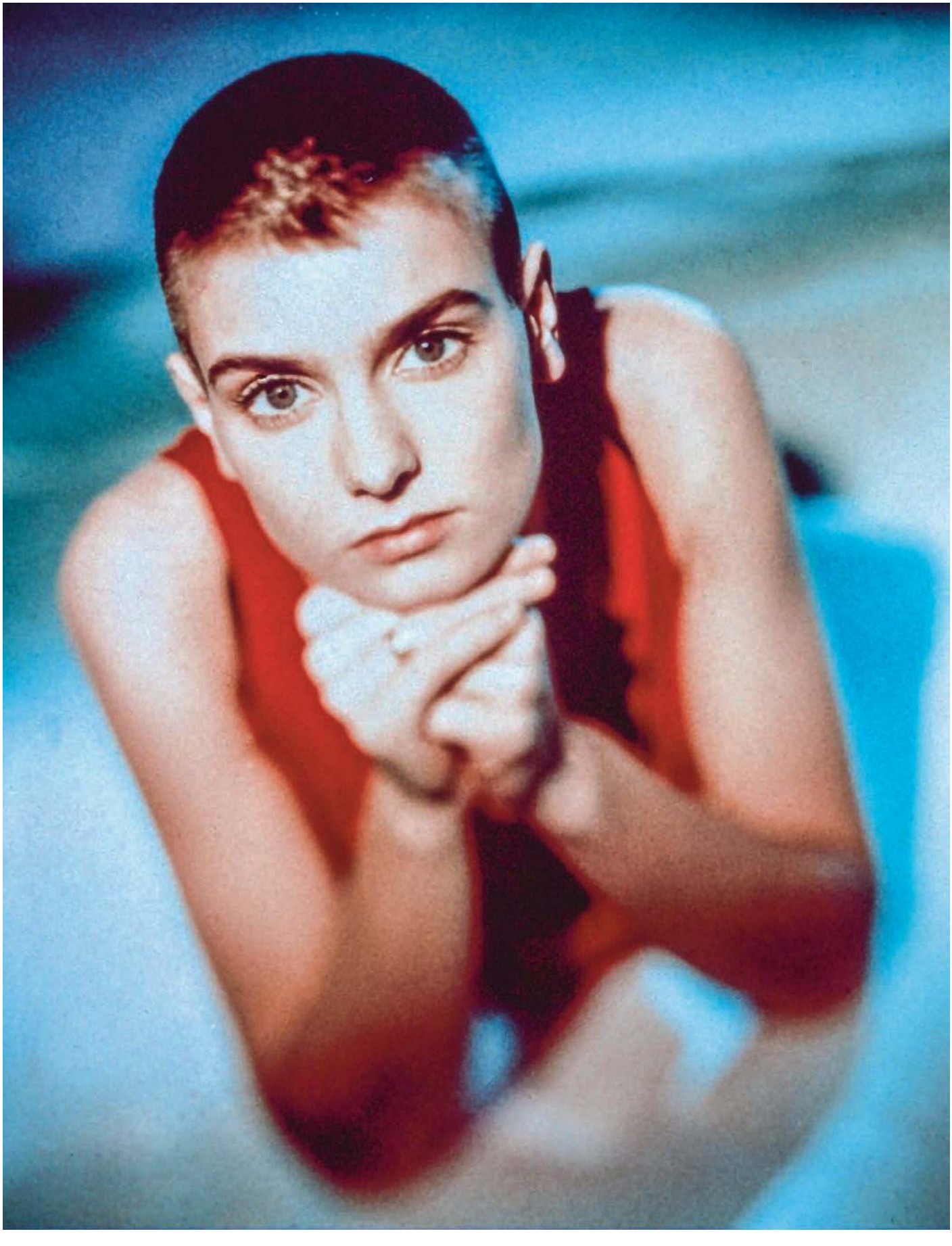

MARY EVANS PICTURE LIBRARY / EAST NEWS

KULTURA

DUSZA OBNAŻONA

Niepoważna, nieprzewidywalna, dziwaczna i na dodatek brzydka – czarownica. Tę młodą, łysą wersję o wielkich, wrażliwych oczach łatwiej było znosić.

BEATA CHOMĄTOWSKA

5 czerwca 1993 r. Sinéad O'Connor ma wystąpić w Dublinie na koncercie Peace Together, by wraz z innymi artystami wesprzeć działania na rzecz pokoju w Irlandii Północnej. Nie zjawia się na scenie. Tydzień później wykupuje stronę reklamową w „The Irish Times", na której zamieszcza długi tekst – rodzaj wiersza. Zaczyna go tak: „Nazywam się Sinéad O'Connor. Uczę się kochać siebie. Zasługuję. Zasługuję na to, by być traktowana z szacunkiem. Zasługuję na to, by nie traktowano mnie jak śmiecia. Zasługuję na bycie wysłuchaną. Jestem częścią rasy ludzkiej. Zasługuję, by mnie nie ranić. Nazywam się Sinéad O'Connor. Jestem kobietą. Mam coś do zaoferowania".

26 lipca 2023 r. świat obiega wiadomość: Sinéad O'Connor nie żyje. Wielu się smuci, niektórzy komentują: to była kwestia czasu. Dziennikarz muzyczny Roman Rogowiecki w TVN24 mówi, że choć w muzyce rockowej kontrowersje są mile widziane, w jej przypadku „gatunkowo było to zbyt ciężkie". „Nie mogła znaleźć swojego miejsca w życiu i to nie służy jednak dobrze muzyce. Show biznes jednak wymaga pewnej dyscypliny (...) a tu, kiedy mamy do czynienia z kimś, kto nie wie nawet, jak się nazywa, co chwila zmienia swoje nazwiska, zmienia swoją wiarę, swoje podejście do świata, do wszystkich ma jakieś pretensje. No, nie da się z tym być w show biznesie".

Świat przypomina zdarzenia z jej burzliwego życia. Najczęstsze odwołania: buntowniczy wizerunek sceniczny, gdy ogoliła głowę w odpowiedzi na sugestie wytwórni, by wystylizowała się na bardziej kobiecą. I publiczne podarcie wizerunku Jana Pawła II jako protest w imieniu ofiar kościelnej pedofilii, który w 1992 r. zszokował, naraził ją na ostracyzm i utrudnił dalszą karierę.

Sinéad O'Connor, lata 90. XX w.

Osoba publiczna

Jednym z formacyjnych doświadczeń dorastania w końcówce lat 80. XX w. była muzyka, poznawana głównie za pośrednictwem audycji w Trójce. „Nagle odkryliśmy Sinéad O'Connor. Warto było. Płyta »The Lion and the Cobra« jeszcze z 1987 r. była znakomita, za dwa lata mieliśmy »I Do Not Want What I Haven't Got« z »Nothing Compares 2 U«, a potem... lepiej nie pisać" – notował Marek Niedźwiecki w „Liście przebojów Programu Trzeciego". „Nothing Compares 2 U" przez kilka tygodni utrzymywało się na szczycie listy. Głos jak diament, który tnie skałę, i sukces przypominający lot w kosmos, w tempie, w jakim łatwo się spalić przy wejściu w stratosferę.

Wedle samej Sinéad, w autobiografii „Wyznania" słychać dwa głosy: jeden sprzed antypapieskiego protestu w 1992 r. i ten, który pojawił się później. „Pierwszy należy do ducha, drugi do żywej kobiety". A to dlatego, że dokończenie książki po przywołaniu tamtych zdarzeń okazało się na tyle trudne, że zdołała to zrobić dopiero po czterech latach leczenia w ośrodkach zdrowia psychicznego.

„Nie daję sobie rady z codziennym byciem »Sinéad O'Connor«. Wskutek »bycia sławną« zrobiłam się uwrażliwiona i pełna obaw. Zgubiłam siebie. Nie mogę śpiewać, dopóki nie będę gotowa znów być sobą. Oto, jak możecie mi pomóc: proszę, przestańcie mnie ranić. Mówić o mnie podłe rzeczy. Jestem osobą publiczną od 20. roku życia. Ciągle bardzo smutnym dzieckiem. Tyle że wtedy mogłam śpiewać, bo się nie bałam" – wyznawała w całokolumnowym manifeście sprzed 30 lat.

Gdy świat dowiaduje się, że ma taki skarb w zanadrzu, powinien nań chuchać i dmuchać.

Dorosłe dziecko

„Stałam się »sławna« przypadkiem – pisze Sinéad w „The Irish Times". – Wśród nas jest wielu takich jak ja. To ich ból, który słyszą i widzą również we mnie, sprawia, że zareagowali na taki czy inny mój utwór albo mój głos. Reprezentuję całą grupę Dorosłych Dzieci, które straciły dzieciństwo. Stanowimy 99 proc. ludzkiej rasy, czy tego chcecie, czy nie. Bardzo cierpimy. Jeśli nasz ból ma zostać uleczony, musimy go wyrazić, inaczej nadal będziemy kierować go przeciw sobie, jak robimy, aż staje się autodestrukcyjny".

To odwołanie do teorii amerykańskiego psychologa i pisarza, Johna Bradshawa, którego bestsellerowe książki skupiały się na temacie „wewnętrznego dziecka". Bradshaw dowodzi, że wiele rodzin celowo zawstydza swoje potomstwo, by je kontrolować. Wskutek tego dzieci tracą kontakt ze sobą i niosą „toksyczny wstyd" przez całe życie.

„Dorosłe dzieci to dorośli, w których żyje dziecko z zamordowaną duszą. Prawdziwa jaźń zostaje zerwana i muszą ↦

↦ wytworzyć sobie fałszywą" – pisze Bradshaw. Wylicza wszystkie kompulsywne i uzależniające zachowania, od alkoholu, narkotyków, seksualności, jedzenia, pracy, a nawet sławy i opinii publicznej, które według niego są elementami „pedagogiki wstydu", opartej na przemocowych zachowaniach rodziców: karach cielesnych, zaprzeczaniu uczuć, łamaniu dziecięcej woli.

Pasuje jak ulał do Sinéad, która dzieciństwo ma koszmarne. Rodzina wojskowych po mieczu i kądzieli. Irlandzka klasa średnia. Dziewczynka, urodzona w 1966 r., jest środkowa, między siostrą a bratem. Kiedy ma 9 lat, ojciec odchodzi od matki. Jest drugim w historii Irlandii mężczyzną, któremu sąd przyznaje opiekę nad dziećmi. Mieszkają z nim i macochą, ale po sześciu miesiącach Sinéad zatęskni za matką i wraca do niej. W podstawówce zazdrości innym dziewczynom, gdy patrzy, jak matki obejmują je i przechadzają się z nimi wokół szkoły. Odkąd skończy 6 lat, niczym irlandzka siostra Geniusi/Aurelii z „Opium w rosole" Małgorzaty Musierowicz puka do domów innych mieszkańców Glenageary z pytaniem, czy może zostać ich dzieckiem.

Z tą różnicą, że Sinéad nie jest karana wyłącznie milczeniem. Nauczycielki dopytują, skąd tyle sińców na nogach dziewczynki. I choć ona sama zaprzecza, domyślają się, że to jej matka tłucze małą wszystkim, czym popadnie. Kiedy starszy brat ucieka z domu, matka szantażuje go, że jeśli nie wróci, posadzi w samochodzie Sinéad na fotelu pasażera i ruszy pod prąd, żeby zrobić jej krzywdę. Pogróżkę spełni. Na szczęście ulica jest akurat pusta.

Łysy punk

W 1985 r. Marie O'Connor sama zginie w wypadku samochodowym. Córka będzie wstrząśnięta, podczas pogrzebu postanowi, że wypali tyle papierosów, ile się da, żeby jak najszybciej wysłały ją do mamy. Ale wtedy ucieka przed przemocą do ojca. Na krótko, bo za kradzieże i wagarowanie spędzi dwa lata w szkole z internatem w Dublinie dla dziewczyn z problemami. Wpada na kradzieży pary złotych butów dla przyjaciółki, która chciała je założyć na koncert; ale kraść nauczyła ją matka.

Ojciec wyśle ją do lepszej, wręcz ekskluzywnej szkoły, prowadzonej przez kwakrów. Chce, żeby córka wyszła na prostą, tymczasem Sinéad woli włóczyć się po klubach muzycznych Dublina i przestawać z punkami, z którymi grywa w pierwszych zespołach. Kiedy zgodzi się wyjąć z nosa kolczyk, który sobie zafundowała, ojciec pozwala jej zostać w mieszkaniu i opłaca czynsz. Na rachunki musi zarobić sama.

Normą jest przedstawianie jej jako skandalistki ze skłonnościami do samodestrukcji, czy wręcz wariatki. Ale z upływem czasu wiele jej wypowiedzi okazało się proroczą i trzeźwą oceną rzeczywistości.

Zanim nagra pierwsze demo i jej kariera muzyczna błyskawicznie przyspieszy, pracuje w pizzerii, gdzie kelnerki dla przyciągnięcia męskiej klienteli stylizują się na francuskie pokojówki albo noszą obcisłe koszulki z pretensjonalnymi hasłami. Nic dziwnego, że gdy sama może decydować, co włożyć na scenę, wybiera skórzaną kurtkę, czarną spódnicę tutu i martensy. I goli głowę.

Niektórzy będą potem kwestionować jej radykalne diagnozy, według których wszystkie problemy na świecie, w tym konflikt w Jugosławii, będzie miał źródło w znęcaniu się nad dziećmi przez opiekunów. Choć to, co mówi, jest zgodne z wypowiedziami psychologów zajmujących się dziecięcą traumą: zarówno szerszy system społeczny, jak i tragiczne wydarzenia na świecie odzwierciedlają to, co dzieje się w systemie rodzinnym.

Uzdrowiona

W tekście dla „The Irish Times" Sinéad pisze, że dorastała bez poczucia własnej wartości, zaufania, szansy na zachowanie intymności, co wciąż wpływa na nią – zarówno produktywnie, jak i destrukcyjnie. „Dlatego nie wystąpiłam w sobotę..." – usprawiedliwia nieobecność na koncercie Peace Together. Wyznaje, że trudno jej być sobą, okazywać uczucia. „Gdybym tylko mogła zwalczyć głosy moich rodziców i bardziej wierzyć w siebie, wtedy byłabym zdolna n a p r a w d ę śpiewać, czego pragnę bardziej niż wszystkiego innego w życiu. Uzdrowienie zawsze było moim jedynym celem. Używałam mojego głosu w różny sposób. To moje życie. Jedyna rzecz, jaką przedkładam nawet nad swego syna".

O publikacji mówi cała Irlandia. Wielu jest zdumionych, inni czują się oburzeni, oskarżają o ekshibicjonizm i egoizm: owszem, każdy czasem czuje się podobnie niezrozumiany, ale nie publikuje w związku z tym całostronicowych reklam w wysokonakładowej gazecie! Słuchacze dzwoniący do programu w RTE Radio 1, którego gościem jest Sinéad, dają upust emocjom. Pewien bezrobotny, który oszczędzał długo na bilet, by zobaczyć ją na żywo, jest wściekły, że młoda kobieta dysponująca takim talentem i pieniędzmi nie może wziąć się w garść chociaż na tyle, by dotrzymać zobowiązań. Inny sugeruje, że wiersz-manifest Sinéad ze wzmianką o tym, że głos jest ważniejszy dla niej od własnego dziecka, i gorzkimi refleksjami na temat rodziny to kolejna forma prowokacji wobec chrześcijan: „Sama przyznałaś, że konsultowałaś się z psychiatrą, a więc to było wcześniej ukartowane. Chodzi o to, żeby obrazić mnie i innych". „Nie zachowujesz się jak chrześcijanin – odparowuje Sinéad. – Chrześcijaństwo oznacza bezwarunkową miłość".

Nawrócona

Na wieść o śmierci Presleya mała Sinéad zanosi się od płaczu. Bardzo kochała Elvisa, ale kocha też Boga. Modli się do niego, a on zsyła jej różne rzeczy. Wkrótce pokocha też Dylana, kiedy usłyszy, jak śpiewa do dziewczyny, że ta nie musi już płakać. Brat zabrania jej dotykać adapteru podczas swojej nieobecności, więc wypatruje w oknie jego powrotu, marząc o chwili, kiedy znów będzie mogła posłuchać „Baby, Stop Crying".

Już w dzieciństwie czyta teksty religijne, szukając prawdy o Bogu. Na pierwszą pielgrzymkę jedzie do Lourdes. Ma obsesję tego miejsca, ze względu na drugie imię – Bernadette – i świętą wodę z tamtejszego sanktuarium, która, jak wierzy, wyleczyła jej kurzajkę na nodze. W chwilach, gdy matka tłucze Sinéad bez opamiętania, małą przychodzi czasem pocieszyć Jezus, czasem Duch Święty.

Biją ją też siostry zakonne. „Po niczym innym nigdy już nie doświadczyłam i prawdopodobnie już nie doświadczę takiej paniki, strachu oraz udręczenia" – powie magazynowi „Rolling Stone"

ANDREW CHIN / GETTY IMAGES

Sinéad O'Connor w Vogue Theatre, Vancouver, Kanada, 1 lutego 2020 r.

o pobycie w azylu prowadzonym przez zakonnice.

W autobiografii wspomina stare, niedołężne kobiety, odizolowane w „nieoficjalnym szpitalu" na ostatnim piętrze domu, gdzie siostry wysyłają uczennice za karę, zabraniając odzywać się do staruszek. I ciężarną koleżankę z pokoju obok, której od razu po urodzeniu odebrano dziecko. Tylko jedna zakonnica jest dobra. Kupuje jej pierwszą gitarę i nuty z muzyką Boba Dylana, w nadziei, że muzyka powstrzyma ją od kradzieży.

Religijne uniesienia od początku przeplatają się z seksem. Dylana nazywa w myślach Mężczyzną z Libanu, który jest czuły i kocha dziewczynki. Chciałaby zasypiać na jego piersi. Jako nastolatka durzy się w mormonach – wędrujący po ulicach Amerykanie próbujący nawrócić Irlandczyków wydają się jej ideałem męskości. Dlatego dziewictwo straci właśnie z Amerykaninem, kelnerem. Kiedy on dowie się, że ma 14 lat, prawie dostanie zawału. Był przekonany, że ma 18, bo tak mu powiedziała i zmylił go ostry makijaż.

Fascynują ją też rastafarianie, potem mówi, że jest chrześcijanką, by publicznie prosić o ekskomunikę. Studiuje teologię, wydaje płytę we współpracy z zakonnikami – śpiewa na niej tradycyjne irlandzkie teksty. W 1999 r. zostaje matką Bernadettą Marią, duchowną Ortodoksyjnego Irlandzkiego Kościoła Katolickiego i Apostolskiego. Islam zostawia sobie na koniec, bo sama miała uprzedzenia wobec tej religii. „Słowo »nawrócenie« odnosi się do idei, że gdybyś studiował Koran, zdałbyś sobie sprawę, że byłeś muzułmaninem całe swoje życie i nie zdawałeś sobie z tego sprawy. To właśnie mi się przydarzyło" – wyzna w programie „The Late Late Show", już jako Shuhada, muzułmanka w hidżabie.

Bezceremonialna

Radykalna szczerość sama w sobie jest samobójcza. Wiedzą o tym wszyscy, którym Sinéad jest bliska z jeszcze jednego powodu: też zmagają się na co dzień z własnym zdrowiem psychicznym albo towarzyszą w tych zmaganiach innym. Świadomi, że nie da się całkowicie ustrzec przed cierpieniem kogoś, kto otwiera się przed obcymi niezależnie od okoliczności, jakby był pozbawiony warstwy ochronnej, a potem z tego samego powodu przeżywa to wszystko w dwójnasób. Tyle że w jej przypadku dzieje się to na oczach całego świata.

Artysta, współczesny odpowiednik błazna, ma co prawda przyzwolenie, by obnażać duszę, lecz gdy robi to za pośrednictwem sztuki, w tekstach utworów, w książkach, ewentualnie w wywiadach, jak w programie Oprah Winfrey z 2007 r., kiedy pierwszy raz opowiedziała o swojej chorobie publicznie. Tymczasem Sinéad, wyrażając bezceremonialnie, co myśli w danym momencie, kontestuje akceptowalne społecznie kanały autoekspresji. I właśnie sposób, w jaki to robi, budzi jednocześnie w obserwatorach ciekawość i irytację podszytą zażenowaniem. Wielu irytuje też bezkompromisowość świętej prowadzonej na stos, z jaką Sinéad wyraża swoje przekonania.

Rozliczne próby samobójcze, otwarte dzielenie się intymnymi aspektami życia w mediach społecznościowych, kontrowersyjne i często sprzeczne wypowiedzi, wreszcie samobójcza śmierć najstarszego syna Shane'a, po którego stracie – jak przyznawała – wciąż nie może dojść do siebie. Przywołując tę codzienność drugiej połowy życia Sinéad w programie po jej śmierci Rogowiecki wyraża między słowami coś, co myślało wielu: niepoważna, niezrównoważona kobieta. Nieprzewidywalna, dziwaczna i na dodatek brzydka – czarownica. Tę młodą, łysą wersję o wielkich, wrażliwych oczach łatwiej było znosić. W rockowym świecie rozliczne wybryki mężczyzn nie budzą aż takich emocji, podobnie jak w starożytnej Grecji, gdy przypisywano je tylko jednej płci, tłumacząc dusznością maciczną wskutek absencji seksualnej – zresztą czyż sama Sinéad nie potwierdziła tego jakąś dekadę temu ogłoszeniem zamieszczonym w internecie, gdzie napisała, że „desperacko poszukuje mężczyzny z powodu głodu seksu"? A krótko potem strofowała piosenkarkę Miley Cyrus za brak skromności na scenie. Wariatka, sama prosząca się o kłopoty.

W podkaście nagranym dla jednej ze stacji radiowych w 2021 r. przy okazji promocji „Wspomnień" powie, że jest jak raperzy, głoszący niewygodną prawdę, ale nawet oni nie chcą, by dziewczyny były sobą, ona zaś, w odróżnieniu od nich, wyraża wszystko poprzez siebie. „Nikt nie chce kobiecego gniewu. Nikt nie chce, żeby kobiety rządziły światem".

Szczęśliwa

Dla prasy była łakomym kąskiem na długo przed pojawieniem się plotkarskich portali. Normą jest przedstawianie jej jako skandalistki, ekscentryczki ↦

↦ ze skłonnościami do samodestrukcji, czy wręcz wariatki. Choć w miarę upływu czasu wiele jej wypowiedzi, odrzucanych jako zbyt radykalne, okazało się proroczą i nader trzeźwą oceną rzeczywistości.

Bywają wyjątki. Brytyjski magazyn „The Gentlewoman", będący odtrutką na miałkość większości „pism kobiecych", w 2012 r. zamieszcza tekst oparty na rozmowie, jaką z Sinéad przeprowadza dziennikarka Sheryl Garratt. „Są bardzo ze mnie zadowoleni, bo nadaję się do gazet, jestem barwną postacią" – mówi Sinéad o dziennikarzach. Pozuje do zdjęć ilustrujących tekst w strojach od Margieli, opowiada o tym, jak córka próbuje przekonać ją do noszenia szpilek i jak czuła się, występując na czerwonym dywanie podczas amerykańskiej premiery filmu „Albert Nobbs", do którego napisała piosenkę. „Można mnie lubić lub nie, ale przynajmniej nie jestem sztuczna – opowiada. – To jedyna rzecz, której nie da się mi zarzucić. A dla wokalistki to rzecz kluczowa. Uczę śpiewu nastolatków i zawsze powtarzam im, że to pierwsza lekcja, którą muszą sobie przyswoić. Pieśniarze, których kochamy, to ci, których rozpoznajemy od razu, gdy tylko otworzą usta, od pierwszej wyśpiewanej sylaby, bo są w stu procentach sobą".

Choć opowiada, jak po wieloletniej terapii wreszcie znalazła odpowiedniego specjalistę, zajmującego się traumami dzieciństwa, i twierdzi, że zmieniło to jej życie, dorzuca też mądrości jakby żywcem wzięte z poradników poppsychologii, o tym, że szczęście jest stanem przyrodzonym każdemu i że każdego dnia, wstając rano, można wybrać, czy chce się czuć źle, czy dobrze. „Kiedy mówiono mi to w młodości, myślałam, że jest wiele spraw, z powodu których mogę się smucić. Ale teraz myślę inaczej".

I może w tym miejscu postawmy kropkę, mając nadzieję, że chociaż chwilowo bywała dzięki temu nastawieniu naprawdę szczęśliwa.

© BEATA CHOMĄTOWSKA

Korzystałam z wypowiedzi Sinéad O'Connor zamieszczonych w „The Irish Times", „The Gentlewoman" i „The Guardian" (tłumaczenia własne) oraz z jej autobiografii „Wspomnienia" (Wydawnictwo Agora, 2021, tłum. Katarzyna Mojkowska).

Demonologia stosowana

MIKOŁAJ KOŁYSZKO, RELIGIOZNAWCA:

Według czeskich badaczy jeszcze w latach międzywojennych w okolicach Rabki powtarzane były opowieści tamtejszych pasterzy o smokach, które zjadają ich owce i rozszarpują wilki.

MONIKA OCHĘDOWSKA: Słuchaj, szukam starych ksiąg o magii.

MIKOŁAJ KOŁYSZKO: Nie ma sprawy, mam ich dużo w swojej bibliotece – często podczas pracy nad powieściami pytają mnie o nie znajomi pisarze, na przykład Marek Krajewski.

Wiadomo, kto jest ich autorem?

Różnie z tym bywa. Czasami księgi były tworzone pod pseudonimami, innym razem ich autorstwo przypisywano wielkim postaciom, które niemal na pewno za nimi stoją, jak Mojżesz czy król Salomon. Często były kopiowane, wielokrotnie je przepisywano albo tłumaczono na przeróżne języki, stąd poszczególne egzemplarze mogą się różnić.

Część z nich przypisuje się uniwersyteckim medykom i alchemikom, np. urodzonemu w Kolonii pod koniec XV w. Henrykowi Korneliuszowi Agryppie, którego niektórzy uważają za pierwowzór Fausta z dramatu Goethego.

Można powiedzieć, że istnieje – przez samych magów traktowany dość swobodnie – pewien kanon, który dotrwał do naszych czasów.

Co się składa na taki kanon?

Zależy, kogo spytasz. Niektórzy odwołują się do Większego i Mniejszego Klucza Salomona, dzieł Agryppy (ze szczególnym uwzględnieniem jego „Okultnej filozofii"), „Wysokiej magii" Eliphasa Léviego, dzieł Johna Dee itd. Choć trzeba zaznaczyć, że są i tacy, dla których wszystkie te księgi nie mają żadnej wartości.

Ale jeśli mogę coś zasugerować na początek, najlepszy literacki opis magii ludowej znajdziesz w „Starej Słaboniowej i Spiekładuchach" Joanny Łańcuckiej. Jeśli natomiast chciałabyś zobaczyć rekonstrukcje demonologii słowiańskiej wymieszanej chociażby z teoriami spiskowymi, w dość zabawny sposób prezentuje je krakowska ilustratorka Unka Odya w serii komiksowej „Brom" – jestem jej wielkim fanem. Przedstawia m.in. życie gdańskich wiedźm, albo powszechne zmagania z wilkołakami i strzygami. Czekam tylko, aż w serii pojawią się smoki z Rabki.

Masz na myśli Rabkę-Zdrój?

Tak. Według czeskich badaczy kryptyd w polskim Beskidzie jeszcze w latach międzywojennych powtarzane

ARCHIWUM BIBLIOTEKI NARODOWEJ / DOMENA PUBLICZNA

Marcin Siennik (zmarł ok. 1588 r.) „Herbarz, to jest zioł tutecznych, postronnych y zamorskich opisanie (...) przydano Alexego Pendemontana księgi ośmiory o taiemnych a skrytych lekarstwiech". Kraków, 1568 r.

były opowieści tamtejszych pasterzy, którzy relacjonowali, co im zjada owce, a nawet rozszarpuje wilki w lasach. Według przekazanych relacji, pasterze byli pewni, że wszystko to sprawka smoków. Tyle że te z Rabki miały chodzić na tylnych łapach i wyglądały trochę jak welociraptory. I właśnie Unka Odya wygłosiła na temat tych i innych kryptyd genialny wykład na krakowskim festiwalu grozy.

Czyli mieliśmy jeszcze niedawno w Małopolsce dinozaury?

Według mnie możliwości są dwie. Albo Czesi całą tę historię zmyślili (czego nie da się wykluczyć, bo czołowy czeski badacz tego typu tajemnic, Arnošt Vašíček, miesza wiele faktów z historii i geografii naszego Beskidu), a myśmy to łyknęli, albo na przełomie XIX i XX w. dotarła do okolicznych mieszkańców – w nieco zwulgaryzowanej formie – informacja o najnowszych odkryciach paleontologicznych, wykopaliskach, w których znaleziono kości prastarych gadów. W ten sposób rabczańscy pasterze sobie opowieść o dinozaurach zaadoptowali do swoich starszych legend o smokach, a potem zaczęli raptory nawet spotykać... Znasz taką dziedzinę jak kryptozoologia, prawda?

Zajmuje się zwierzętami znanymi wyłącznie z podań i legend albo relacji świadków.

Mnóstwo ludzi je widzi, choć niekoniecznie istnieją.

Dlaczego je spotykamy?

W czasie wspomnianego festiwalu Unka Odya opisywała, jak w połowie lat 70. w naszym kraju pojawiały się bardzo dziwne zwierzęta. W Sulejowie np. w stosunkowo niewielkich akwenach widziano wielkie, groźne ryby z zębami.

Kiedy dokładnie?

Wygląda na to, że krótko po tym, jak w kinach pojawiły się „Szczęki"...

Spróbujmy spojrzeć na to zjawisko z innej strony. Mamy właśnie na ekranach najnowsze dzieło Christophera Nolana, będące historią „ojca" bomby atomowej, Roberta Oppenheimera. Tymczasem w latach 50. przez amerykańskie kina przewinęła się seria filmów o gigantycznych robakach. Te mutanty – jak wyjaśniał kiedyś w swoim eseju Stephen King – symbolizowały lęki związane z dokonywanymi wówczas w Nowym Meksyku czy na Pacyfiku testami nuklearnymi. Myślisz, że czeka nas powrót tego nurtu i będziemy się znowu straszyć robalami?

Być może, ale z pewnością w innej formie, bo te robale będą już odbiciem innych lęków. Spójrz na potwory, które od dłuższego czasu pojawiają się w nowych fabułach i popularnych serialach postapo, czyli takich, które opowiadają nam świat po apokalipsie. Są szalenie modne, nie bez powodu. Stoimy przed gigantycznym kryzysem klimatycznym, który sprawi, że dostęp do zasobów – świeżej wody, powietrza, miejsc nieobjętych pożarami – będzie coraz bardziej kłopotliwy. To może powodować konflikty zbrojne, które jeszcze bardziej utrudnią nam przetrwanie. Produkcje takie jak „The Last of Us" Craiga Mazina i Neila Druckmanna albo nawet nasza polska „Apokawixa" Xawerego Żuławskiego – gdzie za zło i kryzys odpowiada klasa najbogatszych i najbardziej uprzywilejowanych – odpowiadają tym lękom i przygotowują nas na tę rzeczywistość.

Przygotowują? W jaki sposób?

Bohaterowie tych filmów i seriali walczą przeciwko całym chmarom potworów albo zombie. Kryje się w tym coś przerażającego – niekoniecznie w samych potworach, tylko w bohaterach, z którymi się utożsamiamy. Otóż moment, w którym zaczyna brakować zasobów, wyzwala w ludziach zło, które jesteśmy w stanie, jako widzowie, zaakceptować, jeśli tylko je sobie odpowiednio uzasadnimy. Jak to zrobić? Dehumanizując innych, którym przypisujemy winę za kryzys. To bardzo stary motyw, który ciągle się powtarza – poszukiwanie kozła ofiarnego. Usprawiedliwia przemoc, która w sytuacji zagrożenia życia wydaje nam się konieczna.

Ale lęki epoki mogą być przedstawiane w inny sposób. Od dwóch dekad niezwykłą popularnością cieszą się także filmy o opętaniach i ten trend może zostać w najbliższej przyszłości wzmocniony.

Dlaczego? Są jakieś szczególne momenty, gdy pojawiają się „epidemie opętań"?

Tak, to momenty, kiedy społeczność spotyka się z gigantyczną przemocą, np. wojną. Albo takie, gdy dochodzi do gwałtownych zmian kulturowych, na które nie jesteśmy przygotowani. Kiedy następuje kryzys wartości i nie wiemy, w jaki sposób się odnieść do tych rzeczy, głupiejemy. Opowieść o opętaniu i cały związany z nim rytuał staje się dla społeczności przedstawieniem, w którym pojawia się pierwotna opowieść o walce dobra ze złem. To, co zburzyło zastany ład społeczny, jest „złe", a to, co chce jego zachowania, to właśnie „dobro". Ten mit pozwala wyskoczyć z chaosu otaczającego świata i skupić się z powrotem na podstawowych wartościach. Jeśli jesteśmy podatni na tego typu wizję rzeczywistości, to taka opowieść w pewien sposób zatrzymuje „krzywdę". ↦

↦ **Jaką krzywdę masz na myśli?**

Żyjemy w świecie dość gwałtownych przemian, także tych dotyczących związków, relacji międzyludzkich, seksualności – to wszystko może budzić niepokój. Do tego całkiem niedawno mieliśmy kryzys gospodarczy, który pełzał sobie do roku 2011. Wtedy pojawiło się sporo historii związanych z opętaniami, a egzorcyści zaczęli się stawać celebrytami. Dzisiaj znów młodzi ludzie mają problemy z uniezależnieniem się od rodziców, niełatwo o własne mieszkanie, ceny rosną, a przyszłość nie rysuje się w jasnych barwach. Tego typu niestabilności będą się ujawniać właśnie jako historie o opętaniach oraz mitycznym „złym", który rujnuje nam świat.

Jak w ogóle powstają opowieści, którymi się straszymy?

Struktura dobrych opowieści grozy ma, wbrew pozorom, wiele wspólnego z opowieściami sakralnymi. Najważniejsza różnica między nimi jest taka, że opowieści sakralne trwale nas kształtują, a opowieści grozy zazwyczaj nie mają takich ambicji.

Wyjaśnij.

Zacznijmy od tego, że to, co święte, i to, co przeklęte, jest do siebie bardzo podobne, a przedmiot święty nosi znamiona czegoś przeklętego. Nie można się do niego zbliżyć i wejść w jego posiadanie, nie będąc odpowiednio przygotowanym. Jeśli złamiemy tę zasadę, poniesiemy ciężkie konsekwencje...

Potwierdzą wszyscy, którzy oglądali przygody Indiany Jonesa.

W opowieściach, które towarzyszą życiu religijnemu, musi pojawić się tajemnica i coś, co nas w niej przeraża. Jednocześnie, jeśli mamy do czynienia z *sacrum*, także nie można się do niego zbliżyć bez uprzedniego przygotowania. Nie powinno się przyjmować komunii świętej bez spowiedzi, do tabernakulum w czasie mszy może podejść jedynie ksiądz itd.

W Starym Testamencie znajdziemy opowieść o Uzzie (2 Sm 6, 5-8) tańczącym wokół Arki Przymierza, która się nagle chwieje i nieomal spada. Uzza ją łapie, nie ma przy tym złych intencji, ale nie jest tym, który powinien jej dotykać, więc umiera tak nagle, jakby walnął w niego piorun. Arka jest święta, ale bywała przecież prowadzona przeciwko wrogom. Zarówno dla nich, jak i dla tych, którzy nie potrafili się z nią obchodzić, stawała się praktycznie przeklęta.

Kryptydy to zwierzęta, których istnienia nie udało się dowieść, ale istnieją w świadomości zbiorowej. Nierzadko wzmianki o nich znajdujemy w dawnych pracach dotyczących fauny i flory.

ARCHIWUM BIBLIOTEKI NARODOWEJ / DOMENA PUBLICZNA X2

Od góry: kryptyda na ilustracji z XVI-wiecznego „Herbarza" Marcina Siennika, który opisuje, jak ratować człowieka pogryzionego przez jadowitego „smoka morskiego".

Niżej: Przedstawienie zająca morskiego, z którego można było rzekomo przygotować szereg cudownych lekarstw.

Kiedy towarzysz wyprawy zdradza Jonesa i próbuje uciec ze skarbem, ginie wpadając w pułapkę.

Tak, w jego przygodach skarb, który trafia w niepowołane ręce, oczywiście także przynosi zgubę.

No dobrze, ale co to ma wspólnego z opowieściami grozy?

Bardzo dużo. Motyw przedmiotu lub przestrzeni świętej *versus* przeklętej wciąż się w nich przewija. Weźmy film „Piątek, trzynastego" z 1980 r., klasyczny *slasher*. Mamy obóz nad jeziorem Crystal Lake, który jest trochę przeklęty, bo dawno temu utonął tu chłopiec, a potem tragicznie zginęła dwójka opiekunów. Od tamtego czasu obóz zamknięto i wszyscy, w tym szczególnie jacyś szaleni miejscowi, ostrzegają nowo przybyłą młodzież, żeby tam nie szła, bo nad Crystal Lake czai się zło. Oczywiście ci młodzi ich wyśmiewają, że to wariaci, ale wariaci żyją na pograniczu świata duchowego i materialnego, więc mają wgląd do innej rzeczywistości. Idąc w to miejsce, bohaterowie nie są przygotowani na spotkanie ze złem i dlatego kończą tragicznie.

Osoba, która się będzie w stanie z tego wyzwolić, ocalić z całego tego horroru, to ta, która nie podda się pewnego rodzaju pokusom. Jakim? Społeczeństwo amerykańskie jest np. bardzo purytańskie, więc oczywiście jeśli ktoś uprawia przedmałżeński seks, to najczęściej w takim filmie zginie.

I o co tu chodzi? Boimy się dotknąć zła w sobie?

Oczywiście. Najsilniejsze i najlepsze horrory, opowieści o zombie czy seriale postapo to te, w których twórcy dotykają jakiegoś tabu. Mówiłem już o tym, że powieści postapo ukrywają prawdziwą grozę życia pod postacią nawalanki z zombie. Ta walka zastępuje prawdziwą, bezwzględną walkę o zasoby z ludźmi takimi jak my. Nawet jeśli ta walka przedstawiana jest wprost, niemal nigdy nie pojawi się na pierwszym planie historii. Widzimy to np. w serialu

JACEK TARAN

„The Walking Dead", zrobionym na podstawie komiksu, gdzie głównym motywem jest walka z zombie, ale wybory moralne w świecie ograniczonych zasobów pojawiały się przecież w każdym sezonie...

Wybory moralne to też częsty motyw w grach.

Wraz z Beniaminem Muszyńskim pisałem kiedyś powieść paragrafową na podstawie gry „Frostpunk". Wszystko, o czym opowiada ta gra, stanowi tak naprawdę opis naszych największych lęków dotyczących nadciągającej przyszłości – ale znów, potraktowane jako tabu, ukryte w zestawie symboli z gatunku steampunk, czyli czegoś, co w XIX w. mogłoby uchodzić za *science fiction*. Świat niezwykle skomplikowanych technologii, tyle że z węgla i stali. W tym właśnie świecie dochodzi do katastrofy klimatycznej, tym razem nie przegrzania, lecz zlodowacenia planety. Ludzie gromadzą się na północy, ponieważ tam pozostały jeszcze pewne zasoby węgla, budują wielkie generatory i próbują przetrwać, a zadaniem gracza jest stworzenie i zorganizowanie społeczności, która po prostu... nie umrze.

Znów opowieść ku przestrodze. Zupełnie jak „Demonomachia" Marka Krajewskiego, która powstała m.in. w oparciu o Twoje księgi czarów.

Marek Krajewski rzeczywiście pisząc tę powieść odwiedził mnie we Wróblowicach, gdzie mieszkam. Bardzo mu się także spodobał dość mroczny lasek, przez który przyjeżdża się po drodze. Jest tam nawet mały XIX-wieczny kościółek, więc mamy zarówno element grozy, jak i motyw sakralny – idealnie! Tu właśnie została osadzona jedna z finalnych scen jego powieści.

Trudno trafić na taki obiekt?

Jak odpowiednio długo pogrzebiesz w historii jakiegoś miejsca, zawsze trafisz na informacje, które mogą się stać kanwą najbardziej niesamowitej historii. Co więcej, wciąż powstają nowe mity i miejskie legendy. W ostatnich latach parokrotnie słyszałem od członków kilku grup ezoterycznych, które medytowały na kopcu Kraka, że doświadczali wizji, w których widzieli dość niepokojących ludzi w kapturach. Myślę sobie, że to nic dziwnego, bo niedaleko jest prawdopodobnie najstarszy kościół, który znajduje się na terenie Krakowa, w okolicy znaleziono niegdyś tajemnicze groby... No cóż, ale to już zupełnie inna historia.

©℗ Rozmawiała MONIKA OCHĘDOWSKA

MIKOŁAJ KOŁYSZKO jest religioznawcą, twórcą gier paragrafowych, autorem podkastów, researcherem. Napisał książkę „Groza jest święta", wydał grę „Dziady, część V. Dziady, które nie spieprzają", opartą na prawdziwym polsko-litewskim folklorze i ludowej demonologii, stworzył serię gamebookową „Tajemne oblicze świata". W serwisie Empik Go dostępna jest jego najnowsza seria podkastowa „Egzorcyzmy. Przerażająca historia Anneliese Michel".

Wszystkie drogi do Werony

DOROTA KOZIŃSKA

Kiedyś tłumy przychodziły tu na gladiatorów, bitwy morskie i dzikie zwierzęta. Teraz – na najwybitniejszych artystów operowych epoki. O ile nie pada.

W 1925 r. trzej młodzi pretensjonalni Anglicy wsiedli w samochód i ruszyli w podróż opisaną później przez Roberta Byrona – jednego z jej uczestników – w książce „Europa w zwierciadle". Gdyby Davidowi nie pomyliły się daty, chłopcy przez dłuższy czas zadawaliby szyku w Salzburgu – na festiwalu muzyczno-teatralnym, reaktywowanym po Wielkiej Wojnie przez kompozytora Richarda Straussa, dramaturga Hugona von Hofmannsthala, reżysera Maksa Reinhardta, scenografa Alfreda Rollera i dyrygenta Franza Schalka.

Dotarli jednak na miejsce prawie tydzień za wcześnie i wywieźli z Salzburga jak najgorsze wspomnienia: pewnie ze złości, że nie podzielą się wrażeniami z imprezy, na którą szykowała się cała ówczesna „modna inteligencja". Sfrustrowani, postanowili czym prędzej przedostać się do Italii. Jednym z pierwszych przystanków na ich włoskiej trasie była Werona – od 1913 r. kusząca przyjezdnych nową atrakcją, która trzem młodym panom w automobilu powetowała wszelkie doznane krzywdy.

W środku miasta

Festiwal Arena di Verona został zainaugurowany w setną rocznicę urodzin Giuseppe Verdiego przez werońskiego tenora Giovanniego Zenatella. Jego nazwisko wciąż porusza najczulsze struny w sercach rozkochanych w operze Włochów – co w pełni zrozumiałe, bo Zenatello był artystą wielkiego formatu. Przełomem w jego karierze okazał się rok 1908, w którym po raz pierwszy wystąpił jako tytułowy Otello w operze Verdiego. Z biegiem lat wcielił się w postać zazdrosnego Maura ponad trzysta razy. Wielbiony przez tłumy, stawiany w jednym szeregu z „boskim" Enrikiem Caruso, w 1913 r. był u szczytu sławy i możliwości wokalnych. I zdążył zgromadzić potężny majątek, którego – w przeciwieństwie do wielu kolegów po fachu – nie zamierzał roztrwonić. Postanowił zainwestować fundusze w organizację przedsięwzięcia, które nie tylko przysporzy mu chwały, ale i na dobre wpisze się w historię malowniczego miasta.

Historię, jakoby Zenatello sam odkrył niezwykłe walory akustyczne rzymskiego amfiteatru w centrum Werony, zwanego potocznie Areną, można włożyć między bajki. W czasach Imperium konstrukcję tych potężnych centrów rozrywki udoskonalono do poziomu przerastającego wyobrażenia wielu dzisiejszych architektów. Głos niósł się w nich równie dobrze, jak w greckich teatrach, co miało znaczenie również z uwagi na bogatą oprawę muzyczną ówczesnych widowisk. Obiekty, których głównym przeznaczeniem było organizowanie walk gladiatorów, inscenizowanych bitew morskich i polowań na dzikie zwierzęta, były budowane w Italii setkami.

Na piasku

Arena była trzecia co do wielkości po słynnym Koloseum w Rzymie i wzniesionym w epoce augustiańskiej amfiteatrze w Kapui. Powstała najprawdopodobniej w latach 30. I w. n.e., za panowania Tyberiusza. Konstrukcję nośną obiektu wykonano z kamieni związanych betonową zaprawą, ściany zewnętrzne – z cegieł i różowego wapienia z Valpolicelli. Trójkondygnacyjny pierścień zewnętrzny murów runął podczas trzęsienia ziemi w XII w.: gdyby nie to, Arena di Verona robiłaby dziś niewiele mniej spektakularne wrażenie niż późniejsze o kilkadziesiąt lat Koloseum.

Amfiteatr mógł pomieścić około 30 tys. widzów, którzy zjeżdżali na tutejsze widowiska z całej okolicy, po czym wpadali do środka hurmem, przez kilkadziesiąt wejść prowadzących bezpośrednio na półkolistą widownię. Nie bez przyczyny nazywano te wejścia womitoriami: wylewający się z nich tłum przywoływał obrazowe skojarzenia z buchającą z ust treścią żołądkową. W razie ulewy nadmiar deszczówki trafiał do sieci kanałów odpływowych, wykonanych ze sklejonych zaprawą cegieł i kamieni. Olbrzymią arenę wewnętrzną pokrywała gruba warstwa piasku chłonącego krew i ekskrementy.

Po upadku Cesarstwa Rzymskiego werońska Arena nie podzieliła losu wielu innych amfiteatrów w Italii, traktowanych jako nieprzebrane źródło budulca do wznoszenia fortec, kościołów i innych założeń architektonicznych. Rabunkową gospodarkę materiałami budowlanymi ukrócono już w średniowieczu, przywracając Arenie funkcję czegoś w rodzaju gigantycznego placu miejskiego, na którym organizowano wszelkie masowe widowiska publiczne, począwszy od pokazowych egzekucji heretyków, skończywszy na występach kuglarzy, akrobatów i aktorów commedii dell'arte.

Na przełomie XVIII i XIX w. amfiteatr stał się celem wyrafinowanych poszukiwaczy wzniosłości i malowniczości – o ile nie trafili akurat na urządzane z upodobaniem przez miejscowych walki psów i zawody w szczuciu potężnych mastyfów na byki.

Znowu bójki

Zanim Zenatello wpadł na pomysł uroczystych obchodów stulecia urodzin

TONI ANZENBERGER / ANZENBERGER / FORUM

„Aida" Giuseppe Verdiego w teatrze Verona Arena, czerwiec 2018 r.

Verdiego, Arena bywała miejscem prywatnych koncertów i przedstawień operowych. Tym razem jednak chodziło o coś więcej. Śpiewak złączył siły z rzutkim impresariem Ottonem Rovato i nawiązał współpracę z najwybitniejszymi artystami operowymi epoki. W wymarzonej przez siebie inscenizacji „Aidy" pod otwartym niebem amfiteatru sam wystąpił jako Radames, do roli tytułowej zaangażował Ester Mazzoleni, gwiazdę weneckiej La Fenice, partię Amneris powierzył swej hiszpańskiej żonie Marii Gay, za pulpitem dyrygenckim postawił Tullia Serafina, ówczesnego dyrektora muzycznego La Scali. Takich tłumów na widowni Areny nie widziano od czasów dynastii julijsko-klaudyjskiej. Amfiteatr zapełnił się do ostatniego miejsca. Przy womitoriach wybuchały bójki jak przed decydującym starciem gladiatorskich celebrytów. Gdzieś w tej ciżbie zaplątał się nawet Franz Kafka.

Rok później organizatorzy zdyskontowali sukces plenerowym przedstawieniem „Carmen". A potem wybuchła wojna. Ale i to nie ostudziło zapału pomysłodawców festiwalu, który powrócił na Arenę już w 1919 r, inscenizacją zapomnianej dziś opery Ponchiellego „Syn marnotrawny". Angielscy automobiliści dotarli w 1925 r. na „Mojżesza w Egipcie" Rossiniego, o którym Robert Byron pisał później: „Przedstawienie trwało od dziewiątej wieczór do pierwszej w nocy. Włosi bardzo poważnie traktują swoich kompozytorów narodowych. W trzecim akcie (...) śpiewak w pierwszoplanowej partii tenorowej wyciął koguta, co widownia skwitowała oburzonym, pełnym dezaprobaty pomrukiem. Ostatnia scena wypadła jednak wspaniale".

Jedenaście lat później festiwal przeszedł pod zarząd stałej instytucji pod nazwą L'Ente Autonomo Spettacoli Lirici Arena di Verona. Przez ponad stulecie istnienia doczekał się w sumie 63 inscenizacji „Aidy", 28 wystawień „Carmen" Bizeta i 26 produkcji „Nabucca" Verdiego. Organizatorzy celują w oczekiwania bywalców, którzy chcą oglądać na Arenie tylko te opery, które na dobre zrosły się z historią werońskiego festiwalu.

Jubileusz

W Weronie naprawdę trudno walczyć z tradycją. Melomani do dziś ostrzegają w internecie, żeby nie ruszać się z miejsca w przerwie spektaklu, bo nie wiadomo, czy zdąży się wrócić i kogo się zastanie na swoim krześle. W latach 80. firma cukiernicza Vicenzi wskrzesiła dawny zwyczaj wnoszenia świeczek na widownię: rozdaje je przy wejściu za darmo, z prośbą o zapalenie tysięcy światełek tuż przed rozpoczęciem spektaklu.

Mimo rozpisania i rozstrzygnięcia w 2016 r. konkursu na stylowe zadaszenie amfiteatru burmistrz miasta i urzędnicy Ministero della Cultura zgodnie zaskarżyli i zablokowali inwestycję. Ryzyko odwołania spektaklu z powodu deszczu pozostanie więc jednym z uświęconych tradycją elementów festiwalu: dlatego dyrygenci rozpoczynają przedstawienia punktualnie i w razie niekorzystnej prognozy narzucają muzykom zawrotne tempa, żeby dograć partyturę do miejsca, od którego organizatorzy gwarantują muzykom wypłatę umówionej gaży.

W tym roku Arena di Verona świętuje okrągły jubileusz z setką w tytule. Nie chodzi jednak o stulecie imprezy, tylko o setną odsłonę. Od 1913 r. amfiteatr pogrążył się w ciszy trzykrotnie – podczas obydwu wojen światowych i w pierwszym roku pandemii. Teraz nadrabia zaległości: w programie tegorocznego festiwalu, który rozpoczął się w połowie czerwca i potrwa prawie trzy miesiące, uwzględniono aż osiem przedstawień operowych, w tym kolejną inscenizację „Aidy". W obsadach spektakli znów nie zabrakło solistów z Polski. W minionych sezonach rodacy pielgrzymowali do Werony, żeby usłyszeć Ewę Płonkę, Mariusza Kwietnia i Krzysztofa Bączyka. W 2023 r. musieliby zjechać nad Adygę na całe lato, żeby oklaskiwać Aleksandrę Kurzak jako Toscę i Madamę Butterfly w operach Pucciniego; Artura Rucińskiego w partii Germonta w Verdiowskiej „Traviacie", ostatniej inscenizacji zmarłego przed czterema laty Franca Zeffirellego; oraz Piotra Beczałę, debiutującego na festiwalu, za to od razu w dwóch rolach: Don Joségo w „Carmen" i Księcia w „Rigoletcie" Verdiego.

Polskim weteranem z największym dorobkiem w amfiteatrze na Piazza Bra wciąż jednak pozostaje bas Rafał Siwek, który spędzi dziewiąty już sezon w Weronie, śpiewając Ramfisa w jubileuszowej produkcji „Aidy" oraz Zachariasza we wznowionej inscenizacji „Nabucca" sprzed siedmiu lat. Siwek kocha to miejsce, jak widać z wzajemnością. Ma przy tym dość dystansu i poczucia humoru, by z rozrzewnieniem wspominać swoje festiwalowe początki, gdy jako solista występujący w kolejnej obsadzie wychodził na scenę bez choćby jednej próby z orkiestrą i po krótkiej próbie sytuacyjnej, w której żywych partnerów scenicznych zastępowały mu rozstawione po sali taborety.

Organizatorzy wiedzą swoje. Po co marnować czas na długie przygotowania, skoro i tak może się skończyć jak w 1925 r., kiedy „nadejście prawdziwej burzy z piorunami w scenie gniewu Faraona przyczyniło się do efektu dramatycznego, który być może więcej się nie powtórzy"? Byle tylko zbyt mocno nie padało. ©

Widmo czasu wolnego

ANITA PIOTROWSKA

Współczesnej pladze pracoholizmu, czy „pracy bez sensu", towarzyszy wielka społeczna zmiana, którą przyniesie dość powszechne nicnierobienie.

Hitler – ten dopiero umiał zmotywować pracowników, nawet tych ubranych w pasiaki. Podobnych „złotych myśli" znajdziemy w nowym dokumencie Erika Gandiniego całkiem sporo, niekoniecznie w tonie ironicznym. „Świat po pracy" to bowiem rozpisany na głosy filmowy esej, w którym rozlegle, czasem prowokacyjnie i zarazem dość hasłowo przedstawia się rozmaite aspekty zawartej w tytule aktywności ludzkiej.

Wedle cytowanego powyżej wysokiego rangą urzędnika z Instytutu Gallupa na świecie zaledwie 15 procent spośród zatrudnionych na stałe wykonuje swoją pracę z emocjonalnym zaangażowaniem. Oznacza to, że lwia część nie odczuwa żadnej satysfakcji z tego, co robi, by zarobić na życie. W najlepszym razie pozostaje obojętna, w najgorszym – głęboko sfrustrowana, a nawet wściekła, przy okazji sabotując wysiłki entuzjastyczniej nastawionych kolegów. Ale czy może być inaczej? Przed nami kalejdoskop robót i zawodów uprawianych z różnych powodów, w różnych częściach świata, o zróżnicowanej stabilności. Pojawia się więc patologicznie zarobiony amerykański biznesmen, który traktuje płatny urlop niczym zło niekonieczne, i Koreańczyk w zaawansowanym wieku, właściwie nieznający życia poza swoim biurem. Jest też młoda kurierka z Amazona, która korporacyjnym językiem mówi o swojej „misji", choć mimo wszystko stara się bronić osobistej godności i rezygnuje z podręcznej butelki do sikania, używanej dla zwiększenia efektywności. Obywatele Kuwejtu z kolei, choć konstytucyjnie mają zapewnione prawo do pracy, w praktyce okazuje się ona fikcją – „oceanem wolnego czasu" wypełnianym Netfliksem oraz innego rodzaju konsumpcją.

Z drugiej strony mamy dzisiejszych półniewolników, którzy za przysłowiową miskę ryżu wykonują najgorsze, najbardziej degradujące prace typu codzienne sortowanie ton śmieci przy niekończącym się taśmociągu. W najbiedniejszych częściach świata czy w przypadku najniżej płatnych zajęć nic nie ostało się z robotniczego etosu – opowiadał nam o tym kiedyś Michael Glawogger w głośnym dokumencie, „Śmierć człowieka pracy" (2005). Tylko co się stanie z tymi wszystkimi żywymi robotami, dopytuje Gandini, gdy pewnego dnia zastąpią je maszyny?

„Dużo gorzej być zbędnym niż wyzyskiwanym" – twierdzi w filmie historyk i filozof Yuval Harari. Wiadomo, że bezwarunkowy dochód gwarantowany nie przyniesie eksplozji kreatywności, nieustających wakacji ani egzystencjalnego spełnienia przy grillu. Jako przykład skrajnego zgnuśnienia reżyser przywołuje zwykłych młodych Włochów przebywających na dobrowolnym i bezterminowym bezrobociu, zabijających czas na sponsorowanej przez rodziców zabawie. A dla kontrastu, w gruncie rzeczy pozornego, filmuje wiodącą ziemiański żywot włoską milionerkę, która mając wielki dom, hobby, ogród jakoś nigdy się nie nudzi. Albo zawodowego ogrodnika z uprzywilejowanej rodziny, który tak bardzo kocha swoją pracę na łonie natury, że przedkłada ją ponad *dolce far niente*. Oczywiście, można z tak tendencyjnym doborem bohaterów polemizować, ów dokument stanowi jednak bardziej zaproszenie do dyskusji niż akademicką debatę spod znaku „rola pracy w życiu człowieka".

Bo nie może tu być miejsca na zbyt duże uogólnienia. Jako się rzekło, dla licznych mieszkańców naszego globu praca bywa przykrą koniecznością czy wręcz przekleństwem, dla innych chorobliwym uzależnieniem, aczkolwiek znajdą się i tacy, dla których zawodowa aktywność jest istotą samorozwoju, rozumianego w tym przypadku na serio, bez rekrutacyjnej ściemy. Toteż czas, który nadejdzie „po pracy", jednym przyniesie zwiększony dobrostan w życiu osobistym i rodzinnym, drugich zaś może pozbawić głęboko rozumianej tożsamości i celu istnienia. Owe truizmy sięgają

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego". Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
www.radiokrakow.pl

MATERIAŁY PRASOWE

ŚWIAT PO PRACY
(After Work)
– reż. Erik Gandini.
Prod. Szwecja/
/Włochy/Dania 2023.
Dystryb.
Against Gravity.
W kinach
od 4 sierpnia.

Erik Gandini
(ur. 1967)
to uznany filmowiec
i wykładowca,
pochodzi z Włoch, lecz
od lat żyje i pracuje
głównie w Szwecji.
Ma na koncie wiele
zaangażowanych
dokumentów, jak
„Nadprodukcja. Terror
konsumpcji”, „GITMO.
Nowe prawa wojny”
czy „Wideokracja”.
Szczególny rozgłos
przyniosła mu
„Szwedzka teoria
miłości” (2015)
– krytyczny obraz
relacji międzyludzkich
w jego kraju.

czasów Arystotelesa, o czym informuje nas motto filmu, wszelako dzisiaj, zauważa Gandini, znaleźliśmy się w istnej pułapce. Protestancka etyka pracy, będąca ideowym fundamentem zachodniego kapitalizmu, została przejęta przez motywacyjną gadkę. Praca odbiera nam już nie tylko czas, ale i umiejętność cieszenia się czasem wolnym – choć przecież do pewnego stopnia sami sobie to robimy. Aż dziwne, że szwedzki dokumentalista nie przywołuje tutaj Byung-Chul Hana z jego teorią samowyzysku i „społeczeństwa zmęczenia”.

Gandini zdaje sobie sprawę, że ów „świat po pracy”, rozumiany jako eksperyment ekonomiczny, zbiorowe samopoczucie tudzież indywidualny stan umysłu, to ciągle wielka niewiadoma. Dlatego nie stara się snuć przepowiedni ani zbytnio ryć naszych mózgów. Raczej ślizga się po tematach bądź przeskakuje z jednego na drugi, niemniej robi to efektownie, chwilami wręcz efekciarsko. Jego kontrowersyjni rozmówcy, typu Noam Chomsky i Elon Musk, nie mówią tak naprawdę nic kontrowersyjnego. Wiadomo, że technologia nas wszystkich nie wyzwoli, i że dziedzic fortuny zajęty jej pomnażaniem zawsze będzie utyskiwał na powszechny dochód bazowy jako przykład rozdawnictwa i źródło demoralizacji. Dobrze jednak, że twórca skonfrontował ze sobą te oczywiste oczywistości, a tuż obok zasygnalizował wątpliwości i sprzeczności. Bo przecież nikt jeszcze do końca nie wie, co okaże się bardziej niszczące w wymiarze ludzkim i społecznym: mordercze przepracowanie, któremu koreański rząd musiał wypowiedzieć zdecydowaną wojnę, ponieważ za bardzo odbijało się na zdrowiu publicznym, czy nuda wyrosła z nowego bezrobocia, tego z pełną lodówką.

W sumie najciekawiej jest wtedy, kiedy reżyser pyta swoich bohaterów, co by robili, gdyby co miesiąc dostawali pieniądze i nie musieli na nie pracować. Roztropnie pozostawia to pytanie bez odpowiedzi, bo najwyraźniej kieruje je osobno do każdego z nas. Skompromitowane niegdyś hasło „byt określa świadomość” nabiera właśnie zupełnie nowych znaczeń. I wiele wskazuje na to, że nie będziemy musieli czekać, aż powstanie o tym kolejny odcinek futurystycznego serialu „Czarne lustro” – rzeczywistość, na razie pilotażowo, już go zaczyna wyprzedzać. ©

Lektor:
Nieśmiałe uwielbienie

▪ *Elias Canetti*
O ZWIERZĘTACH
Przełożyła Maria Przybyłowska.
Wydawnictwo Pogranicze,
Sejny 2023, seria Meridian, ss. 128.

Elias Canetti nie napisał tej książki. To znaczy napisał składające się na nią teksty, ale wybrano je i ułożono po jego śmierci. Żyd sefardyjski, urodzony w bułgarskim Ruszczuku/Ruse w roku 1905, ukończył studia na Uniwersytecie Wiedeńskim i został pisarzem języka niemieckiego. W 1935 r. opublikował docenioną znacznie później powieść „Die Blendung”, u nas (w porozumieniu z autorem) wydaną jako „Auto da fé”, potem ukazały się między innymi rozprawa „Masa i władza” (1960), zapis afrykańskiej podróży „Głosy Marrakeszu” (1968) i autobiograficzny cykl otwarty „Ocalonym językiem” (1977), kontynuowany „Pochodnią w uchu” i „Grą oczu”. W 1981 r. otrzymał literacką Nagrodę Nobla, zmarł w 1994 r. w Zurychu.

W „O zwierzętach” znajdziemy fragmenty z wszystkich wspomnianych książek, jak na przykład poruszające „Spotkania z wielbłądami” z „Głosów...”, przede wszystkim jednak zapiski dziennikowe – często aforystycznie zwięzłe (dwa przykłady z roku 1966: „Śmiech osłów i śmiech tygrysów”, „Tłusta królowa termitów jako zwierzę domowe”); ostatnie z roku 1993. Nie ma tu sentymentalnych wspomnień, jest refleksja nad tajemnicą bytu zwierząt zestawioną z bytem ludzkim. W tym zestawieniu człowiek, świadomie okrutny, wypada niekiedy zdecydowanie gorzej, autor zaś nie czuje się w obowiązku automatycznie brać strony swojego gatunku.

Własny stosunek do zwierząt Canetti określił pod koniec życia jako „nieśmiałe uwielbienie”. W 1962 r. notuje taki obraz: „Przed tronami zwierząt stali pokornie ludzie i oczekiwali na wyrok”. Kilka lat wcześniej: „Najpiękniejszym posągiem człowieka byłby koń, kiedy już by go zrzucił”. W 1949 r. pisze: „Boli mnie, że nigdy nie dojdzie do powstania zwierząt przeciwko nam, tych cierpliwych stworzeń, krów, owiec, wszelkiej zwierzyny, wydanej nam na pastwę i nie mogącej uciec” – po czym kreśli wizję takiego krwawego buntu, rebelii, która wybucha w jakiejś rzeźni i rozlewa się na całe miasto. Wiele lat później zapyta: „A gdyby zwierzętom udało się jednak pozbyć nas?”.

To już trzecia książka Canettiego w znakomitej serii Pogranicza, po „Tajemnym sercu zegara” i „Księdze przeciwko śmierci”. Zaapelowałbym do wydawnictwa Czytelnik: może czas już wznowić „Ocalony język” i jego dalsze ciągi? ©℗

OLGA

Drenda:
Wypluj to słowo

Zdarzenie z mojego najbliższego otoczenia: użytkowniczce zawieszono konto na Facebooku, ponieważ zamieściła tam okładkę książki. Książka sama w sobie nie była kontrowersyjna, należała do nurtu popularnych sensacji wojennych i prawdopodobnie można ją kupić w każdej księgarni, ale pechowo na okładce znalazło się Zakazane Słowo. Jak na ironię, to samo słowo w druku gwarantuje pomyślną sprzedaż książki, gdyż temat nigdy się nie wyczerpuje i wciąż budzi ciekawość. Chodzi o, jak łatwo się domyślić, nazwisko znanego zbrodniarza wojennego i niespełnionego malarza. (Proszę zobaczyć, jak to działa i jak właśnie daję się wrobić: ponieważ papier przyjmuje znacznie więcej, mogłabym zacytować dosłownie tytuł książki, ale link do mojego felietonu znajdzie się w internecie, również na profilu „Tygodnika", a nie chciałabym doprowadzić przypadkiem do jego zawieszenia tylko dlatego, że algorytm nie rozumie cytatów. Głupie, prawda? Ale niestety skuteczne).

Moderacja z użyciem algorytmów w toporny sposób próbuje stosować zasadę tabu językowego, czyli stosowanych w różnych kulturach sposobów na to, by nie wywołać wilka z lasu. Najczęściej dotyczyło to imion boskich albo diabelskich – ze względu na zakaz płynący z przykazań albo obawę, że wypowiedzenie jakiegoś słowa w złą godzinę mogłoby naruszyć kruchą harmonię i sprowadzić realne nieszczęście. Stąd mówienie „do diaska" i „*oh my gosh*", stąd przekonanie, że należy „wypluć to słowo", by nie zmieniło się w czyn przez naszą nieostrożność. Algorytm stara się wyeliminować tabu, ale zatrzymuje się w pół drogi. Wymienienie nazwiska zbrodniarza traktuje jako wyraz jego kultu, czyli zachowuje się tak, jakby próbował rozpoznawać szpiegów po koszulce z dużym napisem „szpieg". Tymczasem trzeba jeszcze znać przeciwieństwo tabu, które w kulturze Polinezji nazywano *noa* – to dozwolone, dostępne dla wszystkich słowo, którym można zastąpić to zabronione. *Noa* to zazwyczaj omówienie, czyli peryfraza. W dawnych językach europejskich z taką ostrożnością traktowano niedźwiedzia, któremu nadawano uprzejme, zabezpieczające imiona: w polszczyźnie i innych językach słowiańskich to „koneser miodku", w germańskich „brązowy zwierz". A we współczesnym osiedlu grodzonym mediów społecznościowych bohater wymienionej na początku książki to oczywiście „austriacki akwarelista".

Klucz to się orientować

OLGA DRENDA

Ludzie zaangażowani w różne konspiracyjne działania, parający się nielegalnym, ale także propagandziści, doskonale opanowali korzystanie z *noa*. W realiach wyroków ferowanych przypadkowo przez cyfrową moderację każdy poniekąd musi zejść do podziemia i dwa razy zastanowić się, zanim użyje jakiegoś słowa, ćwiczyć się w alternatywnym zapisie, przypominać synonimy. Eufemizmy, peryfrazy, niedosłowności stają się tajnym kodem, który pozwala uniknąć „spadnięcia z rowerka", a przy okazji chronią wyznawców ekstremistycznych idei – wśród nich stają się tajnym kodem, który pozwala porozumiewawczo mrugać okiem do grupy docelowej i uniknąć złapania za rękę. Mówią: nie wolno nam tego powiedzieć, ale kto ma wiedzieć, ten wie, kim są, na przykład, „pewne środowiska", z którymi „ktoś powinien zrobić porządek".

Mechanizm cenzury jest głupi, ale też sprawny w robieniu głupka z ludzi, którzy nie mają śladu złych zamiarów, jedynie mieli pecha wyrazić się dosłownie. Ktoś, kto wyraża się bezpośrednio, wychodzi na niepoważnego, panikarza – i w konfrontacji z kimś, kto znakomicie opanował mowę uników („ja nic takiego nie powiedziałem!"), i z topornym sposobem działania algorytmu. Ten nigdy nie złapie wyćwiczonego unikowca, choćby właśnie zachęcał do aktów terroryzmu, za to namierzy tego, kto napisał słowo „terroryzm".

Algorytm nie działa w interesie społecznej harmonii i umiarkowania. Nie jest nawet bezstronny. Kiedy moderacja zajmuje się wycinaniem zabronionych słów, prawdziwie niebezpieczne treści krążą sobie na zupełnym legalu. Prawdopodobnie właśnie teraz jakiś kulturalny człowiek spokojnym tonem wypowiada je z ekranu telewizora albo elokwentnie wykłada w mediach społecznościowych przy pomocy poprawnej i pozbawionej nadmiernych emocji polszczyzny. Ale ponieważ nie używa Zakazanych Słów, wydaje się zupełnie niegroźny. Jest bezpiecznie, jest spokojnie... ©

PAWEŁ

Bravo: *Mądrość Ludów Południa*

Garda czy Schwarzwald? Taki dylemat (w polskiej wersji mógłby brzmieć: Capri czy Wolin?) stanął przed naszymi zachodnimi sąsiadami. Owszem, wyzbyli się oni ciągot do wschodnich bezkresów i udzielania tamże zamieszkałym ludom prawa do porzucenia dzikiego narzecza na rzecz mowy Goethego. To są wszystko dzieje słusznie wyrzucone na śmietnik stereotypów. Nie zaniechali jednak wcale *Drang nach Süden*. Kiedy tylko nad mdłym niebem Hesji zadzwonią pierwsze skowronki urlopu, budzi się atawistyczny pęd na Majorkę, Costa Brava, a zwłaszcza Italię. Też wolałbym Syrakuzy od Travemunde, nawet jeśli traktowaliby mnie w nich jak chodzący bankomat i hejtowali, kiedy po obiedzie zamawiam białą kawę.

Nawiasem mówiąc, w tej ostatniej kwestii nie rozumiem, dlaczego Unia – jakże troskliwa, gdy chodzi o tępienie używek, i na tyle odważna, by zakazywać samochodów spalinowych – nie ureguluje rzeczy tak oczywistej dla zdrowia i godności, a zarazem haniebnie deptanej, jak właściwe (poranne) godziny spożywania kawy z mlekiem. Ale dość dygresji. Bez względu na drobne scysje międzykulturowe tęsknica za Italią jest faktem udokumentowanym w historii. Były czasy, gdy równolegle do pruskiego, protestanckiego, pulsował w Palatynacie drugi konkurencyjny model nowej tożsamości niemieckiej – katolicki i zwrócony ku drugiej stronie Alp. Nic z tego nie wyszło, Berlin wygrał walkę o rząd dusz, tyle jednak z tego zostało, że berliński polityk każdej maści i tak wypoczywa we Włoszech. Od czasów Adenauera tamtejsi chadecy mają nawet partyjną willę nad jeziorem Como. Minister zdrowia Karl Lauterbach jest z socjaldemokratów, musiał więc sam ogarnąć sobie podróż, o czym wiemy, bo korzysta, niestety, z Twittera. Najpierw w Bolonii stwierdził, że jeśli upał dalej potrwa, to Włochy jako cel urlopowy nie mają przed sobą przyszłości. „Zmiana klimatu niszczy południe Europy. Koniec pewnej ery". Cztery dni później, pod zdjęciem kościoła w Sienie napisał: „wspaniała średniowieczna budowla, ale zarazem chłodna przestrzeń. W czasie fali upałów kościoły powinny być otwarte cały dzień jako miejsce ochłody".

Tego już było za wiele. Pani premier nie wypadało bezpośrednio się odwinąć, ale naród chciał poczuć się pomszczony. Dobrze się zatem złożyło, że Giorgia Meloni jest co prawda konserwatywna, ale nie miała jeszcze czasu wziąć ślubu ze swoim wieloletnim partnerem życiowym i ojcem jej córki. Ten zaś prowadzi popularny *talk show* w telewizji i mógł jako osoba nieurzędowa poradzić Lauterbachowi, że jeśli mu za gorąco, to niech zostanie w kraju i odpocznie w Schwarzwaldzie.

Spuśćmy nieco powietrza z tej draki: owszem, jest nieco goręcej niż statystycznie dotąd, ale życie miejscowych jest dostosowane do przetrwania tego bez udaru i odwodnienia. Co innego przyjezdni. Nieustanny upał w warunkach dzikiego tłoku i godzinnych kolejek do byle muzeum podważa sens jeżdżenia dla przyjemności – i tu podzielam uwagi ministra. Może przesadził z kościołami – jak sobie Włosi wrzucili jego *tweet* do translatora, to przeczytali o „chłodniach". Chłodnia Santa Maria Maggiore. Budzi bardzo złe skojarzenia z innymi zgoła obiektami. Ale ręka w górę, kto nigdy nie zaszedł do kościoła właśnie w tym celu, żeby odetchnąć? Kwadrans regeneracji z widokiem na chłodne wody Jordanu na ołtarzu Perugina. To jest zresztą zupełnie inny chłód niż ten z klimatyzacji – a jednak od południa do trzeciej niedostępny. Jedyny ratunek jest w centrach handlowych.

Albo w restauracjach – te akurat są czynne dokładnie wtedy, kiedy kościoły zamykają na głucho, jakby istniała sztywno dopięta sztafeta spraw niebiańskich i ziemskich. Oto część mądrości, która pozwala ludom Południa żyć przy 40 stopniach: nadchodzi faza dnia, gdy trzeba bezwzględnie zadbać o ciało, napełnić brzuch, rozrzedzić krew, nic nie działać ani nawet się nie modlić. Wychowani pod niebem bardziej umiarkowanym (bo co to jest te nasze nędzne dziesięć dni upału na rok?) nie mamy nad sobą takiego termicznego bata, łatwiej nam pominąć porządek dnia, w którym obiad powinien stać pośrodku jak dzwonnica na opustoszałym placu. Cisza, teraz zagrają organy naszych trzewi. ©℗

Jeśli od Wolina wolicie Capri, nie zapomnijcie zjeść tam prawdziwej sałatki caprese. Wynalazł ją kucharz jednego z tamtejszych hoteli dla futurysty Filippa Marinettiego, który zamierzał odmienić także kuchnię, stawiając na surowe jedzenie. A co, jeśli jedziecie jednak do Międzywodzia? Poszperajcie w archiwum, w niniejszej rubryczce zajęliśmy się parę lat temu tym, co zrobić, żeby dobrze wyszła (najważniejsze to dobrze odsączyć na ściereczce pomidory i mozzarellę w temperaturze pokojowej, solimy tylko pomidory). Dziś wam tylko szepnę, że skoro jest to młode, ledwo stuletnie danie, a nie żadna „tradycja", to nie ma żadnych barier przed naszą fantazją – można zamienić część mozzarelli na bundz, także lekko podwędzony, a przede wszystkim dać na zmianę z pomidorami cienkie, 3-milimetrowe plastry szybko obsmażonego bakłażana potrzymanego chwilę w lekkiej marynacie oliwy i octu. Ta dobrze sprawdzona w wielu innych daniach kombinacja obu warzyw rozkłada moich gości na łopatki.

LARIK MALASHA / ADOBE STOCK

ZMYSŁY

STRAŻNICY OCEANU

DEE BOERSMA, BIOLOŻKA:

Nie spotkałam nikogo, kto by nie lubił pingwinów. Zabawne, pracowite, chodzą wyprostowane i co najważniejsze – elegancko ubrane. Ale co do nas mówią?

CENTER FOR ECOSYSTEM SENTINELS / MATERIAŁY

MARIA HAWRANEK: W argentyńskim Punta Tombo spędziła Pani łącznie 10 lat. Jak wyglądają dni w kolonii?

PROF. DEE BOERSMA: Punta Tombo jest jednym z najlepszych miejsc na świecie do obserwacji pingwinów magellańskich. Na początku lat 80. to była największa kolonia na świecie, ale część pingwinów przeprowadziła się na północ. Od 40 lat spędzam tam trzy miesiące w roku. Dawniej bywałam i dłużej, ale mam jeszcze wykłady na Uniwersytecie Waszyngtońskim. We wrześniu znowu pojadę wraz ze studentami. Nasza codzienność przypomina rutynę pracowników spisu ludności.

Czyli jak?

Mieszkasz w pobliskim centrum turystycznym. Wyruszasz po śniadaniu i idziesz wzdłuż plaży. Podchodzisz do gniazd i sprawdzasz, kto tam jest. Pingwiny mają obrączki, odczytujemy numery – np. 97641. Potem ważymy i mierzymy pisklęta, by zobaczyć, jak szybko rosną – robimy to co 10 dni. Niemal wszystkie mają imiona, wiemy, gdzie mieszkają. Możemy je śledzić, dopóki nie zostaną podlotkami i nie opuszczą kolonii.

Potem dwugodzinna przerwa obiadowa, by schować się przed letnim słońcem. Wracamy po południu – dni są długie, 16 godzin światła. Przemierzamy ok. 10 km dziennie. Studenci skonstruowali automatyczną wagę. Umieściliśmy ją w korycie wyschniętej rzeki. W ciągu roku waży 30 tys. osobników – rękami nie dalibyśmy rady tego zrobić. Wiemy, czy pingwiny wchodzą do kolonii, czy wychodzą, niektóre mają nadajniki GPS, więc wiemy, skąd przypłynęły. Porównujemy to, co robiły w morzu, z tym, ile ważą po wyjściu na ląd.

Najciekawsze obserwacje z ostatnich lat?

W tym roku przeanalizowaliśmy z Erikiem Wagnerem, moim byłym studentem, dane dotyczące liczby rozwodów.

Rozwodów?

Do wychowania pingwina potrzeba obojga rodziców – i mama, i tata siedzą na jajkach, karmią młode. Pingwiny są monogamiczne, ale monogamia nie jest synonimem wierności. Wskaźnik rozwodów u pingwinów jest o wiele wyższy niż u ludzi. Dla samców i samic wiążących się z sobą po raz pierwszy odsetek rozwodów wynosi 71 proc. Czyli kiedy rok później ten sam samiec i ta sama samica wracają do kolonii, mimo że są cali i zdrowi, to raczej nie wchodzą ze sobą w relacje.

Może akurat się nie spotkają? Przecież w Punta Tombo jest 200 tysięcy par!

Widzieliśmy, że czasem poprzedni partner czy partnerka są tuż obok. Więc to nie jest tak, że nie wiedzą, że ich były (czy była) są dostępni. A jednak wybierają kogoś innego. I chociaż sama zbierałam te dane, to nie miałam świadomości skali tego zjawiska. Co ciekawe, oboje – i samiec, i samica – nawiązują lepsze relacje z kolejnym partnerem. Czyli rozwód ma u pingwinów charakter adaptacyjny, jeśli chodzi o ich sukces reprodukcyjny.

Co znaczy „lepsze"?

Co jest najlepszą prognozą na pozostanie razem? Wychowanie piskląt. Jeśli udało im się jakieś odchować, jest większa szansa, że zostaną razem. A jak spędzą razem 2-3 lata, to dalej jest łatwiej, wskaźnik rozwodów spada.

Czyli jeśli nie udało im się wychować piskląt z jednym partnerem, to w kolejnym roku wybiorą innego?

Tak. Wyboru dokonują samice, bo stosunek płci jest zachwiany – samców jest znacznie więcej. Czyli samice zawsze znajdują partnera, ale wielu samców nie znajduje partnerki. Niektórych obserwujemy od 10 lat. Widzieliśmy ich z samicami, ale nigdy nie dotarli do wspólnego wysiadywania jaj. Nigdy. W kolonii jest wielu wiecznych kawalerów.

Jak Turbo?

Chociażby! Ma 14 lat. Nazwaliśmy go tak, bo lubił przebywać pod moim samochodem Turbo, jak kilka innych pingwinów. Ale tylko on uznał, że to będzie dobre miejsce na gniazdo. Kłopot pojawiał się, gdy jechaliśmy do miasta – wtedy znikał mu dom. Ostatecznie przeniósł się w krzaki nieopodal centrum turystycznego. Wychodzi wcześnie rano i po południu, gdy turystów już nie ma. Wybrał życie nieopodal ludzi, widocznie lubi nas obserwować. Nie ma partnerki, ma więc sporo wolnego czasu.

I już jej nie znajdzie?

Mieszka kilometr od morza – której chciałoby się tak daleko iść? Myślę, że żadna samica się na to nie zdecyduje.

Z badań wynika, że samice częściej umierają. Zawsze tak było?

Umiera więcej samic niż kiedyś. Kiedy zaczynałam badania, stosunek płci był zdecydowanie bardziej wyrównany. Niestety sądzę, że działo się tak dlatego, że wiele osobników obu płci umierało z powodu zanieczyszczenia ropą. Teraz już tak się nie dzieje – gdy w marcu 2022 r. spacerowaliśmy wzdłuż plaż, nie znaleźliśmy żadnych ubrudzonych ropą pingwinów. To niesamowite!

Szczególnie że to Pani zasługa.

Nie tylko. Ale rzeczywiście, na początku lat 80. pingwiny pływały w zanieczyszczonej wodzie. Kiedy tankowce transportują ropę, w jedną stronę, gdy płyną bez niej, potrzebują balastu, więc napełniają zbiorniki wodą. Kiedy wracały, pozbywały się tej oleistej wody, spuszczając ją do oceanu. Dlaczego? Bo tak było taniej. W efekcie w niektórych latach nawet 80 proc. dorosłych osobników w Punta Tombo było usmarowanych ropą! I ponad 60 proc. młodych. W końcu, po 9 latach przekonywań, rząd Argentyny nas posłuchał i przesunął korytarze tankowców 40 km dalej od brzegu. Skażenie ropą to główny powód, dla którego liczba pingwinów w kolonii Punta Tombo spadła. Nie mam pojęcia, przez ile lat na plażach pojawiały się utłuszczone ropą pingwiny, zanim tam dotarłam, ale pewnie ze 20 lat. Zabijaliśmy całe kohorty młodych i starszych pingwinów, samców i samic. Teraz już się to nie dzieje. To dobra wiadomość. Zła wiadomość jest taka, że wciąż umiera mnóstwo pingwinów z powodu braku pożywienia. A to ma związek ze zmianami klimatycznymi i nadmierną konsumpcją ryb.

Samice umierają szybciej, bo są delikatniejsze?

Dlatego, że są mniejsze. Oczywiście jeśli jesteś większym pingwinem, to potrzebujesz większej ilości energii. Ale jeśli ↦

Pingwiny magellańskie w Punta Tombo, Argentyna.

↦ jesteś większy, możesz też lepiej magazynować jedzenie w postaci rezerw tłuszczowych. Zresztą pingwiny – i samce, i samice – mają niewiarygodną wytrzymałość. Spotkałam kiedyś samicę, która pościła przed ponad miesiąc! Samice są też bardziej narażone również dlatego, że polują bliżej brzegu, gdzie jest więcej zanieczyszczeń i sieci rybackich.

Czyli na początku samic i samców było mniej więcej po równo. A potem przyszedł człowiek.

Tak. Stosunek płci wykrzywia się coraz bardziej.

Może Pani oszacować, ile pingwinów Pani poznała?

Zaobrączkowaliśmy ponad 70 tys. Niestety wiele z tych zaobrączkowanych nie dożywa etapu podlotka. 40 proc. umiera z głodu, zanim mogą opuścić kolonię. Dopiero gdy ukończą rok, mają większe szanse na przetrwanie.

Ta wysoka śmiertelność jest naturalna czy znowu spowodowana przez człowieka?

Śmierć młodych z głodu oznacza, że rodzice nie przynieśli wystarczająco dużo jedzenia. Czasem dzieje się tak dlatego, że rodzice muszą za daleko wypływać, by to jedzenie znaleźć. W idealnym scenariuszu chcieliby pozostawać blisko gniazda. Pingwiny, które pozostają w odległości ok. 30 km od gniazda, są w stanie wychować dwoje piskląt, bo mogą kursować tam i z powrotem. Ale jeśli w poszukiwaniu jedzenia muszą płynąć 200 km w jedną stronę, to ich pisklę będzie musiało czekać na posiłek tydzień, a nie 3-4 dni. Dobrze rozwinięte pisklęta mogą nic nie jeść do około tygodnia. Potem słabną. Wtedy nawet jeśli rodzic w końcu wróci, są już zbyt słabe, by prosić o jedzenie.

Pisklęta mają jakieś strategie na głód?

Niektóre młode są wystarczająco sprytne, by przemieszczać się między gniazdami, kiedy brakuje im jedzenia. Jeśli robią to jako odpowiednio małe pisklaki, to karmi ich czwórka rodziców, co daje im o wiele większe szanse na przetrwanie.

Tak sobie skaczą z gniazda do gniazda?

Zwykle wygląda to tak: jest krzak, po jego dwóch stronach są gniazda. Młode nasłuchują, kiedy przychodzą jedni rodzice, idą do gniazda, proszą o jedzenie. Rodzice wracają do wody, one znów nasłuchują, gdy pojawiają się kolejni – to wtedy ich proszą o jedzenie. Więc niektórzy rodzice karmią czwórkę młodych.

Ale jak to – rodzice nie poznają swoich dzieci?

Nie, dopóki nie ukończą około 30 dni. Do tego momentu rodzice orientują się na gniazdo – wiedzą, gdzie jest, karmią tego, kto w nim siedzi.

Nie liczą piskląt?

Nie. Eric Wagner zrobił na ten temat doktorat i dowiedział się, że po pierwsze: pingwiny siadają na wszystkim. Jeśli wytniesz karton w kształcie jajka, płaski i brązowy, i położysz go metr od gniazda, to pingwin go przynosi i siada na nim. Usiądzie też na trójkącie, jajku niebieskim, czarnym i fioletowym – nieważne jakim, byleby tylko wyglądało podobnie do jajka i było blisko gniazda. To samo tyczy się młodych. Jeśli położysz niedaleko gniazda pingwinki zrobione z wełny, to choć nie proszą o jedzenie ani się nie ruszają – dorosłe zaniosą je do gniazda. Rodzice nie są zbyt dyskryminujący. Jednak z czasem uczą się wołania swoich piskląt, podobnie jak pisklęta – wołania rodziców. Ale to nie dzieje się od razu, tylko ok. 30. dnia życia.

Jeśli wytniesz karton w kształcie jajka, płaski i brązowy, i położysz go metr od gniazda, to pingwin go przynosi i siada na nim.
Usiądzie nawet na trójkącie, byleby był blisko gniazda.

Po miesiącu gra na dwie stołówki już nie zadziała?

Już nie. Chyba że wydarzy się coś niezwykłego. Widziałam np. dorosłego samca, który wrócił z pożywieniem do domu, ale chwilę wcześniej wróciła też samica i nakarmiła pisklęta. Podeszły do niego. Jak tylko pisknęły, natychmiast je karmił, ale mało piskały, bo miały pełne brzuchy. Więc po tym, jak upewnił się, że nakarmił dwoje swoich, przeszedł się po kolonii i rozdał pokarm innym proszącym o jedzenie pisklętom.

Zrobiliśmy też taki eksperyment – puszczaliśmy z głośników wołanie rodzica przed gniazdem. Pisklęta wychodziły i prosiły o jedzenie głośnik. Skoro nie ma rodzica lub wrócił bez jedzenia, to idą tam, gdzie można coś dostać. Ale głośnik ich nie nakarmił.

Jak rozumiem, pingwiny są bardziej nastawione na sygnały dźwiękowe niż wzrokowe?

Zdecydowanie. Słuchanie jest lepsze – słyszysz z większej odległości, w wodzie też bez przerwy nawołują się do wspólnych wędrówek. Hoooo! – wszystkie pingwiny brzmią podobnie. Ja też mogę je zawołać – na plażę, do pontonu. Jeśli pingwin chce popłynąć na polowanie, wystarczy, że zawoła, i zawsze ktoś dołączy. Na plaży całymi setkami czyszczą się i kąpią. Kiedy stoją na brzegu, usłyszysz ich interakcje: ha – ha ha haaaaa! A później inny osobnik odpowiada: hej, kim jesteś? Są wysoce społeczne i ogromnie ciekawskie. Są też niesamowitymi sportowcami – mogą zanurkować na głębokość 90 metrów i zostać tam przez około 4,6 minuty. A także płynąć ze stałą prędkością przez dzień i noc.

Co roku w sezonie godowym spotykają się w kolonii. Czy wpadają z wizytą do mamy, braci, sióstr?

Trudno stwierdzić. Zaobrączkowaliśmy mnóstw piskląt. Jeden samiec wrócił jako dorosły, co najmniej 3-, 4-letni, do swojego starego gniazda, a tam była jego mama. Wystraszyliśmy się, że będzie chciał z nią spółkować, ale nie – poszedł do innego gniazda dwa metry dalej, znalazł sobie inną partnerkę. Czy się poznali? Nie wiem. Ale też młode przemieszczają się między koloniami. Inny zaobrączkowany, już w dorosłym upierzeniu, około dwuletni, pojawił się zaraz poniżej gniazda, w którym się wychował. Potem zniknął nam z oczu na 17 lat. Zakładałam, że umarł. Tymczasem jeden z moich argentyńskich studentów znalazł go gniazdującego w sezonie godowym w Estancia San Lorenzo, jakieś 300 km dalej. Nigdy już nie wrócił do swojej kolonii. To jak z ludźmi – możesz gdzieś dorastać i chodzić do liceum, a potem wyprowadzasz się do innego miasta.

Ile lat żyją pingwiny magellańskie?

Niektóre w naszej kolonii mają 30 lat. Studenci doprowadzają mnie do szału, kiedy mówią: ten ptak jest starszy ode mnie! Ode mnie żaden nie jest starszy.

Mogą się rozmnażać dopiero w wieku 5-6 lat. Co robią do tego czasu?

Wędrują po kolonii, w której planują gniazdować, poznają inne pingwiny, wchodzą z nimi w interakcje, czasami samce próbują podbić samice i poklepują je płetwami, by sprawdzić, czy byłyby zainteresowane. Samice głównie siedzą w gnieździe, choć czasem też spacerują, by poznać osobniki z sąsiedztwa.

Nawiązują przyjaźnie?

Lubią przebywać z tymi samymi ptakami, zwykle bliskimi sąsiadami. Ale na lądzie nie są tak aktywne jak w wodzie – jeśli nie mają młodych do wykarmienia, to trochę spacerują, ale przeważnie śpią w gnieździe. Budzą się, idą na spacer, wypróżniają się, wracają.

W wodzie trudno je badać?

Zachowanie trudno zaobserwować, choć oczywiście robimy to z pontonów i z wybrzeża. Np. strategie polowania. Ale przede wszystkim pod wodą badamy ich migracje.

Nie daje mi spokoju ta 40-procentowa śmiertelność młodych. To dużo w porównaniu do innych gatunków?

Pingwiny magellańskie mają wysoką śmiertelność z powodu głodu. Ale z kolei nie zagrażają im drapieżniki – dla odmiany, to akurat zawdzięczają człowiekowi. A konkretnie – ranczerom wypasającym patagońskie owce, którzy nie lubią, gdy w okolicy kręcą się pumy, lisy czy inni drapieżcy. Dzięki ranczerom pingwiny w Punta Tombo żyją trochę jak na wyspie – bez drapieżników zagrażających im, pisklętom czy jajom.

Z kolei pingwiny arktyczne z głodu nie giną – rodzice znajdują jedzenie blisko i wracają. Ale w Arktyce młode są pożerane przez drapieżniki – np. morskie ptaki, petrele olbrzymie czy wydrzyki wielkie.

Na świecie żyje 17 gatunków pingwinów, u 12 liczebność spada. Głównie z powodu kryzysu klimatycznego?

Myślę, że należy uznać kryzys klimatyczny za główne zagrożenie dla tych gatunków. Dla niektórych – pingwinów małych czy żółtookich – wyzwanie stanowią drapieżniki, szczególnie te wprowadzone, jak szczury, koty czy psy. Na Galapagos, gdzie z przerwami badamy pingwiny równikowe od pięciu dekad, wielorybnicy przywieźli koty, szczury i psy, które zjadają pisklęta. Na wyspie Isabela, gdzie mieszka większość populacji, całe szczęście psów już nie ma.

W latach 80. powstrzymała Pani japońską firmę przed produkcją rękawiczek z puchu pingwinów magellańskich, później udało się zmienić legislację dotyczącą tras tankowców. Jaka następna zmiana prawna jest Pani zdaniem konieczna?

Trzeba zadbać o pingwiny afrykańskie. Były ich miliony, dziś jest może 10 tysięcy rozmnażających się par. Tylko tyle, ponieważ nie ma dobrze chronionych terenów morskich w pobliżu ich kolonii. Czyli nie ma wystarczającej ilości jedzenia dla piskląt – w RPA nie ma wystarczającej ilości ryb! Rząd chce mieć zatrudnienie w rybołówstwie, rozumiem, ale trzeba chociaż ograniczyć połowy na terenach wokół kolonii! Musimy zmusić rządy do regulacji, aby pingwiny miały szansę.

CENTER FOR ECOSYSTEM SENTINELS / MATERIAŁY PRASOWE

DEE BOERSMA jest biolożką, profesorką na Uniwersytecie Waszyngtońskim, kierowniczką tamtejszego Center for Ecosystem Sentinels. Od 1982 r. bada pingwiny magellańskie w Punta Tombo w Argentynie.

Punta Tombo świetnie pokazuje, że ochrona pingwinów się opłaca – co roku do centrum turystycznego przyjeżdża 100 tys. ludzi, by je zobaczyć.

Podobnie jest w Boulder Beach w RPA – to jest park narodowy i pingwiny tam mieszkają, a turyści przychodzą. Wybito wszystkie lwy morskie, nie ma tam hien, czasem pojawia się jakiś drapieżnik, ale sporadycznie. Turystyka też może zapewnić pracę, ale jej rozwój wymaga mądrych decyzji.

Ostatnio po jednym rozlaniu ropy w RPA wyłowiono 10 tysięcy usmarowanych nią pingwinów i je umyto. Ale czy zmienili trasy tankowców? Nie, wciąż dochodzi do wypadków. Gdyby koszt wylania ropy był ekstremalnie wysoki – na tyle, by firma zbankrutowała – dbano by bardziej o środowisko.

Nazywa Pani pingwiny strażnikami oceanów. Dlaczego?

Są jak system wczesnego ostrzegania, którego potrzebujemy, bo ludzie często nie zwracają na coś uwagi, o ile nie ma kryzysu. Są dobrymi strażnikami, bo obchodzą ludzi. Nie spotkałam nikogo, kto by nie lubił pingwinów: są zabawne, pracowite, chodzą wyprostowane, a najważniejsze – elegancko ubrane. Dlatego być może ich posłuchamy. Mam nadzieję. Bo jedyne, co może zmienić świat, to ludzie. Jeśli coś ich bardzo obchodzi, mogą zawalczyć o zmianę – jak w Argentynie. O skażonych ropą pingwinach ukazała się cała masa artykułów, programów telewizyjnych i radiowych. Ludzie nie mogli na to patrzeć.

Jak podtrzymała Pani płomień swojego aktywizmu przez tyle lat?

Po prostu kocham pingwiny! Uważam je za nieskończenie fascynujące. To mnie napędza. Czuję, że mam wobec nich dług do spłacenia. Tak wiele się o nich i od nich nauczyłam. Chcę, by pingwiny były na Ziemi długo po tym, jak mnie nie będzie.

Pracuję, byśmy mieli miejsca takie jak Center for Ecosystem Sentinels przy Uniwersytecie Waszyngtońskim, gdzie można przyjść i zobaczyć filmy o pingwinach. Pracują tam badacze orek, likaonów i pingwinów. Mam nadzieję, że po mojej śmierci nadal będzie kształcić ludzi, którzy troszczą się o dzikie życie na Ziemi i jego ochronę. © Rozmawiała MAJA HAWRANEK

STANISŁAW

Mancewicz:
To ci kaczor

Wicepremier polskiego rządu Jarosław Kaczyński podczas jednego ze swych wystąpień określił konkurenta politycznego Donalda Tuska słowem: ryży. Określenie to miało mieć i miało wydźwięk pejoratywny. Dzisiejsze nasze rozważania poświęcimy zatem słowu „ryży". Zbadamy jego historię pojawiania się i znaczenie, oprzemy się na dostępnych nam słownikach od początków polskiej leksykografii.

Pierwszym porządnym słownikiem języka polskiego w historii naszego niezwykłego narzecza było dzieło Samuela Bogumiła Lindego. Sześć tomów ukazało się w latach 1806--1815. Nasz egzemplarz jest reprintem wydania drugiego z roku 1859 r. Oto w tomie piątym na stronie 180 na temat ryżu czytamy m.in.: „jest jarzyna abo kaszywo, kształtem niejako podobne do kąkolu". O byciu ryżym nic nie ma, ale zauważyliśmy na stronie wcześniejszej słowo „rysawy", które jest dobrym tropem. Rysawy wedle Lindego jest „rydzy", co zbliża nas do twierdzenia, że słowo ryży jest innym określeniem rudości. Linde przytacza takie cytaty z dostępnej mu literatury: „Był Bolesław włosów gęstych, kędzierzawych, rysawych...", „Dawid był rysawy i piękny na obliczu...". Nie widać tu złych intencji, złośliwości czy chęci obrazy. Kolor to kolor. Kropka.

Następne w kolejności pomnikowe dzieło to słownik zwany wileńskim. Ukazał się w 1861 r., autorami było sześciu uczonych z Wilna, m.in. Aleksander Zdanowicz, Michał Bohusz Szyszko i January Filipowicz. O jakości słownika sporo dyskutowano, chwalono go i bardzo krytykowano, czyli rzec można, że o całości świadczy to jak najlepiej. W części drugiej, na stronie 1431 (całość to 2280 stron) znajdujemy potwierdzenie naszego przypuszczenia. Oto przy słowie rysawy mamy odsyłacz do rudego. Rudy to kolor rudy żelaza. Łatwe. Definicja ryżu zaś zaczyna się, ku naszemu niemałemu zdumieniu, od słów: „człowiek ryży, czerwonowłosy", dopiero potem mamy mikrowykład o ryżu, to jest o roślinie, z której można zrobić arak. Gdzieś kiedyś przeczytaliśmy, że autorzy słownika wileńskiego nie zawsze byli trzeźwi w pracy. Do rzeczy – i w Wilnie w XIX wieku ryży nie był wyzwiskiem.

Oto mamy przed nosem Słownik Języka Polskiego zwany warszawskim z 1912 r., stworzony przez Jana Karłowicza, Adama Kryńskiego i Władysława Niedźwiedzkiego. Tom piąty, strona 801: „Ryży, patrz rudy". Patrzymy więc na rudego na stronie 765 i czytamy: „rudy, ryży, rydzy", i że wyszło z użytku słowo „rusy". A wszystko to znaczy: „śniado brudnoczerwony, żółtoczerwony", że człowiek może mieć – powiadają autorzy – „rude włosy". Przytoczone przykłady są neutralne. Ponieważ intencje Jarosława Kaczyńskiego były inne niż analiza kolorystyczna, musimy jego wokabularza poszukać gdzie indziej. Badania nad mową współczesną nie mogą się obejść bez giganta branży, czyli Słownika Języka Polskiego Witolda Doroszewskiego z 1965 r. Zaglądamy do tomu siódmego, na stronę 1453 i pod hasłem „ryży" czytamy to, co poprzednio, o kolorze, plus takie coś: „ryży w znaczeniu rzeczownikowym, pospolicie człowiek mający ryże włosy". Lubimy takie tłumaczenia.

Opisywanie człowieka za pomocą jego cech fizycznych jest zabiegiem zawsze kiepskim. Słowo „ryży" od dość dawna należy do wokabularza nizin. Rudość ma swoje w polszczyźnie konotacje – „co rude, to fałszywe", powiada polska mądrość, biorąca się niechybnie z obserwacji koloru włosów p. Judasza na przedstawiających go obrazach. Tak to się plecie w naszej znakomitej polityce, to jest ten poziom. Na koniec, na wszelki wypadek, otworzyliśmy sobie kultowy „Słownik tajemnych gwar przestępczych" Klemensa Stępniaka z 1993 r., który z jakichś powodów wydał nam się idealnie dziś pasujący. Obecny tam „ryży" to kolor złoty. Uśmialiśmy się. Ale zerknęliśmy też na znaczenie słowa kaczor. Kaczor w tajemnej gwarze przestępców (str. 207) to „mężczyzna małego wzrostu". Też nam tajemnica, chciałoby się rzec. Prawdą nieśmiertelną jest też inna mądrość tutejsza, że oto „kto się przezywa, ten sam się tak nazywa". ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

Weź urlop na czytanie!

26 rozmów z pisarkami i pisarzami.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN

WSPÓŁWYDAWCA:

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNERZY WYDANIA:

Kraków

ERGO HESTIA

PRZE KRÓJ Fundacja

ZAKAMARKI

Kraków

MUZEUM
SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ
W KRAKOWIE
MOCAK

Jerzy Nowosielski, *Dziewczyny na statku*, 1981, olej / płótno, 80 × 100 cm (fragment), Kolekcja Galerii Starmach, fot. M. Gardulski

Artyści z Krakowa II Grupa Krakowska

Jerzy Bereś
Tadeusz Brzozowski
Józef Chrobak
Maria Jarema
Julian Jończyk
Jerzy Kałucki
Tadeusz Kantor
Janina Kraupe-Świderska
Alfred Lenica
Adam Marczyński
Jadwiga Maziarska
Kazimierz Mikulski
Daniel Mróz
Jerzy Nowosielski
Jan Pamuła
Andrzej Pawłowski
Marek Piasecki
Maria Pinińska-Bereś
Mieczysław Porębski
Karol Pustelnik
Erna Rosenstein
Teresa Rudowicz
Bogusław Schaeffer
Jerzy Skarżyński
Maria Stangret
Jonasz Stern
Janusz Tarabuła
Jan Tarasin
Jerzy Tchórzewski
Danuta Urbanowicz
Witold Urbanowicz
Adam Walaciński
Zbigniew Warpechowski
Marian Warzecha
Jerzy Wroński

30.3–24.9.2023

MUZEUM SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ W KRAKOWIE MOCAK
MOCAK THE MUSEUM OF CONTEMPORARY ART IN KRAKOW
UL. LIPOWA 4, WWW.MOCAK.PL

MUZEUM SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ W KRAKOWIE MOCAK – INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

MECENAS MUZEUM
OKNOPLAST

PARTNER MOCAK-U

PATRON GALERII RE
RE-Bau

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO POCHODZĄCYCH Z FUNDUSZU PROMOCJI KULTURY – PAŃSTWOWEGO FUNDUSZU CELOWEGO
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

PATRONI MEDIALNI
RMF CLASSIC
wyborcza.pl
TVP KULTURA
CONTEMPORARY LYNX
NIEZŁA SZTUKA
artinfo.pl
inyour pocket
Kraków Culture

REKLAMA